

STEFAN BRYKCYŃSKI

1173.

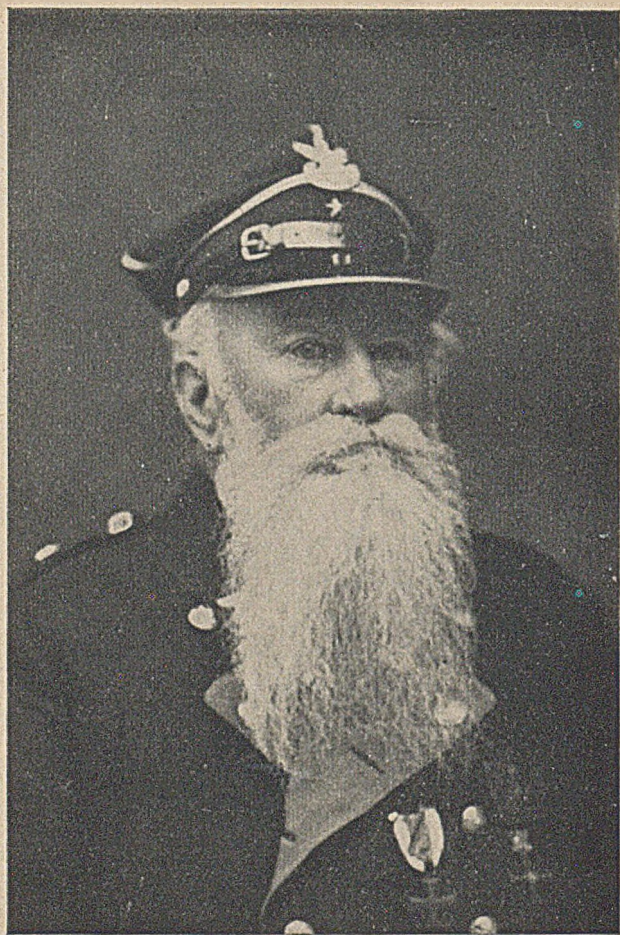


M O J E
WSPOMNIENIA
ROK 1863

G E B E T H N E R I W O L F F

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH

Nr. 1173



STEFAN BRYKCZYŃSKI
PODP.-WETERAN Z R. 1863.

STEFAN BRYKCZYŃSKI

SB.



MOJE
WSPOMNIENIA
ROK 1863

Z SZEŚCIOMA RYSUNKAMI
KONSTANTEGO GORSKIEGO

WYDANIE CZWARTE

~~BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH~~



~~Nr. 1173.~~

NAKLAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA



Bryk
Moje
~~1473~~

8-3



94(438).07; 929-0521/2

18924

1 9 3 6

Zakł. Druk. F. Wyszynski i S-ka, Warszawa

Dnia 27.V 1934 roku zmarł w Krakowie ś.p. Stefan Brykczyński, ppor., weteran z r. 1863/4.

Stefan Brykczyński urodził się we wsi Ossa powiatu opoczyńskiego z ojca Stanisława i matki Wandy z hr. Zamoyskich. Pierwsze nauki pobierał w domu — następnie został umieszczony w Instytucie szlacheckim w Warszawie — skąd musiał ustąpić w r. 1861 — w związku z manifestacyjnym uczestnictwem w pogrzebie pięciu poległych. Przenosi się do liceum w Lublinie — gdzie nie bawi długo: w zimie 1863 r. ucieka z kilku kolegami do powstania. Ranny w nogę, przekrada się do b. Galicji, ale po wyzdrowieniu wraca znów do partji. Ranny ponownie — nie na długo już wraca do dogasającego powstania i wstępuje do gimnazjum w Kielcach, następnie w Lublinie — gdzie też kończy średnie wykształcenie.

Udział w tajnej pracy społeczno-oświatowej w tem mieście sprowadza nań represje władz rosyjskich, tem srozsze, że Brykczyński obciążony jest grzechem uczestnictwa w powstaniu. Z Lublina zostaje wysłany na Syberję. Uratowanie z narażeniem własnego życia tonącego żołnierza rosyjskiego (notabene Polaka) przynosi mu jednak ułaskawienie i chwilowe zezwolenie na powrót do kraju. Zapisuje się wtedy Brykczyński do Szkoły Głównej w Warszawie — której nie

dane mu było ukończyć. Wyższe studia techniczne kończy z tytułem inżyniera w Petersburgu, a następnie, nie mogąc wrócić do kraju, osiedla się w gubernji czernihowskiej, jako dyrektor cukrowni i właściciel młyna parowego.

Po uzyskaniu prawa pobytu w kraju, żeni się z córką wygnańca Ksawerego Pietraszkiewicza, Anną, i po paru latach osiada w Warszawie, gdzie rozpoczyna nader intensywną pracę oświatową w tajnych kółkach robotników chrześcijańskich. Kilka wydanych broszur, pamiętnik z walk powstańczych „*Moje Wspomnienia. Rok 1863*“, którego czwarte już wydanie idzie w świat — i około 1000 odbytych pogadanek — to plon jego pracy, która kończy się, nie więzieniem na szczęście, ale rozkazem wyjazdu zagranicę. Osiada wtedy Brykczyński w Małopolsce, gdzie zastaje go wybuch wojny, a potem wypadki 1918 r.

Odznaczony Krzyżem Walecznych i Krzyżem Niepodległości z mieczami przez odrodzoną Ojczyznę — osiada Brykczyński na stałe w Zakładzie Helclów w Krakowie.

Nie tracąc (mimo podeszłego wieku i dokuczającej mocno, teraz dopiero, przestrzelonej w powstaniu nogi) energji i zainteresowań społecznych — i teraz nie jest Brykczyński bezczynnym. Odczyty przez radjo, żywa i skuteczna praca oświatowa w armji, lekcje z młodzieżą i kontakt ze skupiającymi się koło niego ludźmi — to dziedziny, w których uzewnętrzniały się niemała jeszcze jego energja życiowa i instynkt czynu.

Piękna, szlachetna sylwetka Stefana Brykczyńskiego, krzepkiego, barczystego starca, o długiej, siwej brodzie patryjarchy, a czerstwej cerze i żywych, niebieskich oczach młodzieńca, jego wrodzony, z mądrej dobroci płynący wdzięk, temperament i niezmierna żywotność umysłu, interesującego się do ostatnich chwil zagadnieniami bieżącego życia narodu — z sentymentem, płynącym z ukochania tego narodu, a trzeźwością i realizmem — wynikającymi ze ścisłego światopoglądu inżyniera — będzie dla wszystkich, którzy go znali, nie tylko obrazem, który zatrzymają w pamięci jako wizerunek człowieka, ale stanie się też żywym odbiciem i wyobrażeniem o ludziach jego epoki.

Umarł Brykczyński w maju 1934 roku — jako ostatni już weteran 1863/4 roku na terenie Krakowa.

Warszawa, listopad 1935.

1. LUBLIN W ROKU 1862 — LICEUM — OGÓLNY NASTRÓJ

Święć się, święć się, wieku młody,
Śnie na kwiatkach, śnie mój złoty,
Ideale wiary, cnoty,
I miłości i swobody.

Kochany Lublinie! Kto spędził zaranie młodości w twoich starożytnych murach, ten cię do śmierci pamiętać będzie.

I teraz żywo stoi mi w pamięci twoja starożytna Krakowska Brama, z której w czasie pożaru rozlegały się groźne dźwięki dzwonu na trwogę, co się nazywało spuszczeniem zegara, i o godzinie 9-tej wieczór, wśród opustoszałego już i nawpół uspiętego miasta, brzmiały przeciągłe dźwięki trąby, dającej znak gaszenia ogni:

Już dziewiąta na zegarze,
Gaście ognie, gospodarze!

I starożytna katedra z historyczną zakrystją, zamek, kościół dominikański z tajemniczymi lochami, i odwieczne kamienice w rynku z tak grubymi murami, że okna i drzwi prawie pokoiki stanowiły. A były to ulubione miejsca dla poufnych pogawędek i pierwszych zwierzeń narzeczonych, tak, iż „być

z kimś w okienku" — używane było jako techniczne określenie wzajemnego uczucia młodych par.

Na wiosnę zgóry spoglądało się na wezbraną Bystrycę, przepływającą szerokie pasmo łąki, a w maju odbywały się spacery na Dziesiątą, śliczny laszek zaraz za Bystrycą leżący, lub na sąsiedni Sławinek z kąpielami mineralnymi.

W cieplejsze dni majowe wyrajali się dawni napoleońscy żołnierze z medalami św. Heleny, legją honorową lub krzyżem *virtuti militari* na piersiach. Zasiadali koło siebie na ławkach koło pomnika unji Litwy z Polską i gwarzyli zcicha, przyjaźnie się uśmiechając, gdy my, liceiści, przechodząc koło nich, stawaliśmy frontem, salutując.

W tym starym grodzie, w nowym gmachu, założone przez Wielopolskiego liceum — rodzaj gimnazjum, od którego różniło się wyższym poziomem nauk — zgromadziło grono młodych, zdolnych profesorów, których zaledwie kilkoletnia działalność świetne jednak wydała plony. Wogóle, ten znakomity mąż stanu posiadał jakiś szczególny dar wynajdywania zdolnych i zamiłowanych profesorów, zamiłowanych całą duszą w swym zawodzie, czego następstwem było zupełne oddanie się młodzieży nauce, i to tak dalece, że tak w szkole, jak i poza szkołą, myślano, mówiono, marzono o nauce.

W czasie wieczornych pogawędek — przeciąganych nieraz ku zgrozie gospodarzy, a raczej gospodyń „stancyj” poza dziewiątą godzinę wieczorem — podczas spacerów, wycieczek, snuliśmy projekty, nowe

wynalazki i t. d., ale głównym przedmiotem rozmów, zamiarów, była oświata ludowa, bo lud kochaliśmy wszyscy, całym gorącym młodzieńczego serca.

Więc marzyło się o szkołach ludowych, wykładach popularnych, poprawie obyczajów, zupełnem zniesieniu pańszczyzny i gorzelni, o wzorowych gospodarstwach, mających być rozsadnikami wiedzy, a potem o zmianach ogólnych i t. p., słowem — kochaliśmy wszystkich i wszystko!

Rektorem liceum był Żochowski, biały jak gołąb staruszek, podobno krzemieńczyanin; inspektorem — Wasilkowski; prefektem — ks. Misiągiewicz, pijar, niezwykle świątły człowiek i szczerze, pocziwie „po polsku“ nabożny. Matematykę i nauki przyrodnicze w naszej czwartej klasie wykładali Gostkowski i Dobrzyński, literaturę polską W. Dawid, filologję Dębowski i Wróblewski i t. d., wszyscy duszą i ciałem oddani pracy. Nawet profesorowie języków obcych, jak to mówią, ze skóry leźli, żeby nas jak najprędzej swego nauczyć. Rosyjskiego wykładał Stepanow, człowiek dobry, lubiący młodzież, więc i myśmy go lubili, a choć na tydzień było wszystkiego trzy godziny języka rosyjskiego, wcaleśmy nieźle nim władali.

Wogóle nie zamęczano nas chytrściami gramatycznymi i etymologicznymi, lecz uczono tak, byśmy przedmiot umieli i rozumieli, i tego systemu trzymało się przy wykładach wszystkich przedmiotów, a ilu ludzi i jakich wydało zaledwie lat kilka trwające lubelskie liceum, bodaj w samej literaturze, to wszystkim wiadomo.

Kraj w owych czasach był w stanie wysokiego podniecenia, gdy za radą dyplomacji europejskiej: „trzeba krwią dowieść, że żyjecie“, manifestanci trzy godziny wytrzymywali ogień rotowy przed zamkiem (8 kwietnia 61 roku).

Dopiero w następstwie tego, pod wpływem Europy, która była zdumiona tą odwagą i poświęceniem się dla sprawy, rząd dał, a raczej obiecał dać jakieś reformy niby wolnościowe. Ale i to przyszło się Wielopolskiemu prawie obcęgami z gardła rządowi wyrwać.

Więc było to, jakby ktoś kawałek pieczonego mięsa, lecz zawiniętego w kolczastą siatkę metalową rzucił zgłodniałemu człowiekowi. Nie mogąc ugryźć, choć zapach w siebie wciągał, nieszczęsny głodomór musiał wpaść we wściekłość i rozpacz.

Zawiązał się tedy Komitet Centralny, potworzyły się dziesiątki i dziesiątnicy, pomnożyły się zebrania, narady, tajne znaki, słowem było czuć proch w powietrzu.

Choć przed nami, czwartoklasistami, zachowywano to wszystko w tajemnicy, jednakże i my doskonale wiedzieliśmy, co się święci.

Chleba i bułek nie jadałiśmy, lecz chowało się to wszystko starannie na suchary. Wyrzekaliśmy się nawet kawy porannej i innych potraw po zupie przy obiedzie; dopiero gdy gospodarz naszej stacji wytłumaczył nam, że gdy stracimy siły, nie będziemy mogli działać, przestaliśmy się w ten sposób hartować, prosząc jednak o dawanie najprostszych, żołnierskich potraw, jako najzdrowszych.

O wydawaniu pieniędzy na cośkolwiek bądź mowy nie było. Wszystkie przeznaczone na drugie śniadania, na owoce i t. d. złotówki zbierało się starannie i kupowało za to juchtowe buty z długimi cholewami, ciepłe koszule i t. d., którychby rodzice z domu na pewno w tych czasach nie przystali.

O mustrowaniu się po całych dniach zaraz po powrocie ze szkoły, o nocnych alarmach, o stawaniach na pikietach w koszulinach na zimnym korytarzu nie ma co mówić, tak to było wówczas rozpowszechnione.

Pamiętam, raz z dwoma kolegami wybiegliśmy z domu i podczas silnej wichury śnieżnej przysiliśmy do sąsiedniej wioski, kierując się ku kościołowi. Ostatek sił dobrnęliśmy do plebanji, a gdyśmy proboszczowi, pytającemu, co nas tu przywiodło w taką porę i po nocy, powiedzieli, że się hartujemy i przyzwyczajamy do marszów i niewygód, zacny ksiądz napoił nas starym miodem, wyczałował, rozplakał się, i wreszcie rozgrzanych, nakarmionych i owiniętych w kożuchy i derki odwiózł do Lublina, biorąc na siebie prześląganie naszego profesora, u któregośmy stali na stacji.

Jednakże takie to już były czasy, że mimo późnej pory i profesora nie było w domu, gdyż jeszcze nie wrócił z jakiejś narady, więc poczciwego Perona (gubernera Francuza) łatwo udało się księdzu proboszczowi przekonać. W rezultacie nawet kataru nie dostaliśmy, mimo straszliwego zmęczenia i przeziębienia.

Epopeja nasza stała się głośna w klasie i wielu znalazła naśladowców. Wogóle młodzież ówczesna, cho-

ciaż bez żadnych sportów i bez zwrócenia na rozwój fizyczny takiej prawie gorączkowej uwagi, jak obecnie, była bez porównania silniejsza, zdrowsza ciałem i duchem, niż terazniejsza, i to nie tylko młodzież wiejska, obywatelska, która „podpasana łyżkiem i rzemyczkiem” rośla sobie gdzieś w oficynie pod nadzorem pana guwenera, a z rodzicami widywała się tylko przy obiedzie, i to nie codzień, bo tylko, o ile gości nie było, — ale i młodzież rzemieślnicza.

Gdzie się to podziały te pucołowate, rumiane buziaki terminatorów i czeladników, wiecznie wesołych, zadowolonych, tęgich? Jakie to obecnie porównanie z wyżółkłymi, dziko zpedłba spoglądającymi młodymi robotnikami!

2. HISTORYCZNA CHWILA — WYPRAWA NOCNA

Nareszcie buchnął długo oczekiwany płomień.

Pamiętam doskonale, jak nas młodszych zapędzono wcześniej spać, my jednak nie spaliśmy i doskonale słyszeliśmy modlitwę, odmawianą w sąsiednim pokoju, gdzie mieszkali starsi, trzask zamykanych i otwieranych drzwi, szybkie kroki w skrzypiących butach. Nareszcie wszystko ucichło, wtedy otworzywszy pocichutku drzwi, które zapomniano na klucz zamknąć, zobaczyliśmy łóżka starszych puste. Poszli wszyscy.

Naraz wśród ponurej ciszy nocnej rozległy się dzwony na trwogę, słyszeliśmy je wybornie, gdyż po-

mimo zimy i ostrożności Perona, który nam ubrania pozabierał, tak, że tylko w koszulach siedzieliśmy, okna otworzyliśmy narozcież.

Po chwili padł strzał, jeden, drugi, potem zatrzeszczała strzelanina, przerywana od czasu do czasu salwami rotowego ognia. A my, w koszulach, zamknięci, rwaliśmy się jak szaleni i już zaczęliśmy pleść z porwanych prześcieradeł sznury, ażeby spuścić się przez okno, gdy wbiegł zdyszany Peron, kazał nam uklęknąć i mówić modlitwę za konających.

Takich rzeczy nie zapomina się nigdy. Była to słynna noc lutowa i napad na koszary z bernardyńskiego klasztoru. Na drugi dzień spaliśmy długo i do szkoły nie poszliśmy. Przy obiedzie trzy czwarte stołu było puste, o tem, co zaszło, nikt nie mówił. Na trzeci dzień poszliśmy do szkoły jak zwykle, ale co za zmiana! Wyższe klasy prawie zupełnie puste, a i u nas kilku starszych brakowało.

Wszedł Doborzyński, odczytano modlitwę: „Przyjdź Duchu Święty, napełnij serca nasze, a ogień miłości Twojej racz w nich zapalić”. I rozpoczął się wykład, jak zwykle.

Dopiero na pauzie o dziesiątej, która zamiast dziesięciu minut, ciągnęła się pół godziny, nadeszły wieści, lecz prawdy nikt nie wiedział, gdyż wojsko odcięło łańcuchem piechoty koszary od miasta, nie przepuszczało nikogo. Potem dopiero dowiedzieliśmy się, że atak się nie udał, a powstańcy cofnęli się, nie ścigani, w lubartowskie lasy.

Tak się to ciągnęło przez kilka tygodni, wieści do-

chodziły ciągle o różnych potyczkach, staczanych z rozmaitem szczęściem, a my rwaliśmy się, jak w gorączce.

Nareszcie, umówiwszy się z dwoma kolegami, postanowiliśmy wyruszyć. Ponieważ miasto obstawione było gęstemi pikietami, więc wybraliśmy się we trzech wyborowych pływaków (bo ten sport kwitnął w Lublinie), tak, by można było przebyć wpław Bystrycę, koło której, wskutek zalanych łąk, pikiet nie było.

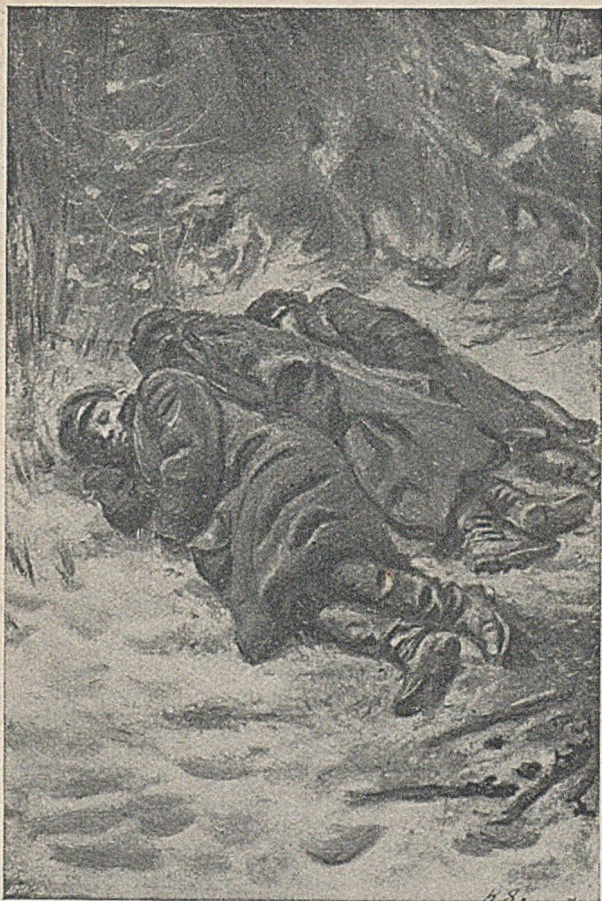
Ja, jako wychowany po wojskowemu przez napoleończyków, od których nawet lekcje strategii brałem, dowodziłem tym potężnym oddziałem. Dowiedziawszy się, że w urzędowskich i ordynackich lasach nad granicą galicyjską stoją oddziały, postanowiłem, kierując się igłą magnesową, tam się udać.

Jako broń, mieliśmy szpadę urzędniczą, przyniesioną przez kolegę K.*), którego ojciec służył na poczcie. Wspaniała jej rączka, wykładana perłową masą, budziła w nas niezwykle poszanowanie. Do tego, jako zapasy — ja przyniosłem worek owych zbieranych starannie sucharów, kolega M.***) cztery bułki z masłem i szynką, a kolega K., oprócz szpady, krążek suchego buljonu.

Tak zaopatrzeni ruszyliśmy, marząc o zdobyciu Warszawy, postanowiliśmy bowiem pominąć Lublin, aby uniknąć straty czasu, lecz uderzyć odrazu w punkt środkowy, stosownie do zasady dziadka Strzyżowskiego, napoleończyka, którą doskonale zapamiętałem:

*) Kurmanowicz.

**) Mokrski.



Zasnęliśmy kamiennym snem młodości (str. 18).

„Pamiętaj, jeśli ci przyjdzie dowodzić oddziałem, to przedewszystkiem bij w centrum”.

Korzystając z ciemnej nocy i gęsto padającego mokrego śniegu, a było to w marcu, wymknęliśmy się niepostrzeżenie z miasta, i spuściwszy się nadół koło dominikańskiego kościoła, ruszyliśmy przez zalane łąki ku Bystrzycy. Znając doskonale miejscowość, wkrótce dobrnęliśmy do małego wzgórzka, nad samą już rzeką położonego i nie zalanego wodą. W tej chwili usłyszeliśmy doskonale głos trąby, ów hejnał wieczorny z Krakowskiej bramy i werbel na odwachu. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy nie rozbierać się, sucharów zaś nabrać w kieszenie ile można, a resztę wraz z workiem zatopić, „aby się nie dostały w ręce nieprzyjaciela!”

Przeplłynawszy Bystrzycę szerokim kątem z wodą, aby się walką z prądem nie męczyć, naciągnęliśmy z biedą buty i żwawym krokiem ruszyliśmy „z lewej”, przytem kolega M. pogwizdywał marsza, co mu się zresztą z powodu okropnego zziębnięcia niebardzo udawało.

Wkrótce wydostaliśmy się na suchy piasek, stamtąd kłusem do znanego nam doskonale lasku.

Tymczasem śnieg przestał padać, więc rozebraliśmy się, starannie wyzęli ubrania, a znalazłszy w kieszeni oblepione przeżutą gumą w blaszanem pudełeczku zupełnie suche zapałki, rozpaliliśmy w głębokim wykrocie ogień i wysuszyliśmy ubranie, o ile się dało. Potem odmówiwszy pobożnie „Ojcze nasz”, bo na resztę już sił nie stało, przytuliliśmy się mocno je-

den do drugiego i zasnęliśmy kamiennym snem młodości...

Nazajutrz obudziliśmy się już o zmroku z szalonym apetytem, więc w mgnieniu oka pochłonęliśmy większą połowę podsuszonych przy ogniu sucharów i dwie ogromne bułki kolegi M. Posiliwszy się w ten sposób fundamentalnie, „wziąwszy kąś” kompasem, ruszyliśmy żwawo „z lewej”, w wyznaczonym kierunku ku owym urzędowskim lasom.

Nocowaliśmy znowu w lesie, w którym spotkaliśmy młodego, silnego czeladnika szewckiego, który podobnie jak my wymykał się do partji.

Nastąpiła krótka narada wojenna. Czy podjeść dobrze, wyczerpawszy wszystkie zapasy odrazu, czy też zostawić pewną część na jutro? Pocciwy Pietrek oświadczył kategorycznie, że jemu „wszycko jedno, dwa dni nie jadł, więc już przywyknął, a my o głodzie pomdlejemy”. Dopiero stanowczy rozkaz dowódcy, czyli jak mnie tytułowano, naczelnika, poparty odślonięciem kurtki i pokazaniem błyszczącej rękojeści szpady, na której widok Pietrek zdębiał, ostatecznie podziałał, więc zdjął czapkę, a stanąwszy frontem, rzekł tylko: — jak rozkaz pana naczelnika.

Rozdzieliliśmy tedy tak: Pietrek, jako najgłodniejszy, otrzymał pół bułki, całą szynkę, połowę buljonu i sucharów, my zaś zjedliśmy drugą połowę pozostałej żywności, której jednak było dosyć dla nas trzech, a głównie sucharów.

Następnie, objąwszy się silnie po staremu, tylko tym razem już we czterech, odmówiwszy pobożnie

„Pod Twoją obronę”, zasnęliśmy równie szczęśliwie, jak smacznie.

Na trzeci dzień rano, przy potężnych apetytach (gdyż oprócz lipowych gałązek i wody cały dzień poprzedni nic w ustach nie mieliśmy), ale w dobrych humorach, ruszyliśmy znowu dalej po staremu — lasami i polami, naprzelaj, unikając wsi i miasteczek. Idąc tak gęstemi krzakami, których wierzchołki skubaliśmy po drodze, nauczony czytaniem „Ostatniego z Mohikanów”, a także własnymi wyprawami myśliwskimi, zauważyłem nagle ślady nóg kilku lub kilkunastu ludzi.

Dobyszy zatem wspaniałą szpadę, zakomenderowałem: — Stać! Jeden na ochotnika na rekonesans!

Ruszyli wszyscy trzej, więc zatrzymałem dwóch, a wysłałem trzeciego. Po chwili wrócił, meldując, że w sąsiednim lesie obozuje kilkunastu ludzi. Zostawivszy więc swój oddział w ukryciu, ruszyłem, pełznąc według wszelkich zasad „Wielkiego Węża”, ku onemu obozowisku; zaledwie jednak podpełzłem tak blisko, że mogłem słyszeć ich rozmowy, poznałem, że to także ochotnicy. Powróciwszy więc równie cicho do swego oddziału, sformowałem go w czwórkę i już „z nogi” ruszyliśmy ku obozowi.

3. SPOTKANIE Z ODDZIAŁEM OCHOTNIKÓW — PARADA PIERWSZY HUK ARMAT — WRAŻENIA

Przyjęcie i powitanie było serdeczne. Po zdaniu raportu naczelnikowi, którym był zamożny włościanin

ordynacki, Parada, przepyszny typ polskiego chłopca, z długimi wąsami i włosami, ogromnego wzrostu, w bekieszy, baraniej czapie, nadzwyczaj rozwinięty (podobno kosztem któregoś Zamoyskiego skończył cztery klasy w Szczebrzeszynie). Wystłuchał z powagą raportu, zdanego według wszelkich zasad przy spotkaniu młodszego ze starszym i, uśmiechnąwszy się zlekka, rzekł:

— Wamby, paniczom, więcej jeszcze pasowało uczyć się, jak wojować, ale że z was już i tak pociechy w szkole nie będzie, to lepiej chodźcie z nami, bo wam będzie bezpieczniej.

Oddział ten składał się z dwudziestu paru ludzi, z których większa część była uzbrojona jako tako w strzelby i kosy, reszta zaś miała tylko śmigłe dębczaki. Byli to przeważnie mieszczanie i chłopcy ordynaccy.

Nakarmiono nas i napojono dokumentnie, gdyż oddział był obficie w żywność zaopatrzony.

Pan naczelnik, porozmawiawszy obszernie ze mną, zamianował mnie swoim adjutantem, a następnie powiedział, że on sam wie doskonale, gdzie jest partja, i że — da Bóg doczekać — jutro a najdalej pojutrze z nią się połączymy.

Dwa dni następne spędziliśmy w marszach, ale już szliśmy w biały dzień drogą, tylko nocowaliśmy zawsze w lesie.

Po drodze przyłączały się do nas małe oddziałki, po dwóch, po trzech; jeden z tych oddziałków przyniósł nam starożytną halabardę i dwa skałkowe kara-

biny, bodaj czasy napoleońskie pamiętające. W porównaniu z niemi, moja szpada, pomimo swej wspaniałej rękojeści, poszła w ką, a o zaszczyt noszenia tych karabinów, pomimo ich ogromnej wagi, dobijali się wszyscy.

Jedzenia było poddostatkiem, gdyż w każdej wsi, którą przechodziliśmy, karmiono nas i częstowano obficie.

Jednakże ani na drugi, ani nawet na trzeci dzień partji nie spotkaliśmy.

Po drodze uczyliśmy się trochę manewrów — były i rekonesanse, i pikiety, i hasło, i alarmy; nareszcie po kilku dniach, właśnie kiedy pokazywałem, jak strzelec powinien się ukrywać za drzewem wobec nadchodzącego oddziału nieprzyjacielskiego, obchodząc drzewo tak, aby go oddzielało od przypuszczalnego środka oddziału, t. j., aby środek oddziału, środek drzewa, i środek strzelca znajdowały się na jednej linii (patrz: Mayne Reid), naraz rozległ się w lesie przytłumiony huk... Parada zerwał się z pieńka, na którym siedząc, przypatrywał się manewrom, w tejże chwili rozległ się drugi taki sam huk, a po pewnym czasie znowu dwa, szybko po sobie następujące.

Schwyciwszy w jednej chwili ubranie, ową halabardę i żywność, z okrzykiem: ratujmy braci! — pędem rzuciliśmy się w kierunku, skąd zdawało się, że ten huk dochodził.

Lecz Parada, krzycząc i łając, wkrótce nas wstrzymał i, wyrecytowawszy energiczną choć krótką admonicję, pohamował nasz zapal w mgnieniu oka.

Nastąpił rodzaj rady wojennej: młodszy chcieli od razu uderzać z tyłu na armaty, starsi — wysłać rekonosans i zbadać okolicę.

Moje zdanie, aby uczynić dywersję na tyłach nieprzyjaciela, bez względu na nic, zyskało uznanie Parady. Zważywszy jednak, że odległość od placu boju, według zdania starszych, wynosiła kilka mil, ruszyliśmy prawie pośpiesznym marszem, ale stępą, a nie pędem, jak pierwsi.

Tymczasem armaty wciąż grały. Wspaniały, potężny ich głos to słabiej, to silniej nas dochodził.

Owa wymarzona w czasie wieczornych pogawędek chwila, zda się niemożliwa do urzeczywistnienia, stała się rzeczywistością. Każda żyłka w nas drżała: nareszcie, nareszcie! Jakże żałowałem kolegów, co pozostali w domu i nie mogli tego słyszeć.

A tymczasem dźwięczny głos armat jakby nas popędzał, i naraz, mimo znużenia, niepowstrzymanie buchnęła z piersi pieśń Dąbrowskiego. Szliśmy tak długo, bez odpoczynku, bez jedzenia, bez picia, aż nareszcie pod wieczór armaty momentalnie ucichły.

Naturalnie, zdobyte! nasze! a nas tam nie było!!! Jeden Parada uspokajał, że armat jest dużo i jeszcze dla nas wystarczy.

Gdy jednak armaty ucichły, odczuliśmy całe zmęczenie. Padliśmy na miejscu, ale dopiero w jakie półgodziny zaczęliśmy jeść, a zwłaszcza pić wodę z wódką lub winem, któregośmy kilka butelek z sobą mieli.

Po krótkiej naradzie, ponieważ okazało się, że bitwa o tyle się prawie odsunęła od nas, o ileśmy się

przysunęli do niej, gdyż natężenie huków nie zmieniło się prawie, mimo całodziennego forsownego marszu— Parada postanowił stanowczo w krzakach zanocować, a na drugi dzień od świtu wyruszyć. Plan ataku został ułożony tak, iż mieliśmy podsunąć się jak najciszej pod nieprzyjaciela z tyłu, o ile można krzakami, gdyż Parada do krzaków daleko miał więcej zaufania, niż do lasów, a następnie plunąwszy z tyłu siekaczami z owych dwóch karabinów, całym pędem rzucić się do ataku.

Liczyliśmy przytem, że nam się uda porozumieć się zapomocą sygnałów z walczącą partją — tak, że przeciwnik, zaatakowany z dwóch frontów, będzie pobity.

Na tem tedy stanęło. Wkrótce rozstawiwszy pikiety i wyznaczwszy zmiany, co wszystko do mojej atrybucji należało, wyciągnęliśmy się na liściach i, jak zwykle, po odmówionej modlitwie, zasnęliśmy kamiennym snem.

Jużto spało się wtenczas prawdziwie kamiennym snem i choć na mokrej ziemi, a czasami tylko na liściach — zawsze doskonale.

Zwykle ta połowa ciała, która dotykała ziemi, rozgrzewała się doskonale, ale zato druga, wystawiona na zewnątrz, kostniała od zimna, tak, że po kilku godzinach snu budziliśmy się. Wtedy szybko przewracaliśmy się na drugi bok, kładąc zziębniętą część na rozgrzanej ziemi, co sprawiało rozkoszne uczucie ciepła, i znowu zasypialiśmy momentalnie.

Zczasem przyzwyczailiśmy się skutecznie przekładanie automatycznie przez sen.

Zasnęliśmy tedy o zmroku, ale już o północy zbudził nas Parada; zebrawszy pikiety, ruszyliśmy prawie w przeciwnym kierunku od wczorajszego, jakiś Żyd bowiem w nocy przywiózł nam wiadomość, że tam jakiś ogromny oddział naszych maszeruje, a ta bitwa, którąśmy słyszeli, była bardzo daleko, aż koło granicy ¹⁾).

Ruszyliśmy tedy, przecierając oczy i drzemiąc, choć nogi szły, ale jeden na plecach drugiego kładł rękę, i takeśmy drzemali, gdyż nam się kanibalsko spać chciało.

Nad ranem przyprowadził nas Parada do jakiegoś strumyka. Tam po posiłku kazał nam się umyć, oporządzić, oczyścić broń, wogóle „przybrać się, jak na Wielkanoc, na sumę”.

Pamiętam, jak kolega M. z Pietrkiem zajadłe tarli piaskiem ową halabardę, „żeby się szelma świeciła, jak słońce“, o karabinach niema co i mówić! Nieszczęsne karabiny pewnie od urodzenia tyle i takiego drapania najróżnorodniejszymi przedmiotami nie użyły. Jakoż i świeciły się, jak słońce, na staruszkę jednak halabardę niewielkie to wszystko wywarło wrażenie, ku rozpaczycy Pietrka, któremu była powierzona, pozostała szaro-popielatej, matowej barwy. A biedny Pietrek przywiązał się do niej i obiecywał ciągle, że jak nią świeśnie, to będą łby leciały, jak dojrzałe gruszki

¹⁾ W owych czasach armaty były bronzowe, o średnicy daleko większej, niż obecnie stalowe, stąd też huk strzału był dźwięczny, poważny, trochę podobny do dzwonu, i z wiatrem, albo po wodzie rozchodził się bardzo daleko.

z drzewa. Rzeczywiście, pasowali do siebie wzajemnie: jego niepomiernej szerokości ramiona do tej ogromnej halabardy, która bodaj że była berdyszem zdobycznym z XV-go albo XVI-go wieku.

4. SPOTKANIE ODDZIAŁU — RADOŚĆ — MARSZE — NOCLEGI

Staliśmy tedy koło tego strumienia, zabawiając się śniegiem, który znaleźliśmy w wyrwie pod kupą liści, choć już ciepło było.

Naraz zdaleka usłyszeliśmy jakby akord harmonijny, potem znowu przycichło, i znowu zabrzmiało w miarę, jak wiatr przynosił lub przycichał. Zerwaliśmy się wszyscy, wytknęli uszy jak zające, aż wyraźnie posłyszeliśmy skoczne dźwięki znanej piosenki: „*My Polacy, my rodacy*“. Więc kiedy nie rzucimy się naprzód pędem, zapomniawszy o wszelkich czwórkach, formowaniu się i t. p., jak to było projektowane, ułożone i wyuczone!

Ale cóż, skoro pan naczelnik i pan adjutant pierwsi rwali przez las, skacząc, jak dziki, przez kłody i jamy, krzycząc wielkim głosem: *nasil! nasal!*

Nareszcie dopadliśmy do szerokiego gościńca i ujrzeliśmy ciemną masę: szli tęgim krokiem „z nogi“, widocznie bowiem uprawiali się w maszerowanie. Nad tą masą w promieniach wschodzącego słońca błyszczały i migotały kosy i bagnety.

— *Nasil! — Jezus, Marja! nasal! —* wrzasnął M., i bęc, jak długi w rów, aż chlupnęło w górę; wypad-

kowi jego zawdzięczam, żem sam rów zobaczył i suchą nogą go przebył.

Na przodzie jechała szpica, dwóch kawalerzystów w popielatych ułankach, w rogatywkach czerwonych z białym barankiem i białem piórkiem, na tęgich koniach, przy pałaszach, z pistoletami w olstrach: byli to chłopcy naschwał, jak malowani.

Dawajże ich tedy ścisnąć, całować, częstować, le-dwo nam się z objęć wyrwali, a tu grzmi w dalszym ciągu: „Zaśpiewamy sobie“, aż się echo rozchodzi po bukowym lesie.

O paręset kroków za szpicą — awangarda; kilkadziesiąt koni, także ułanów, jak ci dwaj na szpicu, szerokie, białe szablice, miny do stu djabłów. — Nasil nasil — konni, zbrojni, Bożeż mój, Boże!

Znowu paręset kroków za awangardą idą strzelcy; popielate bluzy, karabinki krótkie z ogromnemi, płaskimi bagnetami, ludzi około 200. Byli to tak zwani Galicjanie, przeważnie bowiem składała się ta kompanja z Galicjan.

Za nimi szli kosynierzy, potem znów strzelcy, w dubeltówki i pojedynki uzbrojeni, potem ochotnicy, którzy mieli dopiero jutro broń otrzymać, i do których przyłączyliśmy się. Dalej szły furgony z bronią i amunicją, a ztyłu znowu arjergarda z piechoty i kawalerji złożona. Razem było zgórą tysiąc ludzi, którzy stanowili połączone partje Czerwińskiego, Zapałowicza i Zarplachty.

Na widok takiej potęgi, tyle razy nasz oddział przewyższającej, byliśmy przekonani, że najdalej za dwa,

trzy tygodnie staniemy w Warszawie. Wszyscy mniej więcej, składający partję, byli jak najlepiej usposobieni, grzmiący śpiew „My Polacy, my rodacy” nie ustawał.

Po przenocowaniu w lesie, na drugi dzień stanęliśmy we wsi, i tam zaczęło się rozdawanie broni i rozdzielanie ochotników, których zastaliśmy już sporą ilość.

I tu nastąpił tragiczny moment, albowiem jakiś już dobrze siwy pan kapitan, ustawivszy wszystkich ochotników we front, powybierał nas wszystkich młodszych około czterdziestu, palnął admonicję o szkole i stanowczo odmówił przyjęcia do jakiegokolwiek rodzaju broni.

Odeszliśmy więc mocno skonfudowani, a niektórzy ze łzami w oczach, i dalejże naradzać się, co będziemy robić? Gdyż z całej naszej liczby wybrakowanych, dwóch tylko zgadzało się wracać do domu, ja zaś postanowiłem szturmować dalej o przyjęcie, w razie zaś ostatecznej odmowy, wojować na własną rękę, jeździć z raportami, psuć telegrafy, palić mosty i t. d. Tymczasem, dowiedziawszy się, że naczelnik ze sztabem stoi we dworze, udałem się do niego, ale dwaj strzelcy, stojący w bramie, skrzyżowali bagnety i trzeba było się cofnąć.

Zacząłem więc szukać Parady, którego między ochotnikami nie widziałem. Dowiedziałem się, że jeszcze wczoraj został zamianowany dowódcą kosynierów, udałem się do niego. Parada oświadczył mi, że do niego przyjmowanie ochotników nie należy, ale

on tak zrobi, że mnie z pewnością przyjmą. Jakoż poszedł ze mną do naczelnika, a gdy stojący w bramie dumni strzelcy, przed nim stanęli frontem, przyznają się, że miałem wielką chęć pokazać im figę.

We drzwiach od sieni stało znowu dwóch strzelców, Galicjan, którzy także stanęli frontem przed moim towarzyszem; z sieni na lewo, przez otwarte drzwi, zobaczyłem za stołem dwóch oficerów, którzy coś pisali; gdy zaś weszliśmy na prawo, zobaczyłem ogromną salę z dużym, obficie zastawionym stołem, a naokoło siedziała masa oficerów; niektórzy z nich już dobrze siwi, a jeden, potężny starzec, z długą białą brodą. Jak mię potem objaśniono, był to jeszcze napoleończyk.

Parada podszedł do jednego z oficerów, na głównem miejscu siedzącego, i zaczął coś z nim mówić, ten zaś po krótkim czasie roześmiał się, spojrział na mnie, a zwróciwszy się do jednego z owych siwych oficerów, rzekł tak, że i ja usłyszałem: — Więc niechże go pan major wyegzaminuje.

Olbrzymiego wzrostu, potężnej budowy pan major — kiwnął na mnie, a gdy podszedłem bliżej i stanąłem frontem, wyprężywszy się jak struna, wolno — groźnem okiem — powiódł po mnie zgóry dodołu, zdołu dogóry, i mocno śpiewnym, litewskim akcentem rzekł:

— A przynieście-no tu karabin i ładownicę, ten rekrut *taki* wprawdzie zdaje się coś umie.

Podano natychmiast karabin i ładownicę, którą zaraz włożyłem na siebie, poprawiwszy wprzód rzemie-

nia, który był za długi, a karabin wziętem w prawą rękę, spuściwszy go, jak na komendę: „do nogi broń”.

Pan major, popatrzawszy na moje palce, trącił siedzącego obok niego oficera i znowu zaśpiewał: — „Patrzaj-no, kolego, jak się temu rekrutowi do karabina oczy śmieją, jak kotowi do szperki”.

Potem kazał mi „dowoli broń” wziąć i „do nogi broń na raz!” i widocznie dogodziłem mu, bo zerwał się z krzesła, wołając:

— Ależ ten chłopiec jak anioł karabinem robi, to żołnierz z krwi i kości, nie ubliżając nikomu, on więcej umie, od niejednego z takich paniczów, co złote portepe noszą, oficerami się tytułując, a stada świńby w eszelony ustawić nie potrafili!

To mówiąc, schwycił mnie pod łokcie i lekko, jak piórko, wraz z karabinem postawił na stole, a dobywszy pałasza, zawołał: — Patrzcie-no! koledzy! — i zaczął komendę, oną polską, przepyszną, dźwięczną komendę. Gdy nareszcie doszło: „Na tuj! cell pal”, ja stosownie do słów komendy huknąłem w ścianę, aż szyby zadrżały i wapno się posypało z sufitu, a mój Litwin porwał mnie znowu ze stołu, począł ścisnąć i całować, tak mu się to ściśle spełnienie rozkazu spodobało.

Chociaż innym obecnym widocznie podobało się to mniej, ale przez uszanowanie dla pana majora nie mówili nic, albowiem mój Żmudzin był to stary żołnierz, który się bijał po całym świecie i w 31 i w 48 na Węgrzech, i w 59 we Włoszech, i Neapol zdoby-

wał z Garibaldim, i t. d. Przyjęto mnie tedy zaraz i z początku postanowiono zapisać do owych galijskich strzelców.

Kując żelazo póki gorące, zacząłem wstawiać się za pozostałymi, wybrakowanymi kolegami, tłumacząc, że oni już i tak uczyć się nie będą, i do domu nie wrócą, a puszczeni samopas, zmarnują się, zresztą strzelać i celować pewnie umieją, jeżeli nie lepiej, to i nie gorzej od innych; a dobrawszy się do partji o chłodzie i głodzie, dali dowód wytrzymałości i zahartowania.

Stanęło tedy tak, że postanowiono z nas wszystkich sformować osobną kompanję, złożoną z tych czterdziestu sześciu wybrakowanych, dodano nam czternastu prawdziwych żołnierzy, takich, co już proch wężali, i nazwano nas *ptasznikami*.

Że miałem rację, to się wkrótce potem pod Tuczempami pokazało, gdzieśmy więcej niż półtorej godziny atakującą kompanję wstrzymali, ale o tem potem.

Dano nam tedy, ile możności wybrane, lekkie strzelby, przeważnie dubeltówki. Mój Żmudzin obiecał mi uroczyście, że po pierwszej bitwie zostanę podoficerem, mimo młodych lat, ale wkrótce wyjechał do innej partji. Dostałem tedy leciuchną lepażówkę, prawdziwą ptasniczkę, do niej dwanaście ładunków kulowych, cztery z loftkami, ale i maszynkę do lania kul, i pudełko z przyborami do robienia ładunków.

Ładunki wtenczas nie były w mosiężnych gilzach, jak obecnie, bo wszystka broń była nabijana z przodu stemplem; gilza była sklejona z grubego papieru, na

dnie była kula, potem proch, wszystko to zaklejone z obu stron starannie i obficie pokryte łożem. Dla nabicia broni, odgryzało się denko ładunku z tej strony, gdzie był proch i cały ładunek pakowało odrazu w luźną. W czasie wbijania stemplem ładunku, proch wysypywał się odrazu na dno strzelby, a gільza, przycięta kula, służyła jako przekładka, tak, że przy wprawie szło to dość szybko, daleko prędzej niż się obecnie zdaje.

Uradowany śliczną bronią, którą otrzymałem, zaraz starannie ją wyczyściłem, a dostawszy od mego kochanego majora spory woreczek doskonałego, szlifowanego prochu, zabrałem się do robienia ładunków, których w zbytnej gorliwości narobiłem tyle, że ledwo łaźić z nimi mogłem, jednak się później pod Mołozowem przydały mnie i koledze.

Ruszyliśmy już tedy w pełnym porządku, a nasza kompanja „z nogi”. Pamiętam, że cała partja śpiewała: „Oj! ostre kosy nasze”, a myśmy doskonale w takt maszerowali. Nadjechał major, zszedł z konia, kilku naszych poprawił, przeszedł z nami paręset kroków i pochwalił za sprawność. My też z całych sił staraliśmy się dowieść, że się nie pomyłono, przyjmując nas do partji; później polubili nas wszyscy, i nieraz słyszeliśmy, jak mówiono: — oho! z tych ptaszników, to będą ludzie; a zwłaszcza podczas forsownych marszów: — „Patrzcie!... ptaszniki się nie skarżą, a wy, wy się skarżycie!

Protegujący nas specjalnie major został odkomenderowany do jakiejś innej partji, ale i tak dzięki na-

szemu porucznikowi i podoficerom, którzy byli wybrani z owych bywałych żołnierzy, nieźle nam się działo, przynajmniej żywność zawsze otrzymywaliśmy w dostatecznej ilości. Żywiliśmy się przeważnie chlebem, słoniną i wódką.

Komenda była: „czterech ludzi po chleb, dwóch ludzi po wódkę“, a że po żywność zawsze byli posyłani owi starsi żołnierze, więc umieli sobie radzić. Słoninę piekło się nad ogniem, a kapiący tłuszcz zbierało na chleb też rozgrzany; okrutnie nam to smakowało. Czasami po wsiach, zwłaszcza rusińskich, wynoszono nam garnuszki z barszczem, kartofle i jaja, ale się to, niestety, bardzo rzadko zdarzało, gdyż pędzono nas bez miłosierdzia dzień i noc, zapewne w celu okazania nas w różnych miejscach, jako „manifestację zbrojną“. Zaczęły się tedy marsze i kontrmarsze bez końca. W dzień, to jeszcze jako taki, ale bezsenne noce zamęczały nas okropnie.

Pamiętam, jak nieraz w nocy, gdy początek kolumny stanął, dalszy ciąg nawpół przez sen posuwał się tak, że szeregi na szeregi wchodziły, wreszcie wszystko padało, jak stało, i zasypiało kamiennym snem. I dużo czasu upływało, zanim zdołano tych nawpół przytomnych ludzi rozbudzić i do dalszego marszu skłonić. Zwłaszcza dla nas, ptaszników, było to niesłychanie przykre. Wogóle ludzie sarkali, mówiąc: „Mamy się bić, to się bijmy, a tak wyzdychamy od tego maszerowania i nikomu żadnej z nas pociechy nie będzie“. Ja byłem tegoż samego zdania, bo pamiętałem ze strategiki, że lepiej się bić nawet przy



...a dobywszy pałasza, zawołał... (str. 29).

słabych szansach powodzenia, niż zamećzać ludzi zbyt zbytnimi marszami, ale, że pamiętałem jednocześnie, iż w żadnym razie nie wolno krytykować dowódcy, by nie osłabiać dyscypliny, i że tylko w ostatecznym razie starym, wytrawnym żołnierzom można odkryć prawdę, nasza zaś kompanja jeszcze do starych, wytrawnych żołnierzy zaliczoną być nie mogła (później, to co innego, oho!) — zachowałem swoje zdanie przy sobie.

W czasie marszów dziennych, a czasem i nocnych, o ile nam dano się wyspać, śpiewaliśmy wspomniane wyżej pieśni, piosenki narodowe. Ale ulubionym w całej partji śpiewem był oberek:

W szczerem polu stoi wierzba
Na niej gruszek, Boże, ratuj,
Chociażem ja w kamizeli,
Pan Jezus mnie nie opuści,
A juści.

Przytem strofkę śpiewał jeden, a zakończenie: „Ajuści“, hukwały całe kompanje jednym, grzmiącym okrzykiem. Każda partja miewała swoją ulubioną piosenkę w czasie marszu, zanim przyniesiona z wiatrem z Rusi: „Poszły panny na śliwcy“, nie zajęła głównego miejsca prawie we wszystkich partjach.

Ubrani byliśmy, jak Bóg dał, oprócz owych Galicjan, którzy mieli w kawalerji — owe nadzwyczaj zgrabne ułanki, później w Puławach przez studentów Instytutu Rolniczego noszone, a w piechocie — owe bluzki na model, któremi w kilka lat później umundurowano całą armję austriacką.

Były więc i sukmany, i kurtki bajowe, niektórzy, zwłaszcza z małych miasteczek, mieli nawet czarne surduty „dla przyzwoitości”, co już nadzwyczaj zabawnie wyglądało. Najgorzej było z różnicą temperatury. W dzień słońce już nieraz dobrze przypiekało, tak, że wielu swoje kożuszki, ciepłe sukmanki i t. d. pozrzucało, albowiem przy owych przeklętych marszach i stosunkowem gorącu, okropnie męczyliśmy się; więc sprzedawano za byle co owe ciepłości, byle ich na sobie nie nosić, mimo ostrzeżeń starszych kolegów.

Tymczasem noce bywały nieraz dobrze chłodne, i zwłaszcza nad ranem „cielęta okrutnie lizały”.

I tu się dopiero okazała w całym blasku moja wojskowa praktyczność, umiałem bowiem tak twardo i ściśle związać swoją sukmanę, że i mało miejsca zajmowała, i zawieszona odpowiednio na plecach, w postaci wałka, od lewego ramienia do prawego boku, w pochodzie prawie nie ciążyła, owszem, nawet pomagała do noszenia tej masy ładunków, które nosiłem z sobą na zapas. Niektórzy mnie naśladowali, inni nie, lecz źle na tem wychodzili, zwłaszcza w nocy, gdy często ogni palić nie pozwalano.

5. TYSZOWCE — PIERWSZA BITWA — WRAŻENIA

Po długich marszach, podczas których — „stryj już zupełnie brodę zapuścił”, co znaczy, że liście w lesie już zupełnie się rozwinęły, przemoczeni do nitki,

przez ciepły, ulewny deszcz, maszerując „z nogi”, ze śpiewem weszliśmy do miasteczka Tyszowiec. Przyjęto nas uroczyście, z chorągwiami; my też rozwiniętym sztandarem pokłoniliśmy się chorągwiom, z którymi wystąpili do nas poczciwi mieszczanie.

Sztandar nasz był podwójny, z jednej strony karmazynowy z białym orłem, z drugiej niebieski z Matką Boską.

Naznoszono nam jedzenia i picia, co się zowie wbród, wkrótce zabrzmiała zwykła komenda: „W koźły broń” i rozeszliśmy się po domach, dokąd nas gościnni mieszczanie usilnie zapraszali.

Zauważyłem jednak, że oprócz zwykłych straży przy broni, pozostawiono na placu całą kompanję strzelców i połowę kosynierów, przytem prócz zwykłych konnych pikiet, rozstawiono naokoło miasta łańcuch placówek piechoty.

Powiedziałem tedy zaraz do kolegów, że będzie bitwa, ale że to nam już tyle razy napróżno obiecywano, więc nikt temu nie wierzył.

Pamiętam jednak doskonale, że kolega M. powiedział zaraz:

— Jeżeli będzie bitwa, to ja zginę, bo mi się tak śniło.

Podjadłszy tedy doskonale i nabrawszy na zapas, ile wlaźło, w kieszenie i woreczki, których nam praktyczni tyszowczanie nadawali, pokładliśmy się na placu obok tych koźłów z bronią—spać. Po paru godzinach zbudzono nas dla zwykłego sprawdzenia przed wymarszem, i kiedyśmy stali, jak zwykle w dwa sze-

regi po wystąpieniu nieparzystych numerów naprzód, usłyszałem doskonale daleki, głuchy wystrzał, a zaraz po nim kilka innego tonu; wnet zameldowałem porucznikowi, że słycać strzały. Ale porucznik także je słycał i zaraz przybiegł do naszej kompanji i zakomenderował nabicie broni, jednak bez założenia pisto-
nów.

Po chwili zaczęły się formować wszystkie kompanje, i w tej chwili pędem, staniając się na koniu, wleciał na plac ranny kawalerzysta.

Konia wstrzymano, rannego zdjęto z konia i zanie-
siono do sąsiedniego domu, jednego z porządniej-
szych w miasteczku. Jednocześnie przez plac przebie-
gło pędem kilkunastu konnych z oficerem na reko-
nesans.

Po pewnym czasie rozległy się strzały, ale nie z tej strony, skąd przyszliśmy i skąd było słycać pierwszy wystrzał pikiety, lecz z innej strony, z prawego boku. Sformowano nas też wnet w bojową kolumnę, przytem — Galicjanie rzucili się na prawo, w kierunku owych strzałów, a my ruszyliśmy na gro-
blę.

Pozycja była taka: na prawo przed miasteczkiem ciągnął się gęsto zarośnięty krzakami staw, staw ten od łąk oddzielała długa grobla i droga, przy której końcu widać było doskonale las; powyżej stawu na prawo był pagórek.

Ruszyliśmy tedy żwawym krokiem przez ową gro-
blę ku lasowi — ze śpiewem i rozwiniętym sztandarem; zaledwie jednak uszliśmy paręset kroków,

usłyszeliśmy z prawej strony gęsty trzask karabinowych strzałów. Jednocześnie zadrżała ziemia pod naszymi nogami, rozległy się dwa, jeden po drugim, jakby uderzenia pioruna, i jednocześnie potężny, rozgłośny świst, jakby stado szpaków przeleciało nad głowami.

Powiadają starzy ludzie, że pierwszego pocałunku narzeczonej i pierwszego świstu kuli nie zapomina się do śmierci. I to jest prawda. Ton tego świstu, gdyby to było możebne, dziśbym oddał.

Wśląd za tą pierwszą parą piorunów padła druga para, potem trzecia i t. d. Strzelano naprzemian kartaczami i granatami z dwóch armat, ustawionych na owem wzgórzu za stawem.

Ale cały ten huragan ognia i żelaza przelatywał nieszkodliwie nad głowami, kilka tylko granatów pękło w błocie, w pobliżu grobli, i obryzgało nas fatalnie mokrą ziemią.

Jeden taki wystrzał kartaczami, widocznie lepiej wycelowany, brzęknął po kosach, przedziurawił sztandar i nadłamał Pietrkowi ową halabardę, za co Pietrek krwawą zemstę przyobiecał.

Przyczyną, że mimo stu zgórą danych strzałów, żaden nie trafił, było to, że Galicjanie, którzy zaraz na początku bitwy uderzyli na ów staw, spędzili kozaków, rozsypanych pod wzgórkim nad brzegiem stawu, i celnym ogniem razili ową, na górze stojącą artylerję tak, że strzały były gorączkowo szybkie i na chybił trafił. Plan zatrzymania nas na grobli zapomoścą artylerji i kawalerji aż do nadejścia piechoty, ma-

jącej nadciągnąć od lasu za nami i wzięcia nas we dwa ognie, zupełnie się nie udał.

U nas usposobienie, z początku poważne, zamieniło się na wesołe. Posypały się żarciki, gesty niezupełnie przyzwoite w kierunku owej artylerji, którą na wzgórzu doskonale widać było, a za każdym, przelatującym nad głowami, granatem, sypały się życzenia: a bodajżeś pękł! szczęśliwej podróży! patrzajciel upił się! lezie w błoto jak świnia! i t. p.

Wogóle wytrzymaliśmy ów pierwszy chrzest ogniowy świetnie; coprawda, nie było to trudno, gdyż nawet rany nikt nie otrzymał, oprócz kilku ludzi, których kawałki darni i błota, wyrwane przez pękające granaty, powaliły na ziemię, ale i ci, podtrzymywani pod rękę, szli dalej.

Tak tedy przeszliśmy ową groblę i rozsypaliśmy się w tyraljerkę na skraju lasu, a kosynierów i nas, ptaszników, posunięto dalej wgłąb lasu.

Niedługo potem nadciągnęła i owa piechota i, rozwinąwszy się długim szeregiem przed miastem, zaczęła sypać do nas ogniem karabinowym; wtedy też Galicjanie, odstrzeliwając się z pomiędzy krzaków, przysunęli się do nas i złączyli się nareszcie, powitani głośniami okrzykami i wiwatami. Zaraz też Galicjanie rozpoczęli ogień, gdy dotąd z powodu odległości, nasi strzelcy, uzbrojeni w gładkie dubeltówki i pojedynki, na ogień nie odpowiadali. Zahuczały tedy przed nami gęste strzały karabinowe, nad głowami zaś w dalszym ciągu wyły przelatujące granaty, które nie tylko nad linją strzelców, ale nawet nad naszą kom-

panją i kosynierami, stojącymi o paręset kroków ztyłu, górą przechodziły, a pękały z ogromnym hukiem daleko ztyłu.

Po drodze tylko, rwąc gałęzie i wierzchołki drzew, obsypywały nas deszczem igieł i liści. Czasem także padała zabłąkana kula karabinowa z ostrym świstem, podobnym do brzęku osy, jeżeli szła sztychem, albo warczeniem, jeżeli szła bokiem, kręcąc się naokoło siebie. Kule bowiem owe były długie, ztyłu puste, i w tym otworze siedziała miedziana kapsla, której zadaniem było pod wpływem parcia gazów, z wybuchu prochu powstałych, rozepchnąć ścianki kuli, ażeby szczelniej do gwintów lufy przystawała. Kula taka, gruba, jak duży palec u ręki, czyniła ogromny hałas.

Karabiny rosyjskie ciemnoniebieskiego koloru, długie, biły bardzo daleko i ostro, ale często, wskutek nieumiejętnego ustawiania wizjerów elewacyjnych, przenosiły, stąd, zwłaszcza na bliską metę, nie tak były groźne, jakby być mogły.

Staliśmy tedy, a raczej leżeli za drzewami, przysłuchując się onej bojowej muzyce, obsypywani ciągle sypiącemi się z góry igłami, gdy wtem wiatr przyniósł do nas wyraźnie odgłos trąbki i bębna, przytem dalekie echo urraaa!... Nieprzyjaciel ruszył do ataku, częścią przez groblę, częścią zaś w rozsypkę długą linią tyraljerów, przez owe mokre łąki, poniżej grobli leżące i oddzielające nas od miasta.

Nam kazano opatrzyć broń, podsypać brandki, nałożyć pistony, podciągnąć paski i być napogotowiu.

Uczyniliśmy to wszystko z radością, doświadczają

jąc zupełnie tego samego wrażenia, jakiego się doświadcza, stojąc na stanowisku w tej chwili, gdy po długiemi oczekiwaniu rozlegnie się w kniei ostry głos sygnałowej trąbki, a potem: ho-ho-ho, tu-tu-tu, tioch-tioch-tioch naganki, z tą różnicą, że w daleko wyższym stopniu.

Rozległ się tedy suchy trzask odwodzonych kurków, a ja przyznaję się, że przedewszystkiem ucieszyłem się myślą, że będę się mógł w sposób użyteczny pozbyć choć części swoich ładunków, których ciężar coraz bardziej dawał mi się we znaki. Następnie kazało nam się znowu położyć za drzewami i czekać dalszych rozkazów. Tymczasem armaty przycichły, a zato wzmógł się grzechot strzałów karabinowych, po chwili zaś z naszej strony zahuczały basem dubeltówki tak gęsto, jak gdy kto kilka mokrych polan osikowych dołoży do dobrze rozpalonego ognia.

Taka jednak gorąca strzelanina trwała niedługo. Nieprzyjaciel bowiem, przypuszczony zbliska i przyjęty tak gęstym ogniem z kilkuset dubeltówek, jakiego pewnie się nie spodziewał, cofnął się szybko do miasta, krzycząc jednak mocno urraa! obsypany rzadkim ogniem Galicjan, zostawiając po drodze szare plamy, z których jedne leżały bez ruchu, inne ruszały się pomału. Byli to zabici i ranni, dość gęsto posiani na owej łące.

Z naszej strony padło też niemało; Galicjanie zostawili kilku zabitych na owem stawisku, kilku rannych przynieśli z sobą, ale na brzegu lasu sporo naszych leżało, nie wstając, ani nie odzywając się na po-

dziękowania naczelnika, który w otoczeniu kilku oficerów objeżdżał pobożowisko.

Zabici nie zrobili na mnie żadnego wrażenia, ale przyznaję się, że widok rannych, z których kilku okropnie jęczało, a zwłaszcza jeden, który, prawą ręką podtrzymując strzaskaną i jakoś dziwnie skręconą lewą rękę, kręcił się wkółko i jakoś dziwnie skomlał z bólu, okropnie mnie przeraził.

Tymczasem bitwa już zupełnie ucichła, więc kilku naszych wybiegło na ową łąkę, pozbierać porzucone przez nieprzyjaciela karabiny, lecz zaledwie kilką sztuk zdołali zabrać i kilka ładownic z ładunkami, gdy z miasta ozwały się strzały i kule zabrzęczały koło nich; wrócili więc pędem, przyniósłszy jednak kilka karabinów, któreśmy z niezwykłą ciekawością zaraz oglądać zaczęli, osądziwszy jednak, że nasze są daleko zgrabniejsze i składniejsze.

Wkrótce zmierzchno, zaszły podwoły po rannych, a dla zabitych wykopano ogromną jamę, w którą ułożono ich wszystkich i po zasypaniu ziemią, odmówieniu krótkiej modlitwy, salwą kilkunastu wystrzałów pożegnano towarzyszków broni, poległych za ojczyznę.

Mówiono, że będziemy atakowali miasto, ale dowiedzieliśmy się, że nieprzyjaciel Tyszowce opuścił.

Ruszyliśmy tedy dość sporym marszem i w do-brem usposobieniu, szczególnie ci, którzy mieli czarne usta, co dowodziło, że byli w ogniu i odgryzali patrony.

My zaś, mleczaki i kosynierzy, z uszanowaniem i z zdrością poglądaliśmy na te czarne usta i zawałane

prochem ręce, mnie zaś kaducznie gniotły paski od owych ładunków.

Po kilku wiorstach, przebytych gęstym lasem, zapadliśmy na nocleg. Zaledwie jednak rozpaliliśmy ogień i zabrali się do tyszowieckich zapasów (a pamiętam, że mi się dostała ogromna pieczona kura, którą właśnie ze smakiem mordowałem), gdy nadjechał adiutant z rozkazem ruszenia dalej.

Ile się tam życzeń na biednego adjutanta pocichu, półgębkiem posypało, nie wiem, ale to wiem, że musiałby mieć więcej nóg, niż najdłuższa skolopendra, gdyby był chciał wszystkim żądaniom połamania tychże zadośćuczynić, a o innych pobożnych życzeniach, chorobach, „wciórnościach“ niema co i mówić.

Powlekliśmy się tedy jakąś wąską drogą, utykając na pieńkach i korzeniach, dogryzając rozpoczętą kolację, pocichu, bo i śpiewać nie było wolno. Tak wlekliśmy się całą noc, aż dopiero z rana oddział stanął i wnet zwaliliśmy się na ziemię, jakeśmy stali, po obu stronach owej wąskiej drogi, i snem kamiennym usnęli.

Rano nie budzono nas, jak zwykle, świstkami, tak, że mieliśmy czas wyspać się doskonale. Już ku południowi, po zwykłej komendzie („czterech ludzi po chleb, dwóch ludzi po wódkę”), przyniesiono nam zapasy; rozpaliliśmy ogień, a że oprócz tego mieliśmy jeszcze od tyszowieckich mieszczan różne pozostałości, więc podjedliśmy doskonale i pokładliśmy się naokoło ognia, gawędząc.

Naturalnie głównym tematem rozmowy była wczorajsza bitwa, żarciki z tych, którzy zbyt grzecznie wi-

tali pierwsze nad głowami przelatujące kule i którzy zostali tak ostro poczęstowani błotem przez owe pękające koło grobli granaty. Dostało się przytem porządnie i przeciwnikowi, a głównie owej artylerji, co, jak mówią — straciła połowę ludzi i prawie wszystkie konie.

— To ci, jak ps... kr... luną, zdawało się, że nas odrazu zjedzą, toć tak huknęło, że aż grobla zadrżała, myślałem, że ja już na tamtym świecie, a tu nic.

— A mnie, to jak chlupnęło w pysk, to jużem całkiem umarł, ale jeszcze jakoś żyję.

— Imby dobrze było na rezurekcję w Turobinie strzelać — dodawał jakiś turobiński obywatel, — niby to i wielka rzecz ta harmata, ale to tak, jak wielka chuda krowa, co dużo ryczy, a mało mleka daje. Te paskudne bintówki (gwintówki), to co innego! W Jaśka, jak kulą palnęła, tylko się na pięcie obrócił, i już leży, a krew to tak z niego: gull! gull! gull! Ani Jezus, Marja, biedak nie krzyknał.

— Bo jakże miał krzyknać, kiedy nie było kiedy.

Tak tedy odpoczywaliśmy sobie do wieczora, a jak się dobrze ściemniło, ruszyliśmy znowu.

Już to nic nie bywało gorszego nad te nocne marsze, bo to jakoś przeciw naturze, i nato Pan Bóg stworzył dzień, żeby robić, a noc, żeby spać, a u nas to naodwrot. Ale starsi żołnierze mówili, że widać tak trzeba.

Szliśmy tedy drożynami, lasem, okrążając nawet polanki; raz przeszliśmy tylko przez pole i znowu lasem, a śpiewać nie było wolno. Ogromne drzewa.

rosnące z obu stron drogi, szumiały tylko złowrogo, a myśmy szli i szli, aż nareszcie zaczęły jakby zmieniać kolor na popielaty, następnie srebrny; ptaki zaświergotały, czyli, jak mówiono u nas: zatrafiły na ranną pobudkę. Świtało.

Noc, spędzona w lesie, byle nie w forsownym marszu, należy do najprzyjemniejszych w świecie rzeczy. Z wieczora wszystko cichnie, zostaje tylko hukanie sów i puszczyków, które nawet i przez sen się słyszy. A przed świtem i puszczyki cichną i robi się tak cicho, że:

Słyszałbyś ciągnące żorawie,
Którychby nie dościgły żrenice sokoła.
Słyszę, kędy się motyl kołysze na trawie,
Kędy wąż śliską pierśią dotyka się zioła...

Aż po czasie zaświergocze jakiś jeden ptaszek, zaraz mu odpowiada drugi, trzeci, dziesiąty, nareszcie wszystkie jednym wielkim chórem pieją radosny hymn życia i dnia.

Skąd one się biorą? gdzie siedzą? niewiadomo, bo jeszcze tak szaro, że ich nie widać, a i później w dzień ani ich tak słyszać, ani ich, zdaje się, jest tyle, a jednak przed świtem cały las pełen świergotu, tak, że zdaje się, iż setki ptaków siedzą na każdym drzewie.

— Oho! już dzień się zbliża, kiedy ptaszki ranny pacierz odmawiają! — mówią wiejscy ludzie.

Tak było tedy i teraz. Chór ptasząt, niezwykle ja-koś głośny i wesoły, oznajmiał nam dzień. Każdy odmawiał modlitwę: pozdejmowaliśmy czapki i szliśmy

dalej, a słychać było: „Pod Twoją obronę uciekamy się“, „Na ostry kamień nie nastąpisz nogą“, „Mea culpa, mea culpa“ i t. d.

Wtem momentalnie stanęliśmy. Kazano nam znowu nałożyć pistony, nabić broń, kto miał wystrzeloną. Z drogi zeszedliśmy w gąszcze i ruszyli łańcuchem tyraljerów; ale pokazało się, że to był fałszywy alarm, więc wróciliśmy nazad i w owych gąszczach zasiedli na poranny odpoczynek.

Wody jednak porządnej, tak, żeby się było można obmyć, ciągle nie było; strzelcy, którzy w czasie bitwy mieli uczernione twarze i ręce od prochu i tłuszczu, nie mając czem się dobrze umyć, wyglądali, jak czerwono-skórzy. Staliśmy wtedy w tych gąszczach cały dzień, zachowując wszelką ostrożność, bez śpiewów i ogni.

Postawiono mnie na skraju poręby, w takich zaś razach lepsza najciemniejsza noc, niż księżycowa. A tu, jak na złość, księżyc świecił w całej pełni, wyglądając, jak sadło; tak się o nim malowniczo wyrażał Pietrek.

Stałem tedy pod drzewem, dając „pilne baczenie“ na ową porębę, a spać mi się chciało tak straszliwie, że musiał co chwila oczy wodą z wódką przemywać, żeby się nie zamknęły. W rękach, według ordynansu, musiałem trzymać swoją lepażówkę z odwiedzionymi kurkami i palcem na cynglu; bo z naszym porucznikiem żartów nie było, a zapowiedział nam (o czem i sam wiedziałem), że w czasie wojennym zarówno za niewystrzelenie w razie podsuwania się nieprzyjaciela, jak i za wystrzelenie bez przyczyny i fałszywe zaalarmowanie obozu, kula w łeb!

Stoję tedy, wytrzeszczam zlepiające się oczy i patrzę, i widzę doskonale, jak na czworakach, z kindziałem w zębach, pełźnie do mnie jakaś postać we włochatej czapce. Zmierzam się tedy i, krzyknawszy groźnie: „stój! kto idzie?” czekam odpowiedzi. Gdy jednak potwór się nie rusza, podchodzę bliżej i widzę, że to pieniek i gałąź, a ów błyszczący kindział — kawałek świeżo obłupanej kory. Resztę dopełnił księżyc, no i zmęczenie.

Wracam do swojej lipy i tym razem jeszcze wyraźniej widzę, jak jakiś olbrzymi człowiek celuje do mnie. Więc znowu: „stój! kto idzie?” — brak odpowiedzi, ale i absolutna cisza. Tym razem znowu przywidzenie!

Nareszcie już prawie zasypiałem, gdy usłyszałem wyraźnie szmer zbliżających się kroków, i zobaczyłem skradający się ostrożnie jakiś cień. Ale na moje groźne: „stój! kto idzie?” — odpowiedział mi wyraźnie: „Warszawa!”

Dałem tedy odzew: „Wolność” — i, poznawszy mojego podoficera, sprezentowałem broń, zapomniawszy na śmierć, że na pikiecie broni się nie prezentuje. Wziąłem więc zwolna do nogi, ale, na moje szczęście, poczciwy Piasecki się nie spostrzegł, albo może udał, że nie spostrzeża. Zmieniono mnie zaraz; zdjąwszy więc pistony i założywszy brandki kłakami, żeby czasem pozostała z pistonów masa od stuknięcia w półkurcze nie wypaliła, szybko wróciłem do obozu, i już nie szukając swego miejsca, zwałem się jak kłoda i chrapnąłem.

6. TUCZAPY — MOŁOZÓW

Rano, skoro świt, zbudzono nas, ale nie świstkami, tylko tak z ręki jeden drugiego i zaraz naczczo ruszyliśmy z miejsca.

Dziwny to był marsz, co chwila stawaliśmy, schodziliśmy z drogi, to na prawo, to na lewo, to znowu przylatywali nasi władni z raportami i coś mówili oficerom, przed nami i z obu stron po bokach ciągnęły razem z kolumną rzadko rozstawione łańcuchy tyraljerów; nareszcie doszliśmy do skraju lasu. Nie kazano nam się wysuwać, broń Boże, na pole, ale kazano, nie dochodząc do samego brzegu, położyć się i leżeć, broni jednak nie ustawiać w kozły, lecz trzymać przy sobie napogotowiu.

Za pozwoleniem podoficera, ja i paru kolegów ostrożnie posunęliśmy się na sam brzeg lasu, żeby się rozpatrzeć w pozycji. Przed nami tedy, w odległości paru wiorst, widać było wieś, jak się potem okazało, Tuczapy, my zaś rozłożeni byliśmy w występie leśnym, jakby krótkim półwyspie wrzynającego się w pole lasu. Na lewo pole zagłębiało się w las rozwartym półokręgiem, na końcu zaś było widać drugi występ wrzynającego się w pole lasu.

Ponieważ staliśmy za słońcem, więc doskonale było wszystko widać i zaraz zauważyliśmy błyski i migotania szerokich bagnatów Galicjan, a mnie przyszło na myśl, że w partyzantce broń powinna być koniecznie bejcowana na szaro, żeby była matowa, a nie błyszcząca, gdyby bowiem na naszym miejscu

był nieprzyjaciel, równieby dobrze, jak my, ich zobaczył.

Na prawo, pod słońce, las umykał się wtył, na końcu tego horyzontu majaczyły zielone łąki i krzaki, z frontu zaś przed nami pola uprawne, dobrze już zarumienione, jaśniały pszenicą i ciemniejszym żytem. Czuć było jakoś proch w powietrzu, ale humory były doskonałe.

Dogryzaliśmy wczorajszych zapasów; M... pogwiadywał zcicha, wcale nie zabity, ani nawet ranny, mimo swoich przewidywań; dowcipy sypały się iak zwykle i zupełnie zapomnieliśmy, gdzie jesteśmy i na co czekamy, tak nam było jakoś wesoło i dobrze. Wtem ni stąd, ni zowąd, usłyszeliśmy nad głowami, nawet nad lasem, dobrze już znany, ostry świst idącej sztychem kuli. Strzał jednakże wyraźnie padł bardzo daleko, gdyż pod wiatr zupełnieśmy go nie zauważyli.

Nasz Piasecki, a i z innych plutonów podoficerowie, podsunęli się na brzeg lasu, wrócili jednak po chwili, mówiąc, że to zapewne komuś wypadkiem wypaliło, gdy tymczasem z lewego cypla lasu, obsadzonego przez Galicjan, zaczęły się sypać strzały, z początku rzadko, potem gęściej, a przytem i z nieprzyjacielskiej strony zagrały karabiny, wyraźnie odróżniające się od naszych grubszym basem i dźwięczniejszym tonem. Ich bowiem niebieskie „dzwonki“, jak je nazywaliśmy, dłuższe, grubszego kalibru, z cieńszymi ściankami luf, znacznie się tonem od naszych belgijskich karabinków różniły.



...błysnęły wydobyte szable i utworzyły błyszczący pas nad zbliżającą się masą (str. 52).

Nasze belgijczyki, w które dotąd tylko owi Galicjanie byli zaopatrzeni, były krótkie, sześciokątne więcej niż do połowy lufy, małego kalibru, o grubych ścianach luf. Kulka była długa, a ilość prochu w ładunku proporcjonalnie do wagi kuli znacznie większa, niż w rosyjskich karabinach. Kula była pełna, a mimo to, choć w lufę wraz z ładunkiem wchodziła lekko, na wystrzelonej wyraźnie było znać głębokie rowki od gwintów.

Słowem, kształt ładunku przypominał obecnie do ekspresów używane. Na końcu lufy umieszczony bagnet szeroki, płaski, długi, do tasaka podobny. Na niektórych bagnietach z jednej strony była nacięta piła do robót saperskich.

Wizjer był półokrągły, dość niski. Karabiny te biły bardzo daleko i celnie, ale na dalsze zwłaszcza odległości trzeba było bagnety zdejmować, gdyż ciężyły i zwracały lufy na bok. Huk strzału suchy, twardy, ucięty, a ton wysoki.

Wskutek tego, nawet zdaleka doskonale było można odróżnić, z której strony więcej strzałów pada.

Tak więc wkrótce zauważyliśmy, że siły nieprzyjacielskie znacznie przeważają. Oprócz nader gęstego tyraljerskiego ognia, od czasu do czasu odzywał się, jakby trajkotanie ciągnionego łańcucha, trzask plutonowych ogni. Jednakże, ile razy ogień ten zbliżał się do nas (a nieprzyjaciel atakował z lewej strony), wtenczas do rzadszego ognia karabinów mieszał się różnorodny gęsty trzask dubeltówek i pojedynek, a zaraz potem owe basy cichły.

Przed nami doskonale widać było jakby małe wybuchy kurzu z pomiędzy zielonej pszenicy, a czasem i po gałęziach zawarczało. Wszystko to były zgórowane kule, widocznie w pośpiechu w kierunku księżycyca wystrzelone, które, zakreśliwszy olbrzymią parabolę, aż do nas dolatywały.

Trwało długo takie mocowanie się, które nieprzyjaciel przyplącił gęstym trupem, ścieląc owe ataki i cofania się. Armat wciąż słychać nie było, nas to gniewało: odzywały się głosy: „czemu oni na tych dudach nie zagrają, byłoby choć czego posłuchać, a tak też po próżnicy i ziewaj”.

Ale starsi żołnierze widocznie z tego byli niezadowoleni, a porucznik coś szeptał z podoficerami. Przeczuwali bądź atak z drugiej strony, bądź jakąś zasadzkę.

Myśmy wprawdzie nie wiedzieli, ale potem dowiedzieliśmy się, że do tego oddziału, który nas atakował pod Tyszowcami, a był złożony z dwóch rot piechoty, sotni kozaków i dwóch armat, dołączył się drugi: cztery rot piechoty, szwadron huzarów, dwie sotnie kozaków i dwie armaty liczący, tak, że razem wzięte siły nieprzyjacielskie znacznie przewyższały nasze.

Aleśmy się o tem szczegółowo dopiero znacznie później dowiedzieli.

Jakkolwiek bądź, wszyscy się ucieszyli, gdy narreszcie zahuczały armaty, których nieobecność wszystkich nas niepokoiła. Stanęły one trochę bliżej nas, nawprost owego cypla, obsadzonego przez Galicjan,

a że tymczasem słońce obróciło się już tak, że przed lasem była szeroka smuga cienia, więc widzieliśmy ich doskonale, jak na dłoni, kiedy zajeżdżali galopem w półkola, potem odjeżdżali z końmi wtył, nareszcie biegali koło tych armat, a potem buchnęło: raz! dwa! Wnet potem olbrzymiem echem odezwał się las, zawyły granaty, a jednocześnie pamiętam doskonale, że dwie smugi dymu, które buchnęły w naszym kierunku, zamieniły się w kółka, a te, zwolna się rozszerzając, płynęły w powietrzu ku nam. Wkrótce z lewej strony przybiegło do nas kilkudziesięciu Galicjan, i ci zaraz, po długim ustawianiu wizjerów, ku owym armatom ogień skierowali; grało także i kilkanaście karabinów, pod Tyszowcami zdobitych.

Ja, stojąc za ogromną sosną, z niezmierną ciekawością patrzyłem na owe armaty, które, jakby nie zwracając uwagi na nas, w dalszym ciągu, w pierwotnym kierunku, ku owej naszej głównej masie pracowały. Zato zauważyłem, jak jakaś długa czarna linja na skraju horyzontu, wyraźnie się na zielonem tle pół odcinająca, zaczęła z początku zwolna, a potem coraz prędzej ku nam się przysuwać. W jednej chwili zameldowałem o tem podoficerowi, a ten jakimś panu, który na pięknym, gniadym koniu w tej chwili do nas kłusem podjeżdżał.

Był to kapitan Ubysz. Zeskoczywszy z konia, wy dobył z pokrowca lunetę i skierował ją ku owej linji, którą miałem zaszczyt sam mu pokazać. Wnet zwrócił się do nas i krzyknął:

— Siadaj-no który na szkapę i ruszaj po kosynie-

rów, niechaj tu żwawo biegną, tylko konia w pysku nie ściągaj, bo cię zrzuci!

A do nadchodzącego porucznika:

— Czy powarjowali? Toż na piechotę, stojącą w lesie, kawalerję puszczają! — Potem, zwracając się do Galicjan, kazał im wstrzymać ogień, nastawić wizjerów na 400 kroków i czekać.

A potem rzekł do nas:

— A wy, chłopcy, za drzewa i baczność!... A gdy mi który bez komendy strzeli, to już ja mu strzelę!

Tymczasem owa linja zbliżała się coraz bardziej, wkrótce usłyszeliśmy tętent koni, później błysnęły wydobyte szable i utworzyły błyszczący pas nad zbliżającą się masą; rozległo się głośne: uraaa! — aż echo w lesie odpowiedziało, zahuczała ziemia i jakby zarząła miarową falą.

Przyznaję, że mi serce biło jak młotem, ale nie tyle ze strachu, choć, coprawda, i tego tam trochę było, ile z oczekiwania. Boć i na dzika niezupełnie się spokojnie czeka, a tutaj te *du-du-du! du-du-du!* silniej na nerwy działały.

Widziałem doskonale, jak jakiś wąsaty oficer z długimi bokobrodami, które mu wiatr na ramiona zarzucił, bódł konia ostrogami i szablą coś szeregom pokazywał, a wtem rozległ się ostry, dźwięczny głos Ubysza:

— Na tuj! cell! od lewego w dym pal!

Rozległ się długi trzask, jakby kto sztukę płótna rozdierał, dym zasłonił wszystko, a gdy się trochę rozwiał, zobaczyliśmy przed sobą kilkanaście koni

i ludzi, a reszta zmykała w pełnym galopie, co chwila jednak z tej masy wysuwał się to koń, to człowiek i już zostawał na polu.

Galicjanie ze swoich belgijczyków puścili im w dogonkę kilkadziesiąt strażów, ale Ubysz kazał wstrzymać ogień, mówiąc, że do cofającego się nieprzyjaciela nie strzela się i że tak polski żołnierz nie powinien robić.

Mój oficer, którego doskonale wytrzymałem, biorąc go wpół z prawej strony, zachwiał się na siodle, pałasz mu wyleciał z ręki, ale go zaraz podtrzymali i zabrali ze sobą. Kilka koni bez jeźdźców wpadło na nas i te zatrzymano.

Konie były rosłe, skaro-gniade, jeden szczególnie z białą gwiazdką na czole wszystkim się podobał.

Po polu cwałowało także kilka koni, i nasi kosynierzy chcieli je chwycić, ale Ubysz nie pozwolił.

Tymczasem ogień artyleryjski rozdzielono; nad naszymi głowami zaczęły znowu wyc granaty i ze straszliwym hukiem pękać ztyłu w lesie, ale nikomu nic złego nie zrobiły, tylko jednemu strzelcowi sucha gałąź, oderwana granatem, rękę złamała.

Parę granatów nie pękło, a jeden kosynierzy znaleźli. Między nami usposobienie było dobre, bo nic tak nie rozwesela żołnierza, jak zwycięstwo, a po owym udatnem odparciu wspaniałej i groźnej szarzy huzarów byliśmy gotowi choćby piechotą na armaty uderzyć, z owym niewystrzelonym granatem w rękę. Projektowano włożyć weń hubkę i w chwili, gdy będziemy dochodzili, zapalić i rzucić między artylerzystów.

A że granacisko było ogromne, więc liczyliśmy na straszliwy efekt, jaki z tego wyniknie.

Jednakże mimo pozornej praktyczności tego projektu, której ja, co prawda, nie przyznawałem, kapitan parsknął śmiechem, machnął ręką i kazał nam dalej leżeć pod sosnami.

Ja byłem po części w rozpacz, gdyż udało mi się wystrzelić zaledwie cztery ładunki, a byłem już w dwóch bitwach, wypadało zatem po dwa ładunki na bitwę, a że ich miałem 150, więc starczyłoby na 75 bitew, to jest na liczbę, którą się żaden, nawet napoleoński żołnierz poszczycić nie mógł.

Wielką też chęć miałem pozbyć się chociaż połowy tych ładunków, jednakże myśliwska żyłka do zapasów na wszelki przypadek przemogła.

Właśnie rozmyślałem nad tem, gdy Galicjanie szybko posunęli się naprzód, na sam brzeg lasu, i poustawiali się za drzewami, a nam kazano cofać się w głąb lasu i pokłaść za sosnami na ziemi.

Tu już mnie złość wzięła: gdybym miał karabin, to bym mógł chociaż z połowę swoich ładunków wystrzelać, a tak, leż jak baran za sosną i czekaj zmiłowania Bożego!

Kosynierów ukryto jeszcze dalej, i tak leżeliśmy i czekali. Nieprzyjaciel jakby przycichł, tylko z naszej strony Galicjanie pukali ciągle do owych armat.

A tu naraz zabrzączały kule karabinowe, jakby kto na rój os nastąpił, jednocześnie usłyszeliśmy znowu znany trzask plutonowego ognia, a potem zaraz gęstą tyraljerkę: taf! taf! trrr! taf! taf!

Z naszej strony Galicjanie też nie milczeli. Kule sypały się koło nas, jak grad, to świszcząc, to warcząc, rwąc korę, lub też z głuchym odgłosem „cap!“ uderzając w drzewa. Wogóle przeciwnik nie żałował ładunków.

Po niejakim czasie natężenie ognia zmniejszyło się, ale, mimo to, wezwani do odnoszenia rannych koszy- nierzy dość często przesuwali się między nami, niosąc rannych na pośpiesznie urządzonych noszach.

Już to widok rannych fatalny wpływ wywiera na żołnierzy. Zabity, to nic! padnie sobie na ziemię i leży spokojnie, nikomu nie przeszkadzając, owszem nawet, jeżeli w szczerem polu, to można dwóch położyć jed- nego na drugim, i z poza nich, leżąc, strzelać. A ran- ny, zwłaszcza niewytrzymały, jak zaśpiewa, to czło- wiekowi po plecach ciarki chodzą.

Tak i teraz było z jakimiś dwoma biedakami, ma- jącymi strzaskane nogi; tych jednak dalej w las od- niesiono, a przytem za radą Parady dano im pić wód- ki, ile tylko chcieli, i tak jakoś przycichli.

Dla rannych bowiem najważniejsza rzecz picie. Bez opatrunku mogą się obejść dość długo, bez przykrości, ale pić wołają ciągle; zresztą sam na sobie doświad- czyłem, jak to się okropnie nawet przy stosunkowo lekkiej ranie pić chce.

Ale tymczasem szarzało, strzały pomału cichły, tyl- ko, jeśli gdzie pociemku coś błysnęło, to zaraz z prze- ciwnej strony padało kilkanaście strzałów w tym kie- runku, na te znowu odpowiadano, i t. d. U nas jednak wkrótce zabroniono tej zabawki, i tak się tedy skoń-

czyła owa bitwa bez wyraźnego rezultatu, choć ze znacznymi stratami dla obu stron.

Tak się wówczas zwykle kończyła znaczna większość bitew. Straty były poważne, nieraz 20 procent walczących, a rezultat żaden. Postaliśmy jeszcze czas jakiś, a wtem buchnęła czerwona łuna pożaru, bo nieprzyjaciel w ten sposób mścił się na Bogu ducha winnych Rusinach za swoje nieudatne ataki.

W szeregach odezwały się silne i liczne głosy: „Na pomoc braciom! ratujmy ich!” już się pochylały bagnety i kosy do ataku, ale naczelnik nie pozwolił. Rzeczywiście, atak w szczerem polu na znacznie przeważającego nieprzyjaciela, tak liczbą, jak uzbrojeniem, mającego przytem cztery armaty, miał mało szans powodzenia. Jednakże, jak się potem okazało, należało było go wykonać.

W razie udania się, atak ten byłby nas okrył niepożytą chwałą i wogóle ruch sprawy w Lubelskiem ogromnie posunął naprzód. W razie zaś nieudania się, choćby połowa nawet nas padła, lepiejby było dla sprawy, niż to, co nas potem spotkało.

Boć nato żołnierz idzie w pole, żeby się bić, a nato ma krew, żeby ją przelewał.

„Nie chcesz się bić, siedź w domu, nikt cię nie zmusza, ale jakeś raz poszedł, to stój, ps... kr..., jak mur, a nie, to kulą w łeb!”

Taką przemowę miewał u Ćwieka niepożytej pamięci major Murdeljo, a ja się z nim najzupełniej zgadzałem.

Ruszyliśmy tedy o chłodzie i głodzie w las, zostawiając rannych na pieczy obywateli okolicznych, któ-

rzy w paru powozach już po nich przyjechali. Pamiętam, że w jednym z nich zauważyłem śliczną złotowłosą panienkę z długimi warkoczami, z ogromnym koszem opatrunków, w towarzystwie jakiegoś staruszka.

Maszerowaliśmy tedy całą noc i przeszliśmy nawet przez ową dopalającą się wieś, którą nieprzyjaciel podpalił. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Wieś była pusta. co się zowie, żywego ducha nie spotkaliśmy; gdzieś niegdzie zapadały się z trzaskiem krokwie i wybuchały słupy iskier w górę, tylko psy wyły przeciągle naokoło, a kosy i bagnety błyszcząły czerwonym, złowrogiem światłem.

W połowie ulicy buchnęło silniej światło, zapalił się bowiem dach na jakiejś stodółce, poza którą widać było szereg niezapalonych jeszcze chat i stodółek. Skoczyliśmy tedy zwawo ku niej i w mgnieniu oka rozerwaliśmy na kawałki, gasząc i odciągając na stronę palące się krokwie, co nam przyszło tem łatwiej, że przy kosach były haki, przeznaczone do ściągania kawalerji z koni. Następnie kosami i bagnetami zasypaliśmy ziemią kilka niezgaszonych jeszcze ognisk, co wszystko razem nawet kwadransa nie trwało, i ruszyliśmy zwawym krokiem dalej.

Och! żeby nam tak wtenczas wpadł nieprzyjaciel pod rękę, poszlibyśmy do ataku nawet na fortece i na setki armat, ale on zaraz z wieczora ruszył w przeciwnym kierunku.

Wyszedłszy z owej nieszczęsnej wsi i wypiwszy wszystką wodę ze studzienek, której jednak i dla po-

łowy nas nie starczyło, nie mówiąc już o koniach, ruszyliśmy dalej jakąś drogą, na której były gęste kałuże. Wypito je momentalnie.

Pić się tak chciało, że ludzie kładli się na ziemi i żłopali wodę jak psy. Ja poomacku natknąłem się na głęboką koleję, pełną wody niezbełtanej jeszcze przez innych, jednakże po napiciu się musiałem język zeszkrobywać z mułu, co na nim osiadł. Na szczęście jednak w manierce jeszcze miałem trochę wódki, którą popłukałem usta, choć niezupełnie, bo mi do rana w zębach trzeszczało.

Galicjanie radzili sobie w ten sposób, że brali w usta swoje szerokie bagnety, a jak się ten kawałek bagnetu, co był w ustach, rozgrzał, przesuwali go dalej aż do końca, a potem zaczynali znów od początku, w ten sposób języki im nie pozasychały tak, jak nam. Przez różne rzeczy wypadało mi przechodzić w życiu, ale od pragnienia już gorszej męki na świecie chyba niema.

Dopiero nad ranem dobraliśmy się do wody; było to jakieś jezioro, konie pierwsze je poczuły, nastawiwszy uszy, rwały się w tym kierunku, wciągając nozdrzami powietrze.

Boże! co to była za rozkosz! Przez całe swoje życie, ani przedtem, ani potem, nic podobnego nie doznałem.

Wszedłszy tedy do lasu, zaszyliśmy się weń głęboko, okropnie się bojąc wyznaczenia na pikiety, ale jakoś się udało szczęśliwie i nie ruszono nas wcale. Stamtąd ruszyliśmy znowu lasami, kołując; podwieszio-

no nam dostatecznie jedzenia, i już wypoczęci, nakarmieni, zajęliśmy znowu pozycje.

Jak wyglądała pozycja główna, tego nie wiem, albowiem była z przeciwnej strony lasu. Z tej zaś strony, na którą nas poprowadzono, był starodrzew, gęsto krzakami podszyty, przed nami łąki, potem pola, a na skraju horyzontu niebieszczyły się jakieś krzaki, czy lasek. Za ledwie rozpaliliśmy ogień i zdołali upiec swoją słoninę, gdy przyleciał ułan z rozkazem do porucznika: mieliśmy leżeć spokojnie i czekać dalszych rozkazów, nie iść zaś na drugą stronę lasu bez rozkazu, chociażbyśmy bitwę słyszeli.

Widocznie oszczędzano nas, chociaż w obu bitwach nie straciliśmy z naszej kompanji ani jednego człowieka, przeciwnie, przybyło do nas sporo ochotników, bo wszystkich młodszych, po przeegzaminowaniu, przyłączono do nas. Nasza kompanja ptaszników zgórą stu ludzi już liczyła. Wprawdzie były to wszystko chłopaki, około 15-tu, 16-tu lat mające, ale myśliwi, prawie wszystko wieśniacy, i może odpowiedniejsi do służby partyzanckiej od wielu dorosłych. Przytem byli między nami i starsi żołnierze, wytrawni, praktyczni, tak, że nasza kompanja wcale się nieźle prezentowała.

Pogasiwszy swe ognie, leżymy sobie i gawędzimy, wtem placówki, które stały o kilkadziesiąt kroków od nas na samym skraju lasu, dają znać, że naprzeciw nas, na polu, mającą jacyś jeźdźcy. Porucznik wybiegł na skraj, a jeden ze starszych podoficerów, który miał nadzwyczaj bystre oczy, odrazu poznał, że

to kozunie. Pomyszkowali wokoło i znikli, nie zbliżając się do nas, jednak porucznik kazał broń opatrzyć i nałożyć pistony.

Właśnie nakładałem na lewą lufę, kiedy usłyszeliśmy głuchy odgłos wystrzałów, to rzadszy, to gęściejszy, z tamtej strony lasu, gdzie stały główne nasze siły. Porucznik kazał rozebrać broń z kozłów i następnie, posunąwszy nas naprzód, starannie porozstawiał za grubszymi drzewami. Mnie się dostała gruba lipa, rozdzielająca się od dołu w dwa konary, tak, iż mogłem, doskonale zakryty, z pomiędzy nich strzelać.

Staliśmy długo, potem posiadaliśmy w oczekiwaniu, a tymczasem z tamtej strony lasu dochodził nas ciągle przytłumiony grzmot strzałów karabinowych, to wzmagający się, to słabnący huk armat i pękających już w lesie granatów, gdzieś daleko z tyłu za nami.

My tymczasem, zasmakowawszy w bitwie, po owej, tak szczęśliwie odpartej szarży, gniewaliśmy się, że nas traktują jak dzieciaków, nie dopuszczając do bitwy, a przecież daliśmy już dowód, że dzieciakami nie jesteśmy.

— O! zobaczycie, bitwa się skończy, a nas tu będą trzymali dla zakrycia tyłu, którego ani pies nie przyjdzie powąchać — mówiono.

Ale starszy podoficer uspokajał:

— Nie bójcie się — powiada — i nas krew nie minie, bo te kozunie nie nadarmo tu myszkowały, ot zobaczycie, że z tych krzaków wyjdą do nas goście.

Jakoż tak się stało.

Z krzaków, co czerniały naprzeciwko, wybiegło kilka czarnych punkcików, zataczających szybkie koła i zbliżających się coraz bardziej ku nam, ale widocznie nie byli pewni, czy tam jesteśmy, czy nas niema. Potem kilka takich punkcików znacznie już większych, tak, że było można doskonale odróżnić konnych, przybliżyło się pędem, lecz nie dobiegli bliżej, nad jakie półtora tysiąca kroków, stanęli i przypatrywali się długo, następnie zwrócili się pędem napowrót.

Wkrótce potem z owych krzaków wysunęła się duża czarna plama, która zaczęła się zbliżać ku nam i, doszedłszy mniej więcej do połowy drogi, zatrzymała się. Zaczęto szeptać między nami, ilu ich jest; jedni mówili, że dwieście, drudzy, że trzysta. Nareszcie z tej masy wysunęło się kilkudziesięciu ludzi i, rozsypawszy się długim, rzadkim szeregiem tyraljery, ruszyli ku nam, a za nimi owa pozostała część kolumny.

Doszedłszy na jakie tysiąc kroków od nas, znowu stanęli, i naraz wykwitły jakby białe kłęбки waty, zaświstały kule i rozległ się rzadki huk strzałów karabinowych.

Strzelali sami tyraljerzy. Myśmy leżeli spokojnie za drzewami, doskonale zaszyci, i przysłuchiwali się gwiżdżącym i warczącym kulom, a że u nas było zupełnie cicho, nie odpowiadaliśmy bowiem wcale, więc każdą kulę było doskonale słychać, jak świszczała między liśćmi, lub uderzała w pień drzewa.

Postrzelali tak jakiś czas, potem chwilę postali, i przekonawszy się, że nas niema, ruszyli naprzód już całą kupą. Uszedłszy jednak znowu paręset kroków,

widocznie zobaczyli nas, gdyż stanęli w jednej chwili, jak mur, postali, aż nareszcie już wszyscy rozwinęli się w długą linię tyraljerską i zaczęli zbliżać się do nas, gęsto strzelając, ale bardzo zwolna idąc.

Gdy nareszcie przybliżyli się tak, że już można było guziki rachować i kolor lampasów rozróżnić, porucznik palnął do nich pierwszy, a wślad za nim posypały się gęste strzały z naszej strony.

Ja trzymałem na muszce jakiegoś ogromnego chłopca, który widocznie coś sobie do mojej lipy upatrzył, bo dwie kule, jedną za drugą, w nią wsadził. Wiatr dym doskonale nabok unosił, więc go widziałem jak na dłoni, i pamiętam, że mi przyszło na myśl: — Puszczysz ty moją lipę, popsuję ja ciebie.

Mając go tedy doskonale na muszce, lekko ściągnąłem prawy cyngiel, następnie lewy, on zaś okręcił się i palnąwszy jeszcze, jakby na wiwat w górę, padł, jak kłoda, na ziemię.

Nie byłem z przyrodzenia zły, ale przyznaję, że na ten widok doznałem zupełnie takiego wrażenia, jakiego się doznaje na widok padającego „z dymem“ dzika, albo wilka, tylko jeszcze w znacznie wyższym stopniu; nuże tedy odgryzać ładunki, a nabijać, a strzelać, aż mi się lepażówka rozgrzała.

Oni nas też nie żalowali, aż las jęczał od huku strzałów i świstu kul. Ja tymczasem, przecierając strzelbę kłakami, dopiero spojrzałem nabok: nasi pracowali niezgorzej, ale już kilkunastu leżało na ziemi. Wtem przylatuje do mnie z prawej strony Panienska (był to śliczny chłopiec, syn jakiegoś obywatela z Hrubie-

szowskiego, któregośmy tak nazywali wskutek nadzwyczajnej delikatności rysów, co mu jednak nie przeszkadzało nader celnie strzelać), i dalejże prosić o pożyczanie ładunków. On miał śliczny gwintowany sztuczer, z którego na egzaminie na trzysta kroków dwie kule w drzewo wsadził i, jak mówiono, w czasie owej szarży kilku huzarów z konia zsadził.

Wyjmuję tedy paczkę i próbujemy kalibru, pasują, jak ulał, daję mu więc paczkę (12 sztuk), a on ją prosić:

— Mój ty złoty, mój ty kochany, daj jeszcze, tobie i tak wystarczy!

Dałem mu tedy drugą, a że przez ten czas jakoś u nich osłabło, wyglądam sobie swobodnie między konarami i widzę, że znacznie dalej już stoją.

Naraz, jak świśnie kula! oderwała kawałek kory i pęc nią Panienkę w nos, aż się w jednej chwili krwią zalał.

Kochałem go, jak wszyscy, a nie wiedząc czem dostał, przerażony, chwytam go wpół i dalejże obmywać mu twarz wódką, której miałem pełną manierkę.

Okazało się zaraz, że cały, tylko mu krew z nosa płynie. Dalej tedy przemywać, następnie posadziłem go za lipą, nabiłem mu sztucerek, a sam zabrałem się znowu do roboty.

Tymczasem u nich ucichło, cofnęli się znacznie wtył, zostawiwszy kilkunastu swoich, porozrzucanych w owej pszenicy, a widziałem także doskonale dużo kupek, że rannych na noszach nosili.

U nas też było kilku zabitych, których odciągnięto

w głąb lasu, i kilkunastu rannych; tych zaraz zaczęto opatrywać. Panience przestała iść krew z nosa, padliśmy więc znów za lipę, zakąsiliśmy doskonale chlebem i pieczoną kurą, którą skądś Panienka wynalazł, i gawędzimy sobie w najlepsze, kiedy znowu zaczyna się ogień.

Nieprzyjaciel, odsunawszy się na jakie osiemset albo i więcej kroków, rozpoczął do nas silny ogień, który, jak zwykle na taką odległość, ogromnie dużo napuśł gałęzi, wronich gniazd i wystraszył wszystko ptactwo w całym lesie.

My, jak zwykle w takich razach, nie odpowiadaliśmy, leżąc sobie spokojnie za drzewami.

Po długiej takiej pukaninie, przekonani, prawdopodobnie, że nas już conajmniej wszystkich wystrzelali, ogromnie trąbiąc, bębniąc i krzycząc: uraaa! — ruszyli klusem do ataku, podczas którego jednak w dalszym ciągu nie omieszkiwali owe wrony nad lasem latające straszyć.

Tak podbiegli do nas, na jakich kroków sto. Widziałem ich doskonale, i jeszczeby szli dalej, kiedy Panienka ściągnął jednego oficera, silnie wymachującego pałaszem i biegnącego z prawej strony kolumny.

— *Voilà mon nez vengé!* *) — szepnął do mnie, śmiejąc się, a wtem buchnęła z naszej strony salwa, najpierw z prawych luf dubeltówek, a po chwili z lewych.

Już po pierwszej salwie atakujący drgnęli i stanęli,

*) Oto mój nos pomszczony.

a po drugiej urządzili tak wspaniałą rejteradę, że aż z pomiędzy pszenicy kurz w górę poszedł.

Jednakże odbiegłszy na jaką wiorstę, stanęli. Widocznie zdetonowała ich owa druga salwa, której się nie spodziewali. Z naszej strony wszystkiego jeden przy tym drugim ataku oberwał, a i to lekko po rękę — przewiązany, żartował sobie z tej rany.

Dalej tedy czyścić broń, przeliczać ładunki i t. d.

Gęby mieliśmy czarne, jak murzyni, bo czarnemi rękami pot się ścierało i muchy spędzało, a i z wodą już kilka dni nie mieliśmy do czynienia, słowem, wygląda- liśmy tak, że choć w pierwszą parę na bal kominiar- ski, ale zato usposobienie!...

Serce nam rozpierała jakaś duma szalona, jakieś zadowolenie niesłychane, jakieś podniesienie ducha i poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

Bój, zwycięstwo! Czarowne słowo, cudne uczucie, z niczem nie porównane. Ono to chłodziło grenadje- rów napoleońskich wśród bezwodnych, spiekłych pu- styń egipskich, a rozgrzewało wśród mroźnego dnia pod Austerlitz. Ono ożywiało starą gwardję, prowa- dzoną przez Neyą, kiedy podczas trzydziestostopnio- wego mrozu 1812 r. zaintonowała jak jeden mąż: „*Veillons au salut de l'empire!*“ (Czuwajmy nad oca- leniem cesarstwa). Mnie, wychowanemu w tradycjach napoleońskich, brzmiało w uszach po francusku: „*Mou- rir pour la patrie c'est le sort le plus doux, le plus digne d'envie* *).

*) Umrzeć za ojczyznę, to los najśłodszy, najgodniejszy za- zdrości.

Jedna taka chwila za życie starczy, żal mi tych, co jej nigdy nie doświadczyli, bo takie życie to coś niepełnego, czegoś najpiękniejszego w niem brak!

Broń zdawała się nam w rękę, jak piórko, nie wdół nam ciążyła, ale jakby unosiła w górę, każdy niby skrzydeł dostał i wnet wlot pofrunie!

Jakoś znowu przysłała mi do głowy piosenka żołnierska francuska:

En avant marchons
Contre leurs canons,
Contre le feu et la mitraille
Courrons à la victoire! *)

Aż wtem ze wszystkich piersi buchnęło, jak grom: „Jeszcze Polska nie zginęła!” a echo rozległo się szeroko po lasach i rozłogach!

7. POGORSZENIE POŁOŻENIA — PIERWSZA RANA — COFAMY SIĘ KU GRANICY

Obstawiliśmy gęsto skraj lasu pikietami, na prawo i na lewo daleko wysuniętymi, ku czemu przysłano nam z głównej komendy oddział kawalerji, nieodzownie potrzebny nietylko dla pikiet, ale do porozumiewania się z główną komendą. Wysłany bowiem z raportem pieszy, jeszcze przed drugim atakiem, dopiero

*) Idźmy naprzód przeciw armatom, przeciw ogniewi i kar-taczom, biegnijmy do zwycięstwa.

po skończeniu potyczki doń się dostał, i teraz za plecami kawalerzysty napowrót wrócił.

Opowiedzieli nam kawalerzyści, że z tamtej strony lasu bitwa, co obecnie także ucichła, prowadzona była prawie tak samo, jak u nas. Te same nieudane ataki, tylko z większą liczbą ludzi i ogromnym hukiem owych czterech armat, z których jednak wielkiej krzywdy nam nie zrobili.

Ofiarą całego owego ognia artyleryjskiego był tylko jeden zabity i kilku rannych, z których prawie połowa od padających zgóry gałęzi i wierzchołków drzew.

Ale od kul karabinowych sporo naszych zginęło, i rannych jest też sporo od kul i bagnatów, bo raz już wpadli do samego lasu i z Galicjanami zaczęli się na bagnety ścierać, lecz jak tylko brzękły kosy nadciągających kilkudziesięciu kosynierów, których Parada na ochotnika pędem przyprowadził, jak tylko błysnęły kosy z za krzaków, szybko tył podali. Wszakże kosynierzy ich dopadli i wielu szpetnie pokiereszowali.

Pytałem się o swego Pietrka, ale nic mi nie umieli powiedzieć, dopiero w parę dni później, spotkawszy się z Paradą, dowiedziałem się, że się za swoją nieboszczkę halabardę okrutnie pomścił, mając bowiem, zamiast zwykłej kosy, na sztorc oprawny rzezak od ręcznej kosiarki, znacznie większy i cięższy, rozwalił nim łeb jednemu prawie na dwie połowy, drugiemu przeciął ramię i żebro napoczął, a tak się rozsmakował, że chciał biec za nimi dalej, i prawie siłą go zatrzymano.

Mówili jeszcze kawalerzyści, że na polu przed lasem leży wielu poległych nieprzyjaciół i że zdobyto sporo karabinów, tylko niestety mało ładunków, gdyż przeważnie ładownice były puste.

Pokazaliśmy im także, że i my nie próżnowaliśmy, poczem jęli nas ścisnąć i całować, winszując, że nam się tak świetnie udało.

Powiadali też, że usłyszawszy u nas strzelaninę, mieli już na pomoc trzecią kompanję strzelców przysyłać, ale wysłany ku nam rekonesans, któregośmy nawet nie widzieli, bo gdzieś dalej do skraju lasu dotarł, przywiózł wiadomość, żeśmy wroga odparli i że nas kapitan Ubysz i sam naczelnik ogromnie za to chwalili.

Więc nasz porucznik silnie węża podkreślił i powiada:

— A co, jabym swoich ptaszników za grenadjarów gwardji nie pomieniał!

Tem nas ostatecznie do siebie przywiązał.

Tymczasem pić nam się chciało okropnie, a przede wszystkim szło o biednych rannych, którzy wielkim głosem o wodę wołali. I tu się okazała praktyczna korzyść mojej znajomości życia lasu: ruszywszy bowiem wgłąb, wkrótce znalazłem nizinę, na której dość gęsto rosła osoka, niechybnie znak bliskiej wody.

Zaraz tedy pałaszami i rękami, czem kto mógł, wykopaliśmy obszerną i dość głęboką jamę aż do białego, twardego iltu, która w krótkim czasie napełniła się do połowy wodą prawie na półtora łokcia głębo-

ko, a gdy się tylko ustała, nabraliśmy pełne manierki i najpierw doskonale napoili rannych, a potem poczekawszy, napiliśmy się sami, ba! jeszcze i dla koni ułańskich starczyło.

Jak żyję, nie pamiętam tak gorliwej roboty. Wycięte pałaszami ułanów bryły ziemi, a potem kolbami i czapkami wyciągane gęste i rzadkie błoto — wnet tylne szeregi odsuwały precz z pod nóg kopiących, tak, iż poprostu w oczach dno jamy się zapadało. Po skończeniu roboty, wyglądaliśmy jak nieboskie stworzenia, ale jakże nam ranni dziękowali.

Wtem z tyłu usłyszeliśmy jakiś trzask i turkot, skoczyli ułani konno i po chwili usłyszeliśmy głośny okrzyk: wiwat!

Pokazał się ogromny wóz, a na nim jakaś bardzo elegancka pani, z nią folwarczna dziewczka i żydek; powoził furman w szafirowej liberji. Może ci ludzie jeszcze żyją, to niechże wiedzą, że każdy z nas, który tam był, do śmierci im tego nie zapomni i wdzięczność za ten dowód prawdziwej odwagi i poświęcenia dla nich żywi.

Zaczęto tedy wyładowywać wóz i rozdawać przywiezioną żywność. I czego tam nie było: i woda z sokiem, i mleko, i stare wino, któreśmy zaraz rannym rozdali, a dalej mnóstwo jaj gotowanych na twardo, szynki, kiełbasy, sery, ogromne ćwierci pieczonego mięsa i tam dalej.

O zacna Polko, niechże ci Bóg da szczęście, jak na to zasłużyłaś!

Jak mówił furman, dwa razy spłoszyły im konie pękające granaty, jednego konia zabiła kula; pod ogniem musieli odprzęgać, a jaśnie pani nie bała się nic — mówiła sobie tylko: „Pod twoją obronę” tak spokojnie, jakby w swojej ławce w kościele, tylko Maryska to tak kwiczała ze strachu, jak prosiak, i, dopiero schowawszy głowę w słomę, uspokoiła się.

Porozsyławszy żywność tym konnym i pieszym, co na pikietach stali, zabraliśmy się do pałaszowania tych specjałów, a owa śliczna pani ze swoją Maryską i felczerem-żydkiem, którego przywiozła z sobą, wraz z całym pakunkiem szarpki, bandaży, tasiemek i t. p. — do opatrywania rannych. A miała jakieś anielskie spojrzenie, że jak tylko wzięła którego rannego za rękę, zaraz przestawał się skarżyć i dawał się spokojnie opatrywać, nawet jeden chłopak, co miał okropnie strzaskaną nogę w samem kolanie i w gorączce wołał ciągle: — „Mamo, boli! Oj, mamu, boli!” i ten, jak tylko uklęknął przy nim, obmyła, ucałowała, a potem wzięła za obie ręce, dał sobie spokojnie strzaskaną nogę do kija przywiązać. Położono go ostrożnie na owym wozie ze słomą, trzymał jednak panią ciągle za rękę i nie chciał puścić, wołając ciągle: — „Mamo, nie chodź!” — Siadła tedy z nim na on wóz i tak ruszyli stępa pod silną eskortą ułanów. Felczer zaś został wraz z Maryską w oczekiwaniu na wozy, które miały zaraz po resztę rannych przyjechać; jakoż i przyjechały wkrótce.

Pytaliśmy żyda, jak się nie bał do nas przyjechać? Ale on z oburzeniem odpowiedział:

— Jakto się nie bał?! — Ja się okropnie bał, ja się teraz jeszcze okropnie boję, ale cóż, kiedy jaśnie pani kazała jechać, to ja musiał jechać, to taka pani, co jej każdy słucha, i pan żołnierz taki duży, taki straszny, że jak spojrzeć, aż strach! — (rzeczywiście pytał go olbrzymi kozak sułtański Czajkowskiego, z wielką brodą, olbrzymiemi, jak wiehcie, wąsiskami i straszliwym wyglądem, a jak zwykle bywa, z prawdziwie gołębią, żołnierską duszą) — ale, jakby jaśnie pani kazała, toby pan żołnierz albo w ziemię wlaźł, albo w powietrze jak ptaszek pofrunął!

Parsknęliśmy wszyscy śmiechem na samą myśl o fruującym, jak ptaszek, olbrzymie, który pewnie dziesięć pudów żywej wagi sobie liczył.

Tymczasem przybyły wozy, zabrały rannych, a my, najadłszy się dosyta, z trudnością zabraliśmy resztę żywności, tyle tam tego było, i dopiero, dzięki ułanom, którzy wyładowali sakwy po brzegi, udało się jakoś resztę sprzątnąć.

W owych czasach po dworach, jak tylko usłyszano o krążących w okolicy partjach, przygotowywano zapasy żywności, pieczono mięso, chleb i t. d.

Jakieśmy się później dowiedzieli, i nasz główny oddział tegoż wieczora obficie w wyborną żywność i furaz dla koni zaopatrzony został.

Złożywszy zabitych w jednym miejscu i zatknąwszy tylko nad nimi, żołnierskim obyczajem, krzyżyk z dwóch gałęzi zrobiony, albowiem nazajutrz miało ich pochować, zanocowaliśmy na pobojowisku.

Zabitych było 22, rannych 40, więc do apelu sta-

nęło nas znowu osiemdziesięciu, jak w dzień uformowania naszej ptaszniczej kompanji; ale teraz był to twardy, zahartowany żołnierz; na zgryzienie takiego orzecha nielada zębów trzeba było, przynajmniej myśmy byli o sobie tego zdania!

Zasnęliśmy tedy na pobojuwisku, ale jeszcze w nocy nadjechał ułan z rozkazami, potem nadciągnął oddział strzelców, ze czterdziestu ludzi wynoszący, a potem zaraz zbudzono nas i ruszyliśmy z miejsca. Że zaś to było już nad ranem, więc zdołaliśmy się wyspać nieźle. Najedzeni, umyćci, z pełnemi manierkami wody z wódką lub winem — bo woda w owej kopance przez noc jak kryształ się wyklarowała — w wesołem usposobieniu ruszyliśmy naprzód.

Około południa zajęliśmy znowu pozycję na skraju lasu, gdzie już nas oczekiwał jakiś oficer z ułanem, który, oddawszy rozporządzenia naszemu porucznikowi, zabrał z sobą wszystkich ułanów i tęgim kłusem wraz z nimi odjechał. Nam kazano przygotować broń i rozstawiono nas zaraz za drzewami długą linią, a strzelców umieszczono na prawem skrzydle. Po krótkiej chwili usłyszeliśmy tak jak wczoraj, z drugiej strony lasu, tylko, o ile się zdawało, nieco bliżej, huk armat i strzałów karabinowych. Widocznie więc znowu nasze centrum zaatakowano.

Trwało to dość długo, aż nareszcie zobaczyliśmy z prawej strony, naprzeciw tego miejsca, gdzie stali strzelcy, wysuwającą się od wsi kolumnę nieprzyjacielską, która jednak tym razem nie rozsypywała przed sobą tyraljerów i, nie strzelając, zbliżała się

do nas, aż dopiero zbliżywszy się na kilkaset kroków, zaczęła sypać gęstym ogniem. Po chwili zawarczały bębny i rzucili się na nas kłusem do ataku, ciągle jednak strzelając.

Było ich znacznie więcej niż wczoraj i byli to inni żołnierze, jacyś nowoprzybyli. Przypuściliśmy ich, jak wczoraj, na dwieście kroków, i przyjęli morderczą salwą, po której zwinęli się w kłęb, wyrzuciwszy z pomiędzy siebie sporo zabitych i rannych, cofnęli się paręset kroków wtył i stamtąd, bezpieczni przed ogniem naszych niedalekonośnych dubeltówek, strzelali tylko ci, którzy mieli gwintowaną broń.

— Nauczyli się, złodzieje, bodaj ich cholera! — mruknął ze złością stary podoficer. W tej chwili usłyszałem głucho palnięcie, a on siadł, karabin wyleciał mu z ręki, pochylił się nabok, drgnął parę razy i upadł. Kula trafiła go w samo serce!

Spojrzałem na prawo i na lewo po linii i zobaczyłem dużo naszych, leżących to nawznak, to na boku, z powypuszczanemi z rąk strzelbami. Byli to wszystko zabici i ranni, żywi bowiem leżeli na brzuchu i broń trzymali w rękach. Kule leciały jak grad, rwąc korę, odbijając się od ziemi, świszcząc i wyjąc różnorodnemi głosami. Na nieszczęście, drzewa tu były daleko cieńsze, niż na wczorajszym stanowisku, nie można było się za nimi dobrze ukryć.

Więc coraz który z naszych drgnął, wypuszczał strzelbę z rąk i konwulsyjnym ruchem przewracał się na stronę. Kazano nam się tedy cofać, gdyż chociaż porucznik pchnął dwóch posłańców do głównej ko-

mendy z raportem, jak tylko wychyliła się ze wsi owa szturmująca kolumna, ale pomocy widać nie było.

Ja jeszcze pierwiej zauważyłem stojącą o kilkanaście kroków ztyłu grubą lipę, więc w kilku susach byłem już za nią, szukając oczyma jakiegoś drugiego odpowiedniego drzewa ztyłu. Jakoż wkrótce dojrzałem znowu drugie, więc szust za nie i t. d.

A tu kule grają i wyją, jakby je kto do tego wynajął. Zrobiło mi się jakoś mdło na sercu; kiedyż bo ta piekielna muzyka przycichnie choć trochę? A ona, zamiast przycichać, jeszcze się wzmağa, i naraz wśród warczenia bębna, zahuczały wystrzały jeszcze głośniej, zlewając się wraz z echem w jeden ciągły huk, jak grom.

— Słysz, Stefek; są już w lesie! — krzyknął mi z lewej strony Panienska, odskakując za ogromną sosnę, z poza której zaraz złożył się i wypalił.

Wyglądam, a tu przede mną, na jakie 50 kroków, stoi trzech, a raczej dwóch, gdyż jeden zaraz upadł. Widocznie zobaczyli nas, bo złożyli się ku nam, zanim jednak zdołali wystrzelić, taf! taf! — położyłem jednego, a drugi, jak sarna, przesadził przez kłodę i tyłem go widział.

Dalej tedy nabijać, przyczem dałem Paniencie znowu paczkę ładunków, tak też, że mi zostało już tylko dwie, i skaczemy z nim, jak sarny, ciągle przystawając dla odpoczynku za grubszymi drzewami.

Kiedy jakoś las się przerzedził i już w kierunku naszego centrum więcej krzewów niż drzew było, stanąłem za krzakiem, żeby tchu nabrać, aż tu, nie-

wiadomo skąd, wyskakuje widocznie za nami specjalnie biegnący oficer, i składa się z rewolweru, więc ja też do niego: huknęły strzały jednocześnie: czy on co dostał, tego nie wiem, bo w chwili, gdy ciągnąłem za cyngiel, uczułem w lewej nodze jakby silne ułknięcie, on zaś znikł za dymem, jakby się pod nim ziemia rozstąpiła.

Biegnę dalej do grubej sosny, na środku owej polanki rosnącej, i nabijam tylko co wystrzeloną prawą lufę, ale kiedy ruszyłem dalej, czuję, że mi jakoś lewa noga nieswoja, dobiegłem jednak jeszcze do innego drzewa, za którym przysiadłem, aż tu o kilka kroków zboku, Panienka woła:

— Stefek, tyś ranny!

Przybiegł zaraz do mnie, a ja poczułem gorąco w nodze; cała nogawica czerwona, wyraźnie zatem jestem ranny. Nuż tedy ściągać but, który był pełen krwi, zawijać spodnie i szukać owej rany. Jakoż okazało się, że mam na samym brzegu przestrzeloną nawyłot łydkę.

Bólu dotąd nie czułem żadnego, dopiero gdyśmy zaczęli obmywać wodą z wódką ranę, zapiekło porządnie. Po nałożeniu szarpi i mocnem obandażowaniu, chciałem włożyć but, ale wleźć nie chciał, więc rozcięliśmy cholewę, włożyli but, a potem obwiązali rozciętą cholewę nazewnątrz i ruszyli dalej.

Z początku ciężko było iść, ale potem rozchodziłem się i prawie nie czułem rany. Szedłem jednak już wolniej, bo i kule gwizdać koło nas przestały. Wtem zatrzeszczały gałęzie przed nami i zobaczyłem kłu-

sem biegnący oddział Galicjan, przed nim jechał jakiś oficer i, przybiegłszy do mnie (przyczem zauważyłem, że miał prześlicznego karego konia, a w ręku ogromny kawaleryjski rewolwer), śpiewnym lwowskim akcentem zapytał: „Ilu was jest?”

Odpowiadam: — Było 120, a ilu zostało, tego nie wiem, bo dużo naszych padło.

On na to: „Możecie się cofać dalej” — i poleciał.

Po chwili w kierunku, w którym pobiegli Galicjanie, rozległ się gromki okrzyk: huraaa! — Trzask suchych karabinowych wystrzałów, a potem wśród basowych karabinów rosyjskich grzechot, jakby kto groch na ścianę sypał, tak gęsty, rewolwerowego ognia. Galicjanie bowiem, oprócz karabinów, mieli, prawie każdy, rewolwer, i teraz, po wystrzeleniu karabinów, zarzuciwszy je na paskach na lewe ramię austriacką modą, wzięli się do rewolwerów, którymi na bliską metę i w krzakach wielkie spustoszenie zrobili.

Cały ten trzask i łomot szybko się zaczął oddalać w tym kierunku, skąd przybył, i teraz na nieprzyjaciela przyszła kolej biegać i chronić się za drzewami. Tylko, że Galicjanie nie dali im czasu na zatrzymanie się i odstrzeliwanie się, lecz parli pędem przed sobą przez cały las, a potem jeszcze, wyparłszy z lasu i wzięwszy się znowu do karabinów, na polu porządnego im dali łupnia. Mówili nasi, z których wielu za Galicjanami pobiegło, że nawet połowa tych, co wpadli do lasu, nie została, a i z tych, co zostali, dużo było postrzelonych, i wogóle o tym rewolwerowym

ogniu cuda opowiadali. Była to jeszcze nowość, więc nadzwyczajne zrobiła wrażenie.

8. PRZEJŚCIE GRANICY — LISKI — UHNÓW — HOHOŁÓW

Ja tymczasem wlokłem się do naszego centrum, skąd dochodził jeszcze huk wystrzałów, choć coraz słabnący, noga mię wprawdzie nie bolała, ale iść było ciężko i jakoś niezgrabnie. Nareszcie przywlokłem się na miejsce opatrunku, gdzie mi zaraz nogę przewięto, przytem jakiś młody doktor, który mnie opatrywał, powiedział, żebym tylko ile możności nie chodził, to za tydzień będę zdrów.

Nadciągali teraz nasi, niektórzy sami, inni prowadzeni przez kolegów, ale żaden nie był tak lekko ranny, jak ja. Wieczorem, gdyśmy się porachowali, zdrowych wraz ze mną zostało 37, reszta byli zabici lub ranni.

Późnym wieczorem wrócili Galicjanie i zaraz ruszyliśmy w pochód na całą noc. Na drugi dzień słyszeliśmy znowu kilka dalekich wystrzałów z armat: to strzelano do naszych ułanów, którzy, jak mówiono, alarmowali ciągnące za nami oddziały. Zresztą, całego tego pochodu nic nie pamiętam, gdyż złożony na doskonale wymoszczonym słomą wozie, wraz z trzema lekko rannymi kolegami, spałem cały ten czas, jak suseł. Rozbudził nas dopiero w jakimś gęstym lesie oficer, rozkazując oddać broń, którąśmy wszyscy przy sobie mieli na wozie.

Nawpół przytomny, przecierając oczy, spytałem go, co to jest? gdyż nam pozwolono broń zatrzymać przy sobie, ale on odrzekł tylko krótko:

— Rozkaz, przechodzimy granicę, broń złożyć na ten wóz, co nadjeżdża.

Z żalem niezmiernym, gorzko płacząc, rozstałem się ze swoją ukochaną lepażówką, obwinąwszy ją na drogę oddartym kawałkiem kilimka, na którym leżeliśmy, i bandażem.

Wkrótce nadjechał wóz, na którym złożyliśmy broń, a ja ucałowałem lepażówkę na pożegnanie.

Dziwnie to jest z tą pamięcią ludzką, wielu rzeczy, które się zdarzały znacznie później, zapomniałem zupełnie, ale czasy młodości, a zwłaszcza ten czas udziału w ruchu, pamiętam tak doskonale, że to, com widział, a nawet niektóre twarze, mógłbym doskonale odrysować, gdybym rysować umiał.

Wóz z bronią wkrótce zawrócił i popędził za innymi, także wyładowanemi bronią, które do lasu umykały. Co się z tą bronią stało, tego nie wiem. Zostaliśmy z głupimi minami, jak psy bez ogonów, i ruszyli dalej. Furman mówił, żeśmy już zagranicą. Nagle rozległo się znane nam tak dobrze z tuczapskiej szarzy: „dududul” i w całym pędzie wypadł na nas szwadron huzarów węgierskich z dobytymi szablami i wielce groźnemi minami. Otoczyli nas natychmiast ze wszystkich stron, przytem słyszałem, jak się nasz Ubysz z poczciwym Węgrem, rotmistrzem owego groźnego szwadronu, ujadał o coś mocno po niemiec-

ku, wkońcu Węgier parsknął śmiechem, machnął ręką i doskonale słyszałem, jak powiedział:

— *No ja! ist gut, aber ich weiss ja davon nichts!*

O co im szło, nie wiem, ale mówiono potem u nas, że poczciwi Węgrzy dwie godziny czekali na to, żebyśmy się mogli rozbroić i broń ukryć.

Jechaliśmy tedy pod ową groźną eskortą ku wsi Liskom, dokąd nas triumfalnie przyprowadzono i gdzie już nas oczekiwało obywatelstwo okoliczne z doktorami, opatrunkami i taką masą jedzenia i picia, żeby nam chyba na rok starczyło.

Pozostawiono nas w miejscowej szkółce, w gminie i t. d., a po opatrzeniu rannych i obfitem nakarmieniu wszystkich, poprowadzono dalej do Uhnowa, miasteczka blisko Lisek leżącego. Ciężko ranni zostali w Liskach, a obywatelstwo i mnóstwo chłopów, którzy nas także obficie częstowali, ruszyli za nami do Uhnowa. Znowu tedy usłyszałem tak dobrze znaną mowę ukraińską, chłopci bowiem tamtejsi, równie jak mieszczanie uhnowscy, byli to Rusini, unicy.

W Uhnowie pomieszczono nas już wszystkich w budynku szkolnym, przed którego drzwiami ów groźny rotmistrz postawił kilku żołnierzy piechoty w obciśniętych niebieskich spodniach, żółtych wysokich trzewikach na spodnie nałożonych i białych mundurach. Ci w oczach naszych nabili karabiny, i stanęli z równie groźnymi minami, jak ich dowódca.

Po chwili wszedł do sali pan Bezirkshauptmann i kazał wszystkie okna otworzyć. Nie mogliśmy ani rusz zrozumieć, po kiego licha to robi, gdyż i deszczyk

padał i dobrze chłodno było, aż dopiero licznie zebrana przed oknami publiczność zaczęła na nas kiwać i wołać:

— Siudy! siudy! utikajte!

Wreszcie zrozumieliśmy i cały tłum zaczął przez okno wyskakiwać i mieszać się z publicznością, która chwyciła „aresztantów“ pod ręce i odprowadzała do domów, albo wsadzała do oczekujących powozów i bryczek, które się nawet nie fatygowały z pośpieszeniem podjeżdżaniem.

Gdy już prawie połowa „jeńców“ uciekła, w pewnej odległości rozległo się parę strzałów, była to nasza straż, która, odsunawszy się o tyle, żeby nikogo znowu zanadto nie przestraszyć, w ten sposób wyraziła swoją czynność. Prawie jednocześnie wpadł do nas jakiś oficer, i nasadziwszy *Donnerwetterów* cocieniara, kazał okna pozamykać. Drzwi jednak były otwarte i publiczności między nami pełno.

Jakiś szlachcic z ogromnymi wąsami lał w nas wino węgierskie, jak w beczki, i opowiadał, że już od dwóch dni cała okolica zjechała się na granicę i słuchała huku armat, że we wszystkich cerkiewkach modlono się za nas i odprawiano nabożeństwa, że oficerowie austriacy zachwycali się nami, że się tak dzielnie trzymamy, a ściskaniom i całowaniom nie było końca.

Po południu, poczciwe mieszcanki uhnowskie nazywały nam sienników, pierzyn, poduszek, by dla każdego na osobną pościel starczyło, a sąsiedni obywatele dostarczyli bielizny. Że to jednak tak nagle

wypadło kilkaset sztuk dostawić, więc chwytno, co było pod ręką.

Kiedy pod wieczór nasi goście odeszli i zaczęliśmy się rozbierać i przybierać do snu, ponakładawszy ona świeżą, pachnącą bieliznę, oryginalny przedstawiliśmy widok. Ja, naprzykład, dostałem jakąś niezmiernie cienką, garnirowaną koronkami, pachnącą, damską koszulę, a że była za długa na jakie pół łokcia, więcem ją ładnie podwinął, co nader komicznie wyglądało.

Tak tedy „umundurowani“, na propozycję jakiegoś figlarza, urządziliśmy apel kompanjami; proszę sobie wyobrazić, jak to wyglądało!...

O, czytelniku, który prawdopodobnie codziennie w łóżku sypiasz, żal mi cię, bo nigdy nie potrafisz ocenić przyjemności, jaką sprawia po kilkumiesięcznym spaniu, nie rozbierając się, na ziemi, a często na błocie, błogie zasypianie rozebranemu na miękkiej, rozkosznej pościeli, i w dodatku w świeżej, pachnącej — garnirowanej koronkami — damskiej koszuli!...

Nazajutrz rano zbudził nas werbel na korytarzu, przez naszą straż zaigrany, i zaraz po modlitwie zabraliśmy się do ubierania. Ale ujrawszy one wstrętne łachy, co stanowiły naszą bieliznę, pozostaliśmy już w swojej nocnej, a ja w swoich koronkach.

Najgorzej było z nogą! Wczoraj doskonale opatrzona, tak się pocziwie zachowywała, żem o niej zupełnie zapomniał, tymczasem dziś, kiedy chciałem na nią włożyć but, ani on na nią, ani ona w niego w żaden sposób wleźć nie chciały.

Tak więc została prawa noga w bucie, a lewa w czerwonej skarpetce, która łącząc się z takąż czerwoną prawie do kolana nogawicą, stężała już doskonale, udawała niby czerwony safjanowy but.

Tymczasem weszło na salę mnóstwo mieszczan z baniakami, dwojakami i t. d., pełnemi krupniku, barszczu, kaszy na mleku, a nawet od księdza proboszcza *ritus graeci* (obrzędki unickiego) zjawiła się pani księżzowa z dwiema córkami i całym cebrem kawy na mleku, z dodatkiem kosza świeżutkich, ciepłych bułeczek. Zaraz owe milusie dziewczęta zaczęły między nas rozlewać kawę i rozdawać bułeczki, wielce zgrabnie przy podaniu każdej szklanki lub filiżanki dygając i zapraszając. Ach! jak nam to smakowało!

Po śniadaniu wszedł znowu pan Bezirkshauptmann z dwoma urzędnikami i zaczął nas wszystkich zapisywać. Naturalnie podawano najdziksze nazwiśka, lata i t. d., co oni wszystko z powagą pozapisywali.

Później okazało się, że poddanych austriackich mają po spisaniu protokołu wypuścić, ale poddanych rosyjskich internować w Ołomuńcu. Dowiedziawszy się tedy o tem, ci wszyscy, którzy mieli nieostrożność przyznać się do pochodzenia z Królestwa lub Ukrainy, zaczęli myśleć o ucieczce. Pamiętam przytem, że na kolejne zapytanie, czyim kto jest poddanym, jeden stary już wiarus bojowy, z tych, co to po całym świecie za wolność się bijali, odpowiedział „Pana Boga“, co nam się wszystkim okrutnie spo-

dobało, a Niemiec punktualnie w odpowiedniej rubryce napisał.

Po obiedzie obfitym i hojnie zraszonym rozmaitemi dereniakami, wiszniakami, miodami i t. p., o wiele smaczniejszymi od owej kałuży tuczapskiej płynami, zabrano się do ucieczki. Wszyscy więc prawie Koroniarze, z wyjątkiem rannych, zostali naprędce poumierani w sukmany, spódnice, w chustki na głowę i t. d., i pomiędzy naszymi gośćmi powyprowadzani.

Jeden olbrzymi, wąsaty ułan, w lakierowanych butach z ostrogami, w chustce na głowie, spódnicy i workiem po produktach na plecach, wyglądał tak wspaniale, że aż warta nasza pokładała się od śmiechu.

— *So ein Mädel, o Je! o Je! Herr Gott!* — wołał jakiś brzuchaty podoficer, trzymając się za boki.

Ja jeszcze zostałem, bo mi dobrze było, a noga doskwierała. Na drugi dzień jednak z rana przyszła jakaś pani i powiedziała, że musimy wszyscy Koroniarze dzisiaj uciekać, bo jutro mają nas wysłać do Ołomuńca.

I łącząc czyn ze słowami, pozostałych kilku zdrowych poprzebierała w spódnice i chustki, obładowała siennikami i wyprawiała w pole. Skoro służąca odniosła nazad owe niezbędne chustki i spódnice, poumierana nas trzech lekko rannych i kazała iść za sobą. Wyszliśmy do sieni, przytem zauważyłem, że nasza straż ze specjalnem uszanowaniem rozstąpiła się przed nią, potem korytarzem przez jakiś dziedziniec, po schodach do jakiegoś bardzo elegancko umeblowanego mieszkania, w którym oddano nas w ręce żan-

darma, a ten nas zaprowadził do łazienki. Co to była za rozkosz, wypowiedzieć się nie da. Nareszcie oskrobano nas, ostrzyżono, w trzech wodach wymyto i wykąpano, a potem przebrano w świeżą bieliznę i ubranie.

Ja dostałem trochę za krótkie białe spodnie sukienne ze złotym lampasem i granatowy spencerek. Zaproszono nas potem do salonu. W salonie, ku wielkiemu naszemu zdziwieniu, zastaliśmy oprócz doktora, który nas tylko co w łazience opatrywał, samego pana Bezirkshauptmanna!

Po kolacji, w czasie której pan naczelnik choć łamanym językiem, ale zato doskonałym, słodkim maślaczem obficie nasze zdrowie wznosił, położono nas spać na wybornych, wysoko i miękko zasłanych łóżkach.

Spaliśmy nazajutrz do południa, do łóżek przyniesiono nam doskonałej kawy ze śmietanką i pachnących, jeszcze ciepłych obwarzanków z makiem, potem przyszedł doktor, opatrzył nas i powiedział, żebyśmy nie wstawali.

Leżeliśmy sobie tedy na owych miękkich, rozkosznych łóżkach, było nam ciepło i spokojnie, choć na dworze lał deszcz i wiatr świstał, a jednak posmutnieliśmy jakoś i już nam było tęskno za obozowym życiem, za owymi noclegami przy ogniu, choć na mokrej, twardej ziemi, za zabitymi i rannymi kolegami i wąsatym porucznikiem, który niewiadomo gdzie się podział. A najbardziej było nam żal, że nie możemy walczyć dla wspólnej sprawy! Więc na *waletę*, na

on smutek zasnęliśmy znowu, bo cóż było narazie zrobić.

Obudzono nas dopiero na kolację, po której doktor nas znowu opatrzył.

Na drugi dzień rano obudziliśmy się już wcześniej, a po kawie i opatrunku ubraliśmy się, a ja — oczywiście, w swoje za krótkie, ale zato ogromnie za szerokie, wspaniałe białe spodnie ze złotym lampasem i ów jasnogrnatowy spencerek. Udaliśmy się następnie do salonu, w którym zastaliśmy już kilku obywateli okolicznych i kilka pań. Wszyscy przyjechali zabierać powstańców. Rozmowa szła nader wesoło, zasypywano nas pytaniami, musieliśmy opowiadać o każdej bitwie, dziwiono się, jakim sposobem w tak małej liczbie mogliśmy się tak długo przeciw licznej bronić artylerji i t. d. A dziwiono się jeszcze więcej, gdyśmy powiedzieli, że od owej groźnej artylerji, od której straszliwego grzmotu aż w Uhnowie szyby drżały, tak małe stosunkowo ponieśliśmy straty.

Po chwili przyszło dwóch oficerów i pokazało się, że oni daleko lepiej znali ogólny przebieg bitwy, a raczej trzech bitew, niż my, a przytem wiedzieli wszystkie szczegóły o naszej partji. Na nasze bowiem utyskiwania, żeśmy przeszli granicę, powiedzieli nam, że to był genialny manewr, bo oprócz owych dwóch połączonych oddziałów, już znacznie od nas silniejszych, z boku zachodził oddział z trzech rot piechoty, dwóch armat i mocnej kawalerji złożony. Gdybyśmy byli o parę godzin się tylko spóźnili, żywa noga z nas by nie uszła.

Starszy z nich zwrócił się do mnie:

— *Sind Sie aus der Vogel-Compagnie?...*

— *Ja wohl!*

— *Und schon verwundet? So jung und schon verwundet, das ist ja schön! Das ist ja sehr schön. Die Polen sind ein echt Rittervolk! ¹⁾*

I klepał mnie po ramieniu i winszował, a pokazując na moje wspaniałe spodnie, śmiał się do rozpuku, mówiąc, że jeśli w piętnastym roku życia zostałem generałem, to co będzie dalej?

Potem mówiono o Napoleonie III, ówczesnym cesarzu francuskim, i o tem, że prawdopodobnie wkrótce przybędzie na pomoc, a oficerowie austriacy cieszyli się, że zapewne i oni wspólnie z Francuzami nam pomagać będą.

Przy obiedzie wznoszono toasty:

„*Polen soll leben!*“ „*Napoleon soll leben!*“ „*Oesterreich soll leben!*“ — i po węgiersku: „*Eljen à Haza!*“ „*Eljen à Lengyel Kiraly!*“ — i t. d. bez końca.

Przespawszy się po onym obiedzie, zabraliśmy się do drogi, a że nasze bagaże składały się z czapki na głowie, więc upakowanie rzeczy odbyło się nader prędko, tem bardziej, że ciepłe burki i guńki przywieźli nam na wszelki wypadek.

Przed odjazdem weszła do naszego pokoju pani naczelnikowa i oddała każdemu zapieczętowaną ko-

¹⁾ — Jesteś pan z kompanji ptaszników?

— Tak!

— I już ranny! taki młody i już ranny, to pięknie... O tak, to jest bardzo pięknie. Polacy to prawdziwie rycerski naród.

pertę, której nie kazała otwierać aż po przyjeździe na miejsce. Były to urlopy, wydane z drugiego oddziału wojsk narodowych województwa lubelskiego, z pieczęcią i podpisem naczelnika sztabu: „Rannemu towarzyszowi broni X.“, z poleceniem stawienia się do wojsk narodowych po wyleczeniu się z ran, dalej było polecenie do wszystkich władz narodowych: ułatwiania podróży, dawania koni, przechowywania w razie potrzeby i t. p.

Ruszyliśmy tedy, pożegnawszy się serdecznie z naszymi „władzami“, t. j. pocziwym Bezirkshaupmanem i jego zacną małżonką, która wyraźnie do organizacji należała, ruszyliśmy wygodnym powozem i bryczką w drogę, zaznajomiwszy się z naszym nowym gospodarzem, panem Możarowskim z Hohołowa.

Jechaliśmy całą noc, a była to cudna noc czerwco-wa, ciepła, cicha i zupełnie tak księżycowa, jak wten-czas, kiedy pierwszy raz stałem na pikiecie.

Przyjechaliśmy do owego Hohołowa i po sutem ugoszczeniu poszliśmy spać. Nazajutrz rano obudził nas w sąsiednim pokoju prześliczny śpiew. Były to panienki miejscowe i przyjezdne, doskonale śpiewać umiejące, które nas taką prześliczną pobudką witały. Śpiewały: „Boże coś Polskę“, „Jeszcze Polska nie zginęła“, potem przepiękną modlitwę przed bitwą, wspaniałą melodję, z którą, jako pieśnią przed bitwą nic się równać nie może.

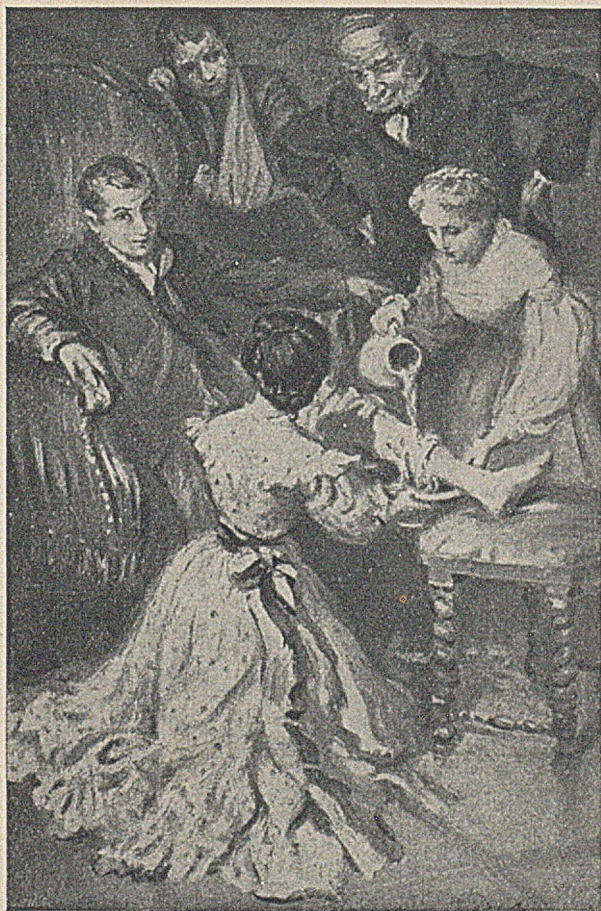
W pierwszej chwili zerwaliśmy się na równe nogi, ale później, nie chcąc stracić ani jednej nuty z owych cudnych melodyj, nieporuszeni, czekaliśmy do końca.

Wreszcie śpiew przycichł, panienki pofrunęły do ogrodu, a we drzwi ktoś zabębnił i jakiś młodzieńki głosik, widocznie rozpieszczonego dzieciaka, zawołał:

— Niech panowie żołnierze prędko wstają, bo ja chcę panów żołnierzy prędko zobaczyć!

Na ten srogi rozkaz zerwaliśmy się i ubrali piorunem, a jednocześnie wszedł pan Możarowski i, pozdrowiwszy serdecznie, zaprowadził do jadalnego pokoju. Miejsca dla nas były ubrane kwiatami, wieńcami, wstęgami o barwach narodowych, a jednocześnie, gdy wchodziliśmy, owe panienki powitały nas znowu śpiewem, w którym powtarzało się: „witajcie, obrońcy ojczyzny” i t. d. Nareszcie siedliśmy na swoich ukwieconych krzesłach, nie mogąc prawie jeść z początku ze wzruszenia, a potem pomału rozochociliśmy się, zaczęły się pytania i opowiadania bez końca, których wszyscy słuchali z takim zajęciem, że aż lokaj stanął z tacą jak wryty i zapomniał podawać.

O panienkach niema co i mówić, jedna z nich, ubrana, jak wszystkie, w białą sukienkę z trójkolorową szarfą, patrzyła w nas z takim zachwytem, jak w jaką świętość. Nareszcie skończyło się śniadanie, tymczasem przyjechał doktor i zaczął się opatrunek, przy którym usługiwała pani Możarowska i owe panienki, które zanic odejść nie chciały. Moi obydwaj koledzy, jeden strzelec, drugi z kompanji t. zw. Galicjan, choć był z Lubelskiego, obaj byli ranni w rękę, ale ja okropnie się swojej nogi żenowałem. Nic nie pomogło, posadzono mnie na ogromnym fotelu i jedna panienka, klęcząc, podtrzymywała miednicę,



Jedna panienka, klęcząc, podtrzymywała miednicę, a druga polewała ciepłą wodą przyschnięte szarpie... (str. 88).

a druga polewała ciepłą wodą przyschnięte szarpie, dopóki same nie odpadły. Zdawało mi się, że jestem w niebie, i pewnie, gdyby mnie gorącemi węglami pieczono w czasie tego opatrunku, nie poczułbym bólu.

Stary doktor uśmiechał się i chwalił, mówiąc, że to dobrze, że każda Polka powinna umieć rany opatrywać, że panienki dobrze wychowane i t. d. Rzeczywiście, w owych czasach wszystkie wiejskie panienki uczyły się od matek opatrywać rany i trochę praktycznej medycyny, w każdym też domu była apteczka.

Po opatrunku zaprowadzono nas do naszego pokoju, dokąd zjawił się krawiec, Żyd, i zdjął miarę na ubrania, które nam wkrótce sporządzono ku wielkiej naszej radości, w owych bowiem pożyczanych zbyt już oryginalnie wyglądaliśmy.

Przez kilka dni wizytom, przyjmowaniom i podarunkom nie było końca. Tymczasem moja noga zupełnie się wyleczyła, koledzy moi zostali rozchwytni przez sąsiedztwo, a ja zostałem sam. Wesoło mi tam było i przyjemnie, ale że już zupełnie wydobrałem i odpocząłem, a zwłaszcza odespałem się, więc chciało mi się wracać do boju. Pociągała mnie wojna i wojsko, nie mówiąc już o miłości ojczyzny, która u wszystkich niesłychanie była żywa, a naturalnie i u mnie, wychowanego w patriotycznych tradycjach. Życie w obozie, stosunki z kolegami, poranne i wieczorne modlitwy, a może i to, że się tak absolutnie nic o przyszłości, o marnych kłopotach codziennego życia nie myśli, sprawia, że się o niewygodach i nie-

bezpieczeństwach zapomina, a o tym nastroju przyjemności pamięta. Etyczna strona także tu rolę swą odgrywa. Sądzę, że kto raz, dobrowolnie, za dobrą sprawę wojenki powąchał, całe życie do niej tęsknić będzie. Dowiedziawszy się tedy, że pan Możarowski jedzie do Lwowa, postanowiłem z nim się zabrać, tam się u władz narodowych stawić i znowu do partji zaciągnąć. Nie mówiłem o tem jednak nic, bojąc się jakich przeszkód ze strony moich gospodarstwa, którzy się coś zanadto gorliwie o adres moich rodziców, a zwłaszcza bliżej mieszkających krewnych dopytywali, mówiłem tylko, że bardzoby mi było przyjemnie obejrzeć Lwów, więc pan M. chętnie się zgodził zabrać mnie z sobą. Skorzystały z tego i panie, bo postanowiły także pojechać, ażeby mi Lwów pokazać.

9. LWÓW — NIESPODZIEWANE SPOTKANIA — JESTEM WIELKIM CZŁOWIEKIEM — POWRÓT DO KRÓLESTWA ZDRADA

Wybraliśmy się ogromną landarą: oboje państwo M., dwie starsze panienki i ja.

Jechaliśmy półtorej doby. Wyruszywszy bowiem dodnia z Hohołowa, dopiero na drugi dzień wieczorem stanęliśmy we Lwowie. — Droga była przyjemna, czas prześliczny, towarzystwo bardzo miłe i wesołe, a górskie widoki po drodze prześliczne. Dla mnie zaś było to zupełną nowością, dotąd bowiem w życiu gór nie widziałem, więc te smereki, strumienie górskie,

na których chciało mi się zaraz budować tamy (nasza ulubiona zabawa z czasów dziecińczych), wszystko to było dla mnie zachwycającą nowością, a gdy w jednym miejscu zobaczyłem na horyzoncie wierzchołki gór, pokryte śniegiem, zacząłem koniecznie prosić, żebyśmy tam pojechali. Zdawało mi się bowiem, że do tych gór jest zupełnie blisko, i okropnie zdumiałem się, gdy mi powiedziano, że tam trzebaby było ze dwa dni jechać, potem ze dwa dni iść, a to, że te góry tak bliskie się wydają, dowodzi wilgoci powietrza i prawdopodobieństwa deszczu, w suchą bowiem pogodę z tego miejsca, gdzieśmy byli, tylko niebieskawe plamy byłoby widać.

Zato obiecano mi, że po powrocie ze Lwowa urządzą specjalną wycieczkę w góry, na jaki tydzień albo i więcej. Że ja jednak nie wróciłem już do Hohołowa, więc tak się ta wycieczka w góry na niczem skończyła, jak zresztą i wiele innych projektów. Nareszcie dobiliśmy się do starożytnego Lwowa. Na drugi dzień z rana zaczęło się oglądanie, naturalnie od kościołów, Wysokiego zamku i t. d. Mnie jednakże więcej interesowało nieznane mi zupełnie wojsko austriackie, ponieważ spodziewałem się stosownie do słów owych uhnowskich oficerów, że wkrótce na pomoc nam wyruszy. W owych czasach wojsko to zupełnie inaczej wyglądało, niż dzisiaj, mundury były przeważnie białe, spodnie niebieskie ściśle opięte; żołnierze jednak, mimo to wszystko, maszerujący i bębniący około odwachu, wydali mi się jakoś wymuszkani, mniej poważni, niż nasze grubokarki, szaroszynelowi szeregowcy

rosyjscy; zato węgierscy huzarzy wzbudzili we mnie prawdziwy zachwyt. Na pysznych koniach, we wspaniałych mundurach, piękni ludzie! A jak oni na tych koniach siedzieli! Znać było kawalerzystów z krwi i kości. Wieczorem mieliśmy iść do cyrku, który właśnie do Lwowa zjechał, a tymczasem poszliśmy do miejskiego ogrodu przypatrzeć się lwowianom i lwowiankom, stanowiącym odmienny typ. Czuć tam już Południe i Ruś; po większej części bruneci i brunetki, kobiety śliczne, zgrabne.

Wkrótce państwo M. spotkali swoich znajomych, a gdy mnie przedstawili jako towarzysza broni drugiego oddziału wojsk narodowych, uczestnika owej strasznej czterodniowej tuczapsko-mołożowskiej bitwy, o której we Lwowie cuda opowiadano, i w dodatku już rannego, o mało mnie oczyma nie zjedli.

Nadeszli niebawem znajomi znajomych i byłoby chyba doszło do wiwatów i manifestacji, gdybyśmy z państwem M. szczęśliwie się nie wymknęli... Powróciwszy do domu, a kupiwszy po drodze ubranie i trochę bielizny, poszliśmy do owego cyrku.

Siedzimy w łoży, gryząc cukierki, a wtem widzę pod nami... mój najstarszy brat! On też w tej chwili, jakby iskrą elektryczną tknięty, zerwał się, a poznawszy mnie, wpadł do naszej łoży. Nastąpiło tedy całowanie, ściskanie się, następnie prezentacja moim gospodarstwu, a potem przesiedzieliśmy już tak razem do końca przedstawienia.

Po przedstawieniu jeszcześmy się rozeszli, lecz już nazajutrz rano, mój pan brat, który mieszkał w willi

dziadka A. Z., zabrał mnie do siebie, z wielkim żalem całej zacnej rodziny M., a coprawda i moim. Panienci obie miały łzy w oczach, a i ja też musiałem całej siły żołnierskiej woli użyć, żeby się nie rozplakać, gdyż...

Nazajutrz tedy mieszkałem już w ślicznej willi, w której zgromadziło się mnóstwo młodzieży ze sfer zamożniejszych, wybierającej się do powstania. Szyto mundury, przysposabiano lederwerki i rzemienie, próbowano koni, i coraz jeden z wyekwipowanych znikał. — Zbierano się wtenczas do partji Wysockiego i myśmy się tam z bratem zaciągnąć mieli. Dla mnie uszyto śliczną ułankę, a gdy przytem dodano do niej wspaniałą ładowniczkę od Sztyllera, nie posądzałem już nikogo o jakieś zdradzieckie zamiary, tem bardziej, że uchodziłem za bohatera, bo rzeczywiście, z pomiędzy wszystkich tutaj, ja jeden proch naprawdę wahałem i wahałem dobrze, bo jak się potem okazało, nasze bitwy istotnie dzielnie i umiejętnie były przeprowadzone.

Musiałem im nieraz opowiadać to, co sam widziałem i w czem uczestniczyłem.

Fotografowano mnie w powstańczej sukmance z karabinem, której to fotografii kopji użyto na str 25 w grupie.

Raz nawet przyszedł do nas jakiś Anglik, korespondent „Timesa“, z którym cały dzień przesiedziałem, tak szczegółowo o wszystko mnie wypytywał. Interesował go bowiem nietylko przebieg bitwy, po-wiem nawet mniej, ile głównie: siła liczebna partji

i skład jej, to jest: jaka warstwa społeczeństwa najczęściej dała ochotników. Pytał także o ubranie, jedzenie, odległości przebyte marszem w ciągu jednego dnia i t. d. bez końca.

Com wiedział, tom mówił, on to wszystko starannie, z niezmierną szybkością zapisywał, ale na wiele pytań nie umiałem odpowiedzieć. Wywiad toczył się po francusku.

Ten wywiad korespondenta „Timesa” postawił mnie ostatecznie na piedestale wielkości i mody. Pannie przyjeżdżały po mnie wspaniałemi ekwipażami, żeby mnie wozić na spacer, ludzie poważni prezentowali mi się, oddawali mi wizyty i t. d.

Wszystko to okropnie mnie żenowało i było arcynieprzyjemne. Nagliłem tedy do prędszego wyjazdu do partji, ale się jakoś okoliczności zmieniły i do tej partji nie zaciągnęliśmy się. I dobrze się stało, wiadomo bowiem jaki smutny i prędko koniec spotkał tę, tak gromko przedsiębraną, wyprawę na Wołyń.

Nie doczekawszy się sformowania się partji Wysockiego, ruszyliśmy zpowrotem do Królestwa w innym zupełnie kierunku, wioząc z sobą transport broni i ładunków, dla mającej się sformować partji lekkiej kawalerji w Hrubieszowskiem, którą miał dowodzić mój pan brat, ja zaś miałem być jego adjutantem.

Mniej więcej od połowy drogi między Lwowem a granicą, od czasu do czasu na horyzoncie ukazywał się ścigający nas oddział austriackiej kawalerji, ale tak jakoś szczęśliwie się udawało, że w żaden sposób naszych ciężko ładownych wozów i powozów dości-

gnać nie mógł. Wogóle pościg ten przypominał zupełnie owo pilnowanie nas w Uhnowie. Przebyliśmy więc szczęśliwie granicę i, odstawiwszy broń i ładunki, gdzie było trzeba, zajechaliśmy do wsi Posadowa.

Po kilku dniach naszego tam pobytu naraz zajechał lekki powozik, z którego ku wielkiemu memu zdziwieniu i radości, ale i strachowi, wysiadła moja mama.

Nie dawszy mi się nawet opamiętać, zabrała mnie z sobą do sąsiednich Żernik, gdzie przesiedliśmy się do drugiego podróznego powozu i znów ruszyliśmy w drogę. Ku największej mojej rozpacz, nie dano mi zabrać z sobą ani ułanki, ani szabli, ani ładownicy, ani rewolweru z olstrem od Sztyllera, jedną tylko manierkę z paskiem udało mi się wykręcić i nieznacznie do kieszeni schować.

W drodze dopiero powiedziała mi mama, że ją wszystkie moje listy doszły, ale, że mimo to wielkie miała przeze mnie zmartwienie i niepokój, że kiedy najstarszy Staś idzie, to ja powinienem zostać, tem bardziej, że z takiego dziecka, jak ja, niewielka w partji pociecha, a wiele kłopotów.

Gdy jednak opowiedziałem mamie szczegółowo, jakem się pod Tuczapami i Mołozowem popisał, a i trudy obozowe lekko znosił, zawahała się droga matka, bo jako nieodrodna córka swego ojca, była gorącą i nieodrodną patriotką, a szlachetna duma macierzyńska w niej się odezwała.

Nie okazała jednak tego wyraźnie, lecz tylko po serdecznem całowaniu i gorących łzach, domyśliłem się, że tak było.

Pierwszy raz spotkaliśmy oddziały rosyjskie już pod samym Lublinem, w Piaskach. Przyznam się, że mi się to dość dziwnem wydało, że ani oni do mnie, ani ja do nich nie strzelam. Była to jakaś powracająca wyprawa, ale widocznie chybiona. Naprzód prowadzili jedną tylko armatę, co już dowodzi, że im albo jedną, albo nawet trzy odebrano, gdyż nigdy inaczej nie chodzili z artylerją, jak całemi plutonami, po dwie, cztery, sześć i t. d.

Przytem jacyś byli obszarpani; wogóle po minie widać było, że ich jakiś gruby zawód spotkał. Nie zatrzymywali nas wcale, tylko wołali, żeby prędzej jechać. Zaraz też mamie powiedziałem, że musi być dobrze dostali, mama się tylko uśmiechnęła i skinęła głową. — Po chwili przekonaliśmy się, że miałem rację, jechał bowiem i drugi przedni jaszczyk, ceremonialnie w ośm koni zaprzężony, ale bez działa, samotny. Oprócz tego, gdyśmy już minęli piechotę, kawalerję i artylerję, spotkaliśmy podwody z rannymi, a było ich 44.

— A imię jego „czterdzieści i cztery” — szepnęła mama.

Ruszyliśmy tęgim kłusem naprzód, kontenci, że nam się tak szczęśliwie udało. Przyjechaliśmy do Lublina tylko na jeden dzień, a przytem mnie nawet na ulicę mama nie puściła, a na drugi dzień zaraz pojechaliśmy do Nałęczowa. Jest to wieś o trzy mile od Lublina odległa, a do moich bliskich krewnych wówczas należąca, tam pod surowy nadzór ciotki i sióstr ciotecznych mnie oddano.

10. NAŁĘCZÓW ÓWCZESNY — OGÓLNY NASTRÓJ NADZIEJE — WIEŚCI — POWRÓT DO PARTJI

Nałęczów był starem gniazdem Małachowskich. Dwór ten, co się dość rzadko u nas zdarza, w roku 1863-cim posiadał jeszcze dawną swą cechę. Ściany pałacu wewnątrz były wybite adamaszkim, nad drzwiami były panele, przedstawiające obrazy mitologiczne i t. d. O jednym pokoju istniało podanie, że w nim matka przypadkiem otruła swoją córkę, zmuszając ją do wypicia lekarstwa, którego ta wypić nie chciała, a potem z rozpaczycy dostała pomieszania zmysłów. W tym pokoju nikt nie chciał spać, ani mieszkać.

Salon był ogromny, biały, stiukowany, z trzema żyrandolami; pokoje wszystkie mieszkalne na pierwszym piętrze, na dole zaś pokoje gościnne, kancelarja i t. d., słowem, była to wspaniała rezydencja, w całym znaczeniu tego wyrazu.

Park był stary, cienisty, a za nim opustoszałe urządzenia do kąpieli mineralnych i ocembrowane źródła. Niegdyś bowiem istniały tam kąpiele mineralne i lecznicze, porządnie urządzone.

Sytuacja w kraju wówczas była mocno naprężona, zdarzało się często, że w parę godzin po przejściu oddziałów powstańczych nadciągały wojska rosyjskie i naodwrot, wszystko to rujnowało majątki i niszczyło nieraz właścicieli doszczętnie, niemniej jednak nadziei na interwencję mocarstw zagranicznych, Francji i Anglii, nie tracono i ostatkiem sił podtrzymywano walkę.

Rzadko upływał tydzień, by w jakiejkolwiek wsi w kraju, z tej lub owej strony, nie słyszano huku armat, a gdy szyby drżały, zebrane kobiety odmawiały modlitwy za konających, znosiły szarpie i bandaże, które przygotowywano po całych dniach i wieczorach. Jeżeli bitwa odbywała się bliżej, wyjeżdżano obficie wysłanemi wozami po rannych.

Wędzono też mięso, przygotowywano zapasy mąki, kotły do gotowania jedzenia i t. d.

Wojna! wojna! — czuć ją było w powietrzu, słysząc, przyłożywszy ucho do ziemi; zdawało się, że szepczą o niej drzewa o wieczornym zmroku, świegotają ptaki o świcie, śpiewa wiatr. Przesiąknięte nią było wszystko.

Ekonom, przyjeżdżający z raportem i po rozkazy, zapominał z czem przyjechał, opowiadając co słyszał, czego się dowiedział. Żyd arendarz lub pachciarz obowiązkowo musiał się codzień zjawiać z wiadomościami, a jak przyjechał ksiądz proboszcz lub jaki sąsiad, to już politykowaniu końca nie było.

Wśród takich okoliczności przyjechałem do Nałęczowa, więc chociaż to, co mówiłem, nie było taką nowością jak w Galicji, jednak i tu robiło wielkie wrażenie. Zjeżdżano się, by zasięgnąć nowin tak o samym przebiegu walki, jak zwłaszcza o usposobieniu Galicjan, Austriaków; korespondent „Timesa” ogromne zrobił wrażenie.

Pamiętam raz, siedzieliśmy na balkonie przy podwieczorku, kiedy usłyszałem wyraźnie wystrzał armatni jeden, a potem zaraz drugi, jak zwykle. Jakos

nikt tego nie zauważył, gdy jednak po chwili znowu dwa wystrzały, i znowu dwa się ozwały, rzekłem spokojnie:

— Bitwa, armaty grają!

Zerwali się wszyscy; przeszliśmy na drugą stronę domu, tam daleko już wyraźniej było słycać strzały.

— Boże mój! ilu to ludzi ginie w tej chwili — rzekła ciotka.

Zaraz uklękli wszyscy, mówiąc modlitwy za konających, a tymczasem wciąż grały działa, to głośniej to ciszej; poważny, potężny ich głos rozlegał się coraz wyraźniej.

Nigdy nie zapomnę tej wspaniałej muzyki i tych kobiet, zacnych patryjek, tak prawdziwie i szczerze nabożnych.

Jak później dowiedzieliśmy się, bitwa była gdzieś aż za Wisłą, bardzo daleko. Tak się to żyło wówczas, ale choć odczuwano wszystko głębiej i prawdziwiej niż teraz, nie było tej denerwującej gorączki, tego jakiegoś chorobliwego rwania się i targania, jak obecnie.

W parę tygodni potem, kiedyśmy wyszli raz na spacer do parku, zatętniło na dziedzińcu i wpadło trzech kawalerzystów. Panie zmieszały się trochę, ja wybiegłem na dziedziniec, a poznawszy zdaleka swoich, krzyknąłem tylko: „nasi!”. Byli to pierwsi nasi w Nałęczowie. Boże mój! jak pobiegły do nich moje panie naprzecią, bez ścieżek!

Tymczasem ułani zsiadli z koni i, prowadząc je, ruszyli ku dworowi. Konie mieli dobre, białe, szerokie szable, karabinki na plecach, rewolwery w olstrach.

Ubrani byli w popielate bluzki, z żółtymi kołnierzami i takiemiż naszywkami, na bluzach mieli paski, a przy nich z lewej strony pałasz, z prawej zaś rewolwer w olstrze. Słowem, wyglądali dzielnie.

Oświadczyli zaraz, że proszą o przygotowanie żywności dla V-go oddziału wojsk narodowych województwa lubelskiego, a potem siedli na konie z całą wprawą wytrawnych kawalerzystów i ruszyli dalej.

Zakipiało tedy we dworze jak w garnku, zadymiły kotły i ognie, nad którymi ustawiono natychmiast ogromne rożny z całemi kawałami mięsa; pędem sunął kucharz z kuchcikami, nakładając po drodze swoje białe kitle; stara Jeżewska, gospodyni, słowem i gestami komenderowała całą swoją armją dziewcząt, ze spiżarni wytaczano beczki z solonem mięsem; rzemieślnicy i oficjaliści ze zwiezionych i znoszonych tarcic ustawiali improwizowane stoły niezmiernej długości, a stary kredencarz z powagą, choć płacząc z rozczulenia i powtarzając: — Mój Boże! mój Boże! — kierował nakrywaniem stołów.

Sprawiono się doskonale, tak, że w niespełna pół godziny było co jeść i na czem, a przynajmniej można było zaczynać jeść. Po chwili na górze za parkanem zamajaczył oddział kawalerji, rozstawiając co parę tysięcy kroków pikiety, którymi też w odległości paru wiorst całą wieś i dwór otoczono.

Po chwili usłyszeliśmy zdaleka gromki śpiew:

„Jak nie mamy żyć wesoło“ — i na dziedziniec wjechał oddział kawalerji, za nim porządnie, „z nogi“, szli strzelcy kompanjami, z podoficerami na flankach,

porucznikami z przodu; za nimi żuawi, potem kosynierzy, potem furgony, znowu strzelcy. Arjergardę zamykała kawalerja. Ale jakaż różnica wyglądu w porównaniu z partją Czerwińskiego i Żarplachty!

Tam, oprócz kompanji Galicjan, umundurowanej i uzbrojonej w karabiny, reszta była ubrana i uzbrojona jak Bóg dał.

Tutaj zaś, tak piechota, jak kawalerja, cała umundurowana, uzbrojona, zupełnie inaczej wyglądała. Piechota miała te same belgijskie karabiny (do połowy lufy 6-kątne), z długimi, płaskimi bagnetami, czarne skórzane ładownice, a kawalerja tegoż systemu kawaleryjskie karabinki, krótsze i bez bagnetów, szable i rewolwery systemu Adamsa. Rewolwery te, 6-strzałowe, długie i ciężkie, nabijały się tak, jak zwykła broń. W dziury bębenka nasypywał się proch, potem wsadzało się kule, które przybijało się stempelkiem, przytwierdzonym z boku przy lufie, na szarni-rze, wreszcie nasadzało się pistony. Cała ta procedura, niełatwa do wykonania, zwłaszcza na koniu, trwała dość długo, zato rewolwery te biły daleko i nader celnie. Ostatecznie w praktyce rzadko się zdarzała okazja wystrzelenia w boju nawet wszystkich sześciu strzałów, albowiem zwykle po paru strzałach dochodzi już do bliższego stosunku i znajomości z bronią białą, z tem, co tnie!

Zobaczyłem także pana naczelnika, znanego pod nazwą „Ćwieka“. Był nim pan Kajetan Cieszkowski, właściciel Starościna. Z ogromnemi wąsami, prawdziwy typ naczelnika partji. Na dzielnym koniu, na któ-

rym, jak odrazu zauważyłem, doskonale siedział, z adjutantem z boku, wspaniale wyglądał; był to człowiek odważny, szczerzy, dobry Polak, i miał tyle taktu, że nie przeszkadzał rzeczywistemu komendantowi, którym był major Murdeljo (podobno Amurd).

Ten major, jakby naprzekór Ćwiekowi, mały, chudy, mizerny, tylko w oczach miał coś takiego, co nakazywało uszanowanie. Jemu to zawdzięczała partja porządek, karność i pomyślny rezultat tych bitew, które pod jego dowództwem były staczane. Mówiono, że to był oficer generalnego sztabu austriackiego, spoleczały Serb, czy Węgier. Jakie zaś tam było jego pochodzenie i prawdziwe nazwisko, nie wiedzieliśmy.

To pewna, że był to prawdziwy żołnierz z krwi i kości, znający swój fach świetnie i oddany mu duszą i ciałem, a przytem człowiek prawdziwie lwiej odwagi.

Miał też i zdolności strategiczne regularnego żołnierza, i rzutkość, i szybkość orientowania się partyzanta, choć regularny żołnierz w nim przemagał.

Dyscypliny wojskowej pilnował nieubłaganie, surowy był dla żołnierza, ale i dla siebie, bano się go więc powszechnie, lecz i lubiano.

Bitwę lubił prowadzić w otwartem polu; ulubionem jego przysłowiem było:

„Polak ma to w swej naturze,
Bić się w polu, a nie w murze“.

Rzeczywiście, w otwartem polu żołnierz bije się lepiej, a zwłaszcza młody żołnierz, i to z wielu powodów: naprzód, że będąc na oku, wstydzi się „wyciekać“, a pragnie „pokazać się“, a przytem i podoficer,

albo nawet kolega, potrafi do takiego amatora odpowiednio przemówić z pomocą stalowego lub ołowianego argumentu, jak niegdyś ś. p. pułkownik Bogusławski do klubowców warszawskich w 31 roku; powtóre, że, jak we wszystkim na świecie, mniej znaczy rzeczywistość, a więcej efekt.

Owóż w czystym polu, choć rzeczywiste prawdopodobieństwo śmierci lub rany od kuli jest większe, niż w zakryciu, ale kula w lesie (a zwłaszcza w owych czasach) robi daleko większy efekt, niż w czystym polu; w polu bowiem żołnierz, zajęty strzelaniem i nabijaniem, słyszy tylko te kule, które tuż koło niego przelatują; w lesie zaś lub w krzakach, kula „rwał pnie, siekąc gałęzie“, sprawia ogromny hałas, który daleko słyhać, a to demoralizująco wpływa, zwłaszcza na młodego żołnierza.

Z drugiej jednak strony praktyczniej i korzystniej jest stać w zakryciu, gdyż nieprzyjaciel, nie widząc, z jaką siłą ma do czynienia, miękko atakuje — to raz, a przytem łatwo go wprowadzić w zasadzkę, lub przyciągnąć do ataku, każąc naprzykład z początku strzelać tylko co piątemu żołnierzowi, a dopiero, gdy się podsunie blisko, przyjąć gościnnie pełną salwą wszystkich karabinów lub dubeltówek, która go odrazu zdetonuje.

Wogóle więc, jeżeli się ma plac do wyboru, to już jest rzeczą dobrego wodza, t. j. przedewszystkiem znającego swoich ludzi, użyć ich odpowiednio, i wytrawniejszego, pewniejszego żołnierza ukryć, zostawiając mu więcej samodzielności, a niepewnego mieć na oku.

To właśnie umiał Murdeljo i zawsze doskonale wiedział, w jaki sposób jakich ludzi zażyć.

Jak wszyscy ludzie małego wzrostu, lubił jeździć na wysokich koniach, szabli nie nosił, tylko mały rewolwerek na pasku na piersiach, jak medalik, a w olstrach kulbaki butelki z wodą z sokiem, lub z mlekiem, gdyż żadnych trunków nie używał. Dla płci pięknej był niezmiernie czuły i pełen galanterji, tak dalece, że kiedy straszliwie ranny pod Wirem, gdyż kula przeszła mu wzduż prawie przez całą rękę, mimo straszliwego bólu podczas opatrunku, rozmawiał wesoło z pomagającą do opatrywania panną, mającą rzeczywiście bardzo piękne oczy, i sypał komplementa, mówiąc, że wobec takich oczu żadnego się bólu nie czuje, a nawet, owszem, opatrunek przyjemność sprawia, i chciałby go jak najwięcej przedłużyć.

Przywiązałem się do niego tak, że byłbym na jego skinienie w ogień poszedł, a no, i nieraz szedłem, ale o tem potem.

Tymczasem lustrowałem sobie wszystko, no i zaraz zauważyłem, że władza jest w rękach pana majora, on bowiem bystrem okiem opatrzył wszystko, do niego przychodzili oficerowie po rozkazy i t. d.

Partja ogromnie mi się podobała, więc postanowiłem do niej wstąpić, ale jak to zrobić? Wiedziałem dobrze, że wszyscy moi podbuntują naczelnika, żeby mnie nie kazał przyjmować, ale widziałem też, że tak są wszyscy zajęci, że o mnie zupełnie zapomnieli.

Korzystając z ogólnego zamieszania, pobiegłem do swego pokoju, wyjąłem zaszyty pod podszewką ów

urlop, który mi pani Bezirkshauptmanowa wręczyła w Uhnowie i, wyskoczywszy przez okno, przeszedłem przez groblę na drugą stronę stawu, gdzie koło budynku byłej cukrowni stała część piechoty. Karabiny były w kozłach, a przy nich warta; żołnierze jedli obiad.

Na zapytanie: kto dowodzi kompanją, odpowiedziano mi, że pan porucznik, który znajduje się w sąsiednim budynku.

Pan porucznik, któremu oświadczyłem, że pragnę się zaciągnąć do szeregów, zaczął znane już kazanie, że on do szeregów dzieciaków nie przyjmuje i t. d., i t. p. Ja jednak, wysłuchawszy tego wszystkiego z odpowiednią pokorą i nie mówiąc ani słowa, podałem mu swój urlop.

— Jako żołnierz, nie mam prawa nie słuchać rozkazów mojej władzy! — rzekłem.

Efekt był piorunujący. Pan porucznik, który podobno sam prochu jeszcze nie wachał, a tylko, jak mówiono, przed laty za karę na czas jakiś do wojska był oddany, i to mu ową szarżę zjednało, zerwał się z miejsca i już zupełnie innym tonem zaczął rozpytywać o naszą partję, bitwy i t. d., a gdy przeczytał w urlopie, na co zwróciłem jego uwagę: „rannemu towarzyszowi”, zaraz poprosił siedzieć i poczęstował swoim obiadem.

Że ja głodny nie byłem, więc prosiłem go o pośpieszne zapisanie do szeregów, gdyż wskutek bliskości Lublina partja mogła być zaalarmowana, a jabym został bez broni.

Tak też i zrobił. Wydano mi zaraz broń, śliczny nowiutki karabin, ładownicę z patronami i małą z pi-
stonami, które były ogromne, miedziane, w formie ka-
pelusza z borem.

Co zaś do umundurowania, to obiecano wydać ju-
tro, gdyż prawdopodobnie wymagać będzie przerób-
ki: „ze względu na wiek młody”.

Postawiwszy tedy swój karabin w kozły wraz z in-
nymi, zasiadłem sobie do pogawędki z nowymi kole-
gami. Prawie żaden z nich prochu jeszcze nie wachał,
więc odrazu z miejsca zająłem między nimi stano-
wisko starego wiarusa.

Rozpytywano mnie o Tyszowce, Mołozów, Tuczapy
z niezmierną ciekawością, wiedziano już bowiem o tych
bitwach i jakieśmy się tam trzymali, gdyż i rząd na-
rodowy w jakiejś swojej gazecie nas pochwalił.

Najwięcej jednak podobało się odparcie owej szar-
ży huzarów, podczas której ani jednego nawet ranne-
go nie mieliśmy, ale jak to często bywa, owa rejte-
rada, w której cofaliśmy się, ostrzeliwując pod ogniem
trzykroć liczniejszego nieprzyjaciela, i w której poło-
wa nas padła, a z przeciwnej strony także kilkudziesięciu
było zabitych i rannych — nie zwróciła niczy-
jej uwagi, a zupełnie bezpieczne dla nas odparcie hu-
zarów wszystkim się bardzo podobało.

Tymczasem z pokoju porucznika wyszedł jakiś ofi-
cer i razem z nim wprost przyszedł do mnie, popro-
sił do naczelnika.

Nie było co robić, musiałem iść. Wszedłszy do owe-
go ogromnego salonu, zastałem wszystkie stoły zaję-

te, a na głównem miejscu siedzącego wspaniałego pana naczelnika, obok niego zaś moją ciotkę, więc odrazu domyślił się, o co idzie.

Pan naczelnik wstał i, poprosiwszy mnie z sobą do drugiego pokoju (pamiętam doskonale, że właśnie do tego, gdzie to ongi matka otruła córkę), zaczął do mnie przemowę, że jak oni, starsi, wywalczą swobodę dla kraju, to my będziemy potrzebni dla korzystania z niej, że kraj będzie potrzebował wykształconych ludzi i t. d.

W tej przemowie poznałem odrazu całe zdania mojej drogiej ciotki; więc wysłuchawszy jej z jeszcze większą pokorą, jak przemowy pana porucznika, podałem mu ten sam urlop.

Tutaj jednak skutek był inny. Pan naczelnik bowiem odpowiedział, że wie doskonale o tem, że już byłem w ogniu, i to jeszcze w takim, że odniosłem ranę, więc tem bardziej, spłaciwszy krajowi dług krwią, powinienem teraz wziąć się do nauki.

Wtenczas użyłem ostatniego argumentu i powiedziałem to, co myślałem, a mianowicie: że — zgadzając się z nim zupełnie co do tego, że jestem bardzo młody, jednak wytrzymałem takie marsze i niewygody, jakich w jego partji nie będzie. (I w istocie tak było, gdyż Murdeljo z zasady ludzi dobrze karmił, a marszami nie przemęczał.) Strzelać zaś umiem zupełnie dobrze, jak kilkakrotnie dałem tego dowody, więc o użyteczności mej w boju nie należy wątpić, a to rzecz najważniejsza.

Co zaś do nauki, to zdaję się zupełnie na jego zda-

nie i pytam: czy człowiek, który cztery miesiące był na wojnie i brał udział w kilku bitwach, w obecnym czasie, gdy działa grają, przy najlepszych nawet chęciach potrafi się uczyć?

Tym ostatnim argumentem pan naczelnik, który sam podobno nigdy specjalnego upodobania do książek nie żywił, został przekonany ostatecznie.

Roześmiawszy się więc i podkrećwszy swoje wspaniałe wąsy, kiwnął na mnie, i wróciwszy do salonu, rzekł, zwracając się do mojej ciotki:

— Prezentuję pani mojego adjutanta!

Czułem, że mi się zrobiło ciepło z radości, a poczciwa ciocia, która w duszy najzupełniej podzielała moje zdanie, a przytem była niezmiernie ognistą patriotką, powiedziała tylko:

— Niech cię, moje dziecko, Pan Bóg błogosławi i strzeże.

Po obiedzie tedy nadawano mi bielizny, medalików, szkaplerzy, przyprowadzono ze stajni doskonałego konia z rzędem, dar Henryka, męża mojej siostry ciotecznej, a po wypiciu obfitego strzemiennego, we wzorowym porządku, przy odgłosach komendy: „na koń“, „dwójkami od lewego“, to znowu: „Pierwsza kompanja czwórkami i t. d., ma-a-arsz!“ — ruszyliśmy.

11. MOJA SŁUŻBA ADJUTANCKA W PARTJI ĆWIEKA

Pieśni w tej partji śpiewano inne, niż w Hrubieszowskiem, przytem każdy prawie oddział miał swoje ulubione, które najczęściej śpiewał.

Kawalerja najwięcej lubiła pieśń: „Marjo święta, patronko Polski“, albo: „Wionął wiatr błogi na Lechitów ziemię“ i: „Litwa czeka przychodnia“. Albo: „Jak nie mamy żyć wesoło“ i t. d.

Żuawi, których było dwie kompanje, i to ludzi wyborowych, po większej części z inteligencji i obywateli wiejskich, śpiewali zawadjacką piosnkę, której melodia i rytm doskonale się do maszerowania nadały: „Nie zeszło słońce, nie wstały ptaszęta“, albo też: „Od Warszawy do Krakowa“ i „Marsz żuawów“.

Strzelcy: „Oj! ostre kosy naszel“ a czasem „Marsz Garibaldego“ i t. d.

Przy wejściu jednak do miast, powitaniach i wogóle w uroczystszych okolicznościach, cała partja śpiewała: „Boże, coś Polskę“ i „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Bardzo często jeździł z nami ksiądz kapelan, czasami tylko partję opuszczający; doktor i felczerzy byli stali. — Sztandarów mieliśmy dwa: jeden karmazynowy, z napisem: „Za wolność, Polskę i lud“, z białym orłem i srebrnym orłem na drzewcu; drugi podwójny z Matką Boską i orłem: jak zwykle Matka Boska na niebieskiem tle, a orzeł na purpurowem.

Sygnaly podawali trębacze.

Szliśmy dość późno w nocy, ale więcej drogami i w dzień, a nocowaliśmy przeważnie po lasach, choć często i po miasteczkach.

Obiady jadaliśmy prawie codzień, gotowano w kotłach krupniki, kapuśniaki i t. d. Czasem oprócz zupy i gotowanego mięsa, dostawaliśmy jeszcze kawały

mięsa, które się piekło nad ogniem, tudzież kartofle, kapustę, jaja i t. d., które już sobie każdy wedle woli przyrządzał.

Swoją drogą dostawaliśmy tradycyjną słoninę, chleb i wódkę, często gotowała się w kotłach herbata, ponieważ jednak woda na nią była zagotowywana w tych samych kotłach, w których się gotowały krupniki i kapuśniaki, więc zarówno smak, jak zwłaszcza aromat, mocno szwankowały. Ale zato miała dwie zalety: była mocna i gorąca, więc naprzykład po deszczu smakowała doskonale.

Wogóle co do życia nie było żadnego porównania z tamtą partją. Ja teraz miałem żółtą naszywkę na czapce i na epoletach i otrzymałem stopień podchorążego, coś między podoficerem a feldfeblem. W spisach liczyłem się jako *galopin-adjutant*.

Miałem śliczny, lekki pałasz, kawaleryjski rewolwer, ładownicę przez ramię, a oprócz tego, kiedy wypadał dzień dyżuru, przez drugie ramię torbę z mapą i lunetę, przytem w torbie papier, atrament, pióro i ołówki.

Jako mający srebrne *porte-épée*, wchodziłem do dworów z oficerami na obiad, o ile ten we dworze wypadał, co się teraz nieraz zdarzało. Konia miałem dobrego i nader lekko noszącego, dbałem o niego więcej daleko, niż o siebie, według zdania dziadka Strzyżowskiego: „koniowi złoto, a sobie błoto”.

W czasie dyżuru, starania nad koniem miał ordynans naczelnika.

Służba była lekka w swobodne dni; ale zato w cza-

się dyżuru, który co trzeci dzień wypadł, gdyż nas trzech było, bardzo ciężka. Nieraz gorzko żałowało się owych swobodnych czasów, spędzonych w piechocie Czerwińskiego; po paru tygodniach prosiłem o przeniesienie do piechoty, ale nie zgadzono się na to.

W swobodnym czasie jechało się na furgonie, odpocząwszy dyżur, jadło i piło w bród, albo, odpocząwszy, gawędziło z kolegami, a już we dworze albo w miasteczku było używanie w całym znaczeniu tego wyrazu. Dzięki mundurowi i szabli, miano mnie powszechnie za oficera, zatem ugaszczano i traktowano wspaniale, w razie zaś bitwy można sobie było być, gdzie się podobało.

Ale zato w czasie dyżuru wszystkie owe honory bokiem wylaziły, zwłaszcza w nocy.

— Stefek! ruszaj do szpicy, żeby na tę drogę zawróciła, co będzie pod samą wsią na prawol!

Więc Stefek ostrogi w boki i marsz, marsz! pędem, żeby wyminąć całą partję i do tej szpicy w porę dojechać.

W dzień — to nic, ale w nocy — to była prawdziwa besarabska satysfakcja, szczególnie w lesie, gdy trza się było przemykać samym brzegiem drogi. Pnie drzew, gałęzie, a czasem rowy z dwóch stron drogi wykopane sprawiały rozkosz! Specjalna jednak przyjemność była wtedy, kiedy partja jechała na podwodach, i dopiero trzeba się było przemykać i wymijać te furmanki, których bywało kilkadziesiąt i więcej.

Czasu zaś tracić na ostrożne wymijanie nie było można, bo Murdeljo nie żartował i wojskowym oby-

czajem żadnych okoliczności łagodzących nie uwzględnił. Zresztą poczucie obowiązku i chęć dobrego wykonania rozkazu sprawiały to, że się nie zważało na nic, tylko gnało jak wiatr przed siebie, podciągnąwszy tylko pałasz wysoko, żeby się o gałęzie nie czepiał i wsadziwszy czapkę w zanadrze, bo inaczej zleciałaby.

Ile ja tam świetnych okazji do skręcenia karku przepuściłem, ile razy z konia i z koniem padałem, Bog jeden raczy wiedzieć!

A już, jeżeli dyżur wypadł w czasie bitwy, a raczej bitwa w czasie dyżuru, no, to już ostateczne „adju, Fruziu”. Bo to z jednego brzegu lasu pędź z rozkazem do drugiego, czasem o parę wiorst. Lasem jechać nie można, więc trzeba rwać polem.

Nieprzyjaciel, widząc pędzącego kawalerzystę, wie doskonale, że on nie po cukierki jedzie. Urządza sobie tedy praktyczne strzelanie do ruchomej tarczy, i już po odjechaniu kilkudziesięciu kroków zaczyna się djabelska muzyka. Kule, jakby je kto do tego najał, śpiewają, świszczą, warczą, z boku, z tyłu, z przodu, aż pył obłoczkami się wznosi; wciąż czekasz chwili, kiedy cię która ukąsi. Ciało się kurczy, jakoś maleje i wciąga się w siebie, a z serca płynie do ust: „Kto się w opiekę” i „Pod Twoją obronę”.

Zupełnie co innego w piechocie z karabinem. Naprzód nie do mnie jednego strzelają, a w kompanji zawsze weselej, potem przy nabijaniu, celowaniu i strzelaniu jakoś się tych kul nie słyszy, chyba, że granat zawyje i pęknie niedaleko, albo kartacze zaświergocą nad głową. Jest przytem wielka satysfakcja,



Kule, jakby je kto do tego wynajął, śpiewają, świszczą,
warczą (str. 112).

że ty mnie, ale i ja ciebie, a będzie, co komu pisało; a tutaj wszystkie kule z całego świata „rendez-vous” sobie koło mnie naznaczają, a ja nic! Słowem, głupia pozycja w całym znaczeniu tego wyrazu. Na szczęście, zwykle te kule chybają, ale co „Pietra” napędzą, to napędzą!

Nareszcie dojeżdża się do miejsca przeznaczenia; oddaje się rozkaz, który zwykle z mniej lub więcej kwaśną miną przyjmują, daje się odsapnąć szkapie i jazda nazad z raportem!

O, czytelniku! Jeżeli ci kiedy przyjdzie być na wojnie, to unikaj konia, błyszczących naszywek i pałasza, lecz pakuj się do piechoty. W piechocie byleś stanął, już i siedzisz albo leżysz, karabin przetarłeś i spać. Dadzą jeść? dobrze; nie dadzą? a no, niby gorzej, ale jakoś po staremu, pół biedy. A tu, jeżeliś na koniu, szukaj siana, owsa, wody i t. d. A cóż dopiero, jeżeli tego wszystkiego braknie? Musisz patrzeć, jak biedne zwierzę cierpi i jakby z wymówką smutnymi oczyma na ciebie spogląda.

W czasie dyżuru, to nietylko człowiek sam, ale i koń ma się zpyszna; tylko co odsapnął o tyle, że go do owsa można dopuścić, a tu znowu kulbacz, siadaj i jedź!

Zato przy wjeździe do miasta paradowało się obok naczelnika, po lewej ręce, na długość łba końskiego wtył. Rozumie się, wszystko było oczyszczone, wypucowane, a już o minie niema co i gadać, ale to się zdarzało rzadko, a niedogodności ciągle.

Wstawaliśmy zwykle przed wschodem słońca, ze

snu budziła nas pobudka, następnie kto mógł i jak mógł, mył się, potem zwykle stawaliśmy do modlitwy, po której zaraz trąbka uderzała na wymarsz i ruszaliśmy oddziałami w pochód.

Ta ranna modlitwa ogromne robiła wrażenie. Tam bowiem każdy się modlił prawdziwie i serdecznie. Tymczasem pierwsze promienie wschodzącego słońca odbijały się w bagnietach i szablach. A jeżeli ta modlitwa odbywała się w czasie święta, przy stosunkowo większym bezpieczeństwie, wtedy na jakiejś wielkiej polance leśnej stawała cała partja w czworobok, w środku ksiądz kapelan i rozwinięte sztandary!

Wtedy to gotowi byliśmy zaraz głowy położyć za Wiarę i Ojczyznę. Po modlitwie, a czasem i odprawionej mszy świętej, śpiewaliśmy zwykle: „Boże coś Polskę” i „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Jeżeli dyżur wypadł w czasie postoju, to czasem można się było i zdrzemnąć, ale nie na długo, bo major, który mało i rzadko sypiał, co chwila gdzieś posyłał: to dla sprawdzenia pikiet, to z rozkazem gaszenia ogni, albo wysłania gdzieś rekonesansu, słowem znalazłby zajęcie dla dziesięciu takich majorów, jak sam, i dwudziestu takich adjutantów, jak ja.

Karność u nas była zupełnie nie partyzancka; zwykła kara, zwiększana lub zmniejszana, stosownie do przewinienia; była „pod karabiny”, t. j., że na winnego żołnierza nakładano karabiny dwa, trzy, cztery i t. d., stosownie do przewinienia, z którymi musiał iść w pochodzie przez określony czas. A że swój karabin dawał się często we znaki, więc cóż dopiero,

gdy przyszło dźwigać dwa, albo i cztery. Czasami było i gorzej, bo za jawne nieposłuszeństwo np. była wymierzana kara śmierci.

Pamiętam raz, po wyjściu z jakiegoś miasteczka, Ciepiewa w gubernji radomskiej, gdzie nas suto ugoszczono, szliśmy w gorącu i kurzawie po piasku; jakiś żołnierz, i to z żuawów, wyskoczył z szeregu i napił się wody z sąsiedniej brudnej kałuży, popełnił zatem dwa przestępstwa przeciw karnośći wojskowej: *primo*, wyszedł z szeregów bez pozwolenia; *secundo*, napił się wody z kałuży, czego u nas także nie było wolno robić, gdyż kilku ludzi od takiej wody ciężko zachorowało, a jeden nawet umarł. Ale przestępstwa te same przez się były małe; podoficer tylko podobno naznaczył mu dodatkową pikietę bez kolei i byłoby się na tem skończyło.

Na nieszczęście jednak, ów żołnierz odburknął coś grubo podoficerowi, a jednocześnie nadszedł Murdeljo i ja, ponieważ byłem dyżurnym. Posłyszawszy widocznie coś, major spiął konia i w kilku susach dopadł do szeregu, gdzie zaraz huknął: „Pod karabiny“, tymczasem ów żołnierz stanął z zawadjacką miną i hardo odpowiedział: „Nie pójdę“.

Natychmiast major wyrwał rewolwer z olstry i w jednej chwili trupem go położył.

W szeregu żuawów jakby coś burknęło albo szcęknęło, i jednocześnie karabiny pochylły się ku nam bagnietami; ja dobyłem pałasza i poparłem konia naprzód, żeby lewą ręką majora zasłonić, jako to zawsze na koniu lewa strona słabsza, ale major sza-

bli nie dobywał, tylko spał konia i huknąwszy: „Strzelajcie, łajdaki!” — skoczył między żuawów.

Dwóch czy trzech przewróciło się, reszta cofnęła się wtył, a w tej chwili major zakomenderował: — „Na ramię broń! formuj front! dowoli broń! prezentuj broń!” — a potem znowu „na ramię” i „dowoli”; wkońcu: „szóstkami od prawego, kompanja marsz!”

Porucznik powtórzył: — „Kompanja marsz!” — i ruszono.

Ale majorowi było tego przykładu za mało. Kazał więc całej partji zawrócić i naokoło tego zastrzelonego przedefilować; porucznikom zaś kompanji, wieczorem przy noclegu, objaśnić ludzi, jaka kara czeka każdego za nieposłuszeństwo, z tym dodatkiem, że kto chce, może się zaraz z partji wynosić.

Niebawem nadjechał Cwiek, blady i przerażony, a gdy zobaczył tego nieszczęsnego postrzeleńca, który, choć miał głowę roztrzaskaną i jedno oko na wierzchu, jeszcze się od czasu do czasu rzucał, jak ryba na piasku, szepnął:

— Na miłość Boską, co zrobisz, majorze!

A ten wydobył z najzimniejszą krwią cygarnicę i podając mu ją eleganckim ruchem:

— Naczelniku — powiada — może papierosa pozwolisz?

Zdetonowany pan naczelnik wyjął papierosa z cygarnicy, a że nie palił, więc nie wiedział co z nim zrobić, lecz wahał się odmówić Murdeljonowi w takiej chwili, i tak z onym niezapalonym papierosem w garści pojechał dalej.

Wieczorem wszyscy mnie rozpytywali o szczegóły. Ale usposobienie wszystkich było ponure i smutne, z wyjątkiem Murdeljona, który, czy po wygranej, czy przegranej bitwie, głodny czy syty, suchy czy mokry, był jednakowy.

Późnym wieczorem jednak, gdy przy schodzeniu z dyżuru przyszedłem mu zameldować o tem według porządku, powiedział:

— Widziałem, jakieś szabli dobył, będą z ciebie ludzie.

Nazajutrz ruszyliśmy dalej i wszystko poszło normalnym porządkiem; na postojach i dniówkach, a często podczas marszu, uczono nas mustry, manewrów i t. d.

Z nazwiska bardzo mało kogo się pamięta, gdyż prawie nikt pod swoim prawdziwym nazwiskiem nie służył, bojąc się ściągnąć prześladowania na rodzinę, przytem wówczas przezwiska były w modzie tak dalece, że nawet Galicjanie, zupełnie bezpieczni od prześladowań rządowych, często tej modzie hołowali.

Były więc: Kosy, Wyrwidęby, Młoty i t. d. Jednakże kilka nazwisk pamiętam, tak np.: dwóch braci Sroczyńskich z Galicji, Grabowskiego z Niedrzwicy z Lubelskiego, kapitana Makarskiego, kapitana Rudowskiego (Rosjanina), Gromeykę i t. d., ale przede wszystkim dzielnego porucznika Zarembe, Antoszewicza, Gryglaszewskiego, Eminowicza, Samborskiego i innych.

Zaremba, młody, przystojny, a przede wszystkim odważny jak lew, był ulubieńcem całej partji. Zawsze

wesół, zawsze coś śpiewający, a przytem doskonały żołnierz, jak to mówią, za sprawą Ducha świętego, przez jakąś dziwną intuicję czy dziedziczność, bo nigdy w wojsku nie służył. Trzymał w żelaznej karności swoich ludzi, przez których, mimo to, a raczej właśnie dlatego, był ubóstwiany; nawet u Murdeljona miał osobne względy, tak dalece wszyscy go lubili.

Antoszewicz i Gryglaszewski, kozacy Czajkowskiego, prawdziwe lwy bojowe, którzy bijąc się za wolność, cały świat objechali, poranieni, podziurawieni, trzymali się jednak znakomicie. Świetni to byli żołnierze i wraz ze swymi kolegami, którzy z Turcji z nimi przybyli, bardzo dobry wpływ na całą partję wywierali, a już takich kawalerzystów, jak oni, to chyba na świecie drugich nie było!

Bo to niedość siedzieć dobrze na koniu, mieć tęgą minę i dzielnie robić pałaszem, trzeba umieć przeniknąć wskroś jeźdźca i konia, trzeba znać potrzeby rumaka, uprzedzić życzenia, widzieć granicę jego wytrzymałości, a zarazem umieć zażyć, gdzie trzeba, i tak, jak trzeba. Tego w kawalerji nauczyć się niełatwo i nieprędko można, bo nato potrzeba długich lat praktyki bojowej i marszowej, a obok tego przyrodzonej zdolności, bez których ani czas, ani praktyka nie wystarczy.

Przy obecnym systemie krótkiej służby wojskowej i rzadko się zdarzających, choć bardzo krwawych wojen, połączenie owych wszystkich warunków jest prawie niemożliwe, to też takich kawalerzystów, jacy bywali dawniej, obecnie niema.

Stąd też pochodzi owo niedowierzanie opowiadaniom o rozmaitych, przez dawną kawalerję wykonywanych, skutecznych atakach (szarżach), rozstrzygających o losach bitew, w których to opowiadaniach nowocześni kawalerzyści często przesadę upatrują. Tym to krytykom i niewiernym Tomaszom doskonałą odprawę dał zmarły w roku zeszłym generał Dragomirow, ongi profesor petersburskiej Akademji wojennej, w swoim doskonałym opisie bitwy pod Samosierrą.

Ale wracam do moich wspomnień.

Krażąc tedy około Garwolina, Markuszowa, Puław, spędziłiśmy pewien czas, a potem ruszyliśmy ku południowi. W tym czasie przystało do nas dwóch mieszczan z Garwolina, którzy nam opowiedzieli swoją historję. Wynikało z niej, że niema tego złego, coby na dobre niekiedy nie wyszło, oni bowiem swoje życie zawdzięczali temu, że sobie dobrze podpili.

Wracając raz, jak to mówią, pod dobrą datą z jakiejś zabawy, spotkali kilku linjowych kozaków. Ci, widząc bezbronnych ludzi, rzucili się na nich z pikami i szablami, i byliby ich niewątpliwie pomordowali, gdyby ci się nie bronili. Po trzeźwemu nie próbowaliby tego, wobec przeważającej siły, ale, że byli podpici i z animuszem, więc jeden schwycił za luśnię od wozu, odbił pikę, łamiąc ją w kawałki, i tak zajechał naodlew napadającemu przez łeb, że ten ani zipnął. Drugi, trzymający w ręku długą laskę, wycelował ją do kozaków niby fuzję, krzyknąwszy na całe gardło: „pal!“. Widząc to, kozacy zawrócili na miejscu, krzycząc: „nie strelaj! nie strelaj!“ — i po-

mknęli jak wiatr, a ci, zabrawszy tedy konia i broń z owego zabitego, bojąc się już do miasta wracać, przystali do partji.

W owych czasach z oddziałami wojska włączyli się często tak zwani linjowi kozacy; była to zbieranina z różnych pułków, nic wspólnego z rzeczywistymi kozakami dońskimi, kubańskimi, terskimi i t. d., nie mająca i odznaczająca się zarówno okrucieństwem i rozbojnictwem, jak i tchórzostwem, co zawsze w parze jedno z drugim idzie.

Żołnierz, dzielny w boju i prawdziwie odważny, nigdy nie skala się rozbojem ani okrucieństwem nad bezbronnym i t. d., a tchórz najczęściej pastwi się nad bezbronnymi, o ile jest pewny bezkarności. Tak np. dragoni, którzy się najlepiej bili, z więźniami i bezbronnymi mieszkańcami odchodzili się prawie zawsze szlachetnie, a linjowe kozactwo znęcało się nad bezbronnymi bez litości, zato zmykało przy najmniejszym oporze.

Po niejakiem czasie połączyliśmy się z partją pułkownika Rudzkiego, znacznie liczniejszą od naszej, i już razem ruszyliśmy dalej ku południowi. Nareszcie, idąc szosą, zobaczyliśmy na górze zdaleka wspaniale rysujące się miasto Chełm. Na horyzoncie, przy blasku wschodzącego słońca, błyszcząły kopuły i wieżyce, świeciły czerwonym kolorem kryte dachówką dachy, słowem, zdawało się, że dochodzimy do jakiegoś wielkiego miasta.

Podchodząc więc bliżej, sformowaliśmy się w kolumny i już w porządku ruszyliśmy dalej z rozwinię-

temi sztandarami, śpiewając: „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Przyjęto nas wspaniale; duchowieństwo obu ob-
rządków, unickiego i łacińskiego, z biskupem unickim na czele, z chorągwiami, chórem śpiewaków, cechy mieszczańskie z chorągwiami i muzyką, a za nimi prawie cała ludność miasta, przystrojona odświętnie, kobiety po większej części w białych sukniach, z trój-kolorowemi szarfami.

Kiedy minęliśmy rogatki, zabrzmiały dzwony we wszystkich cerkwiach i kościołach, zagrała muzyka naprzemian z chórami, i tak triumfalnym pochodem dążyliśmy w górę ku katedrze, skąd po krótkim nabożeństwie rozchwytali nas mieszczanie do domów na ugoszczenie.

Jaki zaś w owych czasach był zapał patrijotyczny, to maluje najlepiej, że niektóre kobiety, podczas gdy wchodziliśmy do miasta, padały na kolana i przez łzy, bez tchu, w jakimś zachwycie wołając: „nasil! nasil!” klęczały tak z powyciąganemi ku szeregom rękami, póki ich nie popodnoszono i nie opamiętano, a bywało tak, że dopadłszy szeregu jeźdźców, nogi, a nawet konie całowały.

Karmiono nas i pojono aż zanadto ku oburzeniu majora, który napadł na Ćwieka i coś mu ostro po niemiecku mówić zaczął, ale poczciwy Ćwiek, który był już zupełnie pod dobrą datą, co i ja nawet, mimo winnego uszanowania dla pana naczelnika, doskonale widziałem, objął go tylko, wyściskał, wycałował — i na tem się skończyło.

Ale major wkrótce się jakoś wykręcił z owych ugoszczeń; kiwnąwszy na mnie, wyszedł i posłał mnie zaraz po Antoszewicza, Gryglaszewskiego, Makarskiego, Kobosa, ci jednak wszyscy, choć w wesołym usposobieniu, ale najzupełnie byli przytomni i trzeźwi. Nagadawszy się z nimi po niemiecku i nasadziwszy swoim cienkim, ochrypłym głosem „donnerwetterów” coniemiarą, pan major, który nigdy nic oprócz mleka i wody z sokiem nie pijał, kazał sobie podać konia i ruszył objeżdżać pikiety, wzięwszy Antoszewicza i mnie z sobą. Pikiety zastaliśmy w zupełnym porządku, karabinki na lewej ręce, prawa z palcem na cynglu, słowem, wszystko na szczęście, jak należy, mówię: na szczęście, gdyż przy usposobieniu majora, w razie najmniejszego nieporządku, byłoby się bez pójścia „pod karabiny”, a może i czegoś gorszego, nie obeszło.

Po powrocie odbyło się uroczyste przyjęcie ochotników. Nasza partja ustawiła się w czworobok, ksiądz kapelan w środku, a ochotnicy kolejno, dotykając ręką sztandaru, składali przysięgę, że go do ostatniej kropli krwi bronić będą, poczem wcielono ich do odpowiednich kompanij.

Po ustawieniu broni w kozły, rozeszliśmy się po domach, ugaszczani w dalszym ciągu.

12. BITWA POD DEPOLTYCZAMI

Major jednak ciągle był niespokojny i niezadowolony; niebawem wyszedł na ulicę, wzięwszy mnie z sobą, i poszliśmy zobaczyć, co robią żuawi. Zale-

dwie jednak uszliśmy kilkadziesiąt kroków, zobaczyliśmy galopem pędzącą furmankę, na której siedziała jakaś pani, jak się okazało potem, miejscowa kurjerka, która zeskoczywszy z bryczki, złożyła raport majorowi, że idą na nas trzy rotę piechoty (około 500 ludzi) i sotnia kozaków.

Major zatarł ręce, widocznie zadowolony, że się ta zabawa skończy, i w tej chwili podniósł gwizdawkę do ust: posypały się krótkie, ostre dźwięki na trwożę. Na mnie huknął:

— Ruszaj do panów naczelników!

Kopnąłem się pędem pod górę, ale zanim dobiegłem do tego domu, w którym sztab był pomieszczony, usłyszałem trąbki, grające na alarm i zobaczyłem ze wszystkich domów wysypujących się powstańców. Dobiegłszy nareszcie do sztabu, zastałem już wszystkich na dole w jakiejś ogromnej sieni, nawołujących o konie, a nawet samych biegnących je siodłać.

Ćwiek już siedział na swoim pysznym, gniadym koniu i zapinał kurtkę. Dopadłszy do niego, odraportowałem co się dzieje, a Ćwiek pokręcił węża, mruknął do swoich sąsiadów: — „*Mais nous les mangeons sans poivre ni sel*“ *) — i ruszył ulicą nadół, posławszy mnie wraz z innymi zlustrować miasto i powypędzać maruderów.

Maruderów w mieszkaniach nie było wprawdzie, zato na ulicach spotykałem co krok prowadzących się pod ręce, lub prowadzonych zanadto ugoszczonych żołnierzy.

*) Zjemy ich bez soli i pieprzu. (Przysł. franc.).

Ruszono tedy z miasta, niestety, w daleko gorszym porządku, aniżeli wchodzono. Żegnani jednak i błogostawieni na drogę byliśmy z niemniejszym zapalem przez poczciwych mieszkańców, a zwłaszcza mieszkanki gorąco patryjotycznego Chełma.

Zaledwie uszliśmy parę wiorst od miasta ku wsi Depołtyczom, usłyszeliśmy strzały naszego rekonesansu, który wkrótce nadjechał pędem z zawiadomieniem, że nieprzyjaciel się zbliża. Zaraz rozsypano naszych strzelców w długi, gęsty łańcuch tyraljerów i ruszono szybkim krokiem naprzód, a kawalerję galopem na lewo. Jak się potem dowiedziałem, miała rozkaz objechania nieprzyjaciela i zajęcia Depołtycz, aby w ten sposób wstrzymać go, aż do nadejścia naszej piechoty z frontu.

Jednakże to jej się nie udało, zanim bowiem zrównali się z kolumną nieprzyjacielską, już Rosjanie zpowrotem Depołtycze zajęli. Właśnie zjeżdżałem z góry z moimi towarzyszami, bo zabawiliśmy w mieście sporo czasu, doprowadzając do jakiegoś takiego porządku owych maruderów i furgony, gdy bitwa zaczęła się na całej linii.

Widać ją było jak na dłoni: na widnokregu rozsypani tyraljerzy — strzelcy rosyjscy cofali się we wzorowym porządku, na górze na lewo, około wiatraka, stało kilku oficerów, a nasi atakowali. Kozaków nie było ani śladu, jak nam bowiem później chłopci depołtyccy opowiadali, zobaczywszy, ile nas wyszło z Chełma, jeszcze przed rozpoczęciem bitwy uciekli.

Piechota broniła się doskonale, zwłaszcza wobec

tak znacznie przewyższającej siły z naszej strony. Cofali się szybko, ale regularnie, odstrzeliwając się tak celnie, że i u nas były stosunkowo poważne straty.

Dowódca ich, którego widziałem przez lunetę doskonale, objeżdżał łańcuch tyraljerów, zupełnie tak, jak z naszej strony major, tylko, że jego ludzie nie byli tak ugoszczeni jak nasi, a przytem widocznie była to jakaś wyborowa piechota.

U nas „wiara“ następowała gwałtownie, ale bezładnie, kupami, i powstrzymywana morderczym celnym ogniem, zatrzymywała się, a potem znowu uderzała i znowu bez skutku.

Major latał jak szalony, chciał bowiem rzucić w bok nieprzyjacielowi parę naszych kompanij i, zatrzymawszy go w ten sposób, otoczyć i zmusić do poddania się, ale choć mu się udało wysunąć paręset ludzi z boku naprzód, jednakże nieprzyjaciel, cofając się szybko, odciąć się nie dał i celnym ogniem ów flankowy atak odparł. Musieli jednak zmienić kierunek cofania się, co ich na gęsty, choć niebardzo celny ogień głównej masy piechoty naszej i Rudzkiego naprowadziło, a do poważnych strat przywiodło.

Widziałem, jak się pole gęsto rozrzuconemi szaremi plamkami zabitych i rannych pokryło.

Jednakże nasi zatrzymać im się we wsi nie pozwolili i, atakując coraz gwałtowniej, przez wieś ich kłusem przepędzili i ostatecznie jeszcze poza wsią atakowali. Z nadejściem nocy, ogień ucichł na całej linji, i tak się owa nieszczęśliwa bitwa skończyła. Mówię: nieszczęśliwa, gdyż przy porządku powinna

była żywa noga z owych trzech rot nie zostać, pomimo całej ich dzielności. Ale nasi byli zanadto ugośczeni, przytem główną komendę pełnił pułkownik Rudzki, raz, jako mający dwa razy liczniejszą partję od naszej, a powtóre jako wyższy rangą.

Mówiono u nas między żuawami, że gdyby nasza partja szła sama, to byłoby się inaczej skończyło, gdyż nasz Murdeljonik nigdyby na taki poczęstunek w Chełmie nie pozwolił i bitwę odrazu innym ładem poprowadził.

Naszych padło dużo, tak zabitych jak rannych; przyjechali zaraz księża z Chełma z olejami świętymi i razem z naszym kapelanem spowiadali, namaszczali konających i ciężko rannych, których następnie na wozy ładowano i zpowrotem do Chełma odesłano.

Rannych zaś Rosjan, jako bliżej Depołtycz będących, umieszczono we wsi, gdzie o nich jednak największe staranie miano. Zabitych zaś z obu stron pochowano w dwóch sąsiednich mogiłach, po odprawieniu nabożeństw i pożegnaniu salwami karabinowemi obu mogił. Oddano zaś cześć poległym Rosjanom, raz zato, że się tak dzielnie trzymali; a powtóre, że w czasie rejterady przez zemstę wsi nie spalili.

Przejeżdżając przez ową górę z wiatrakami, na której podczas bitwy stali owi dzielni oficerowie rosyjscy, znalazłem zakrwawioną oficerską czapkę, pałasz bez pochwy ze złotym pendentem i wojskową lunetę w zakrwawionym pasku, widocznie więc któryś z oficerów był ranny albo zabity, ale go z sobą unie-

śli, gdyż rannego ani zabitego oficera ani na polu, ani też we wsi nie było.

Jadąc dalej dobrze znajomą mi drogą, przejeżdżałem blisko dworu w Uhrze, dworu, w którym tyle przyjemnych wieczorów spędziłem u państwa Bielskich, właścicieli tego majątku.

Widziałem doskonale oświetlone okna i przyszło mi na myśl, czy też się panienki domyślają, że ja tutaj konno i zbrojno tak blisko koło nich przejeżdżam. Ogromnie mi się chciało choć na chwilę do nich zajechać, ale już nastał mój dyżur, jechałem koło majora, który gdyby był w innym nastroju ducha, może byłby pomimo dyżuru na to pozwolił, ale teraz wskutek nieudanej bitwy był taki zły, że go nie śmiałem nawet prosić.

Wkrótce potem odłączyliśmy się od Rudzkiego i krążąc koło Świerszczowa, Wereszczyna, Rudzienca, wszystko znajomych mi stron, zapadliśmy gdzieś w głębokie lasy i tam na kilka dni stanęli.

Przywieziono nam tam bieliznę, umundurowanie, dostawiono broń i ładunki. Przez cały ten czas Murdeljo od świtu do nocy kierował ćwiczeniami i manewrami. Uczono przedewszystkiem czyścić broń, strzelać, a głównie określać odległość i odpowiednio nastawiać wizjery.

Ja także dostałem kilkunastu ochotników, których tego uczyłem. Obchodzić się z bronią i strzelać jako tako wszyscy umieli, ale gorzej było z wizjerami, których, jako rzeczy w owych czasach zupełnie niezna-nej, nikt nie widział i użyteczności nie rozumiał, wo-

góle uważano wizjery za zagraniczny wymysł, zgoła niepotrzebny i tylko w celowaniu przeszkadzający, wątpiono także silnie, żeby kula mogła na 1500 kroków i dalej lecieć.

Jakoś jednak udało mi się to pomału wytłumaczyć, przez porównanie do rzuconego kamienia poziomo i pod kątem w górę, który przecie znacznie dalej leci. Następnie po czasie, nauczywszy już długotrwałem kłapaniem (przy nałożonych na brandki drewniakach, żeby się nie psuły), do prawego oka przy nastawieniu wizjerów na różne odległości, prowadzono małemi kompanjami nowych żołnierzy daleko w głąb lasu i tam po parę ładunków na dalekie dystanse do zrobionej z całych desek ogromnej tarczy strzelano.

Po obejrzeniu zbliska skutku strzałów, z odległości 1500 kroków wypuszczonych, ochotnicy przekonali się do nowej broni i do „zagranicznych sztuczek” ogromnego uszanowania nabrali.

Kula bowiem na tę odległość trzycalowe bale nawylot przebijała.

Ja tymczasem powierzonych mi ochotników wyuczyłem pocichutku nietylko strzelać jako tako, ale i nabijać broń na 12 temp, prezentowania i t. d., które sam doskonale umiałem.

Otóż proszę sobie wyobrazić moją radość, gdy coś po tygodniu na polankę, na której robiłem ćwiczenia, nadszedł sam pan major w towarzystwie naczelnika, który właśnie objeżdżał uczące się oddziały.

Ujrzawszy go zdaleka, dobyłem pałasza, a ustawiwszy swoją wiarę jako tako we front, zakomende-

rowałem: — baczność! na ramię broń! — a gdy już byli przed samym frontem: — prezentuj broń!

A że pierwiej dla zgodności ruchów kazałem trochę złuzować skówki, antaby do pasków i szyjki od bagnetów, jakoś tak się szczęśliwie udało, że karabiny brzękły jak jeden.

Ćwiek pokręcił węża, a Murdeljo, dobywszy pałasza, sam poprowadził komendę, a gdy po nabiciu ślepemi półładunkami huknęło jak jeden strzał, uśmiechnął się i rzekł z zadowoleniem:

— Dziękuję, doskonale, bardzo dziękuję.

Otrzymać pochwałę przed frontem od pana majora była to niesłychana rzadkość, więc uradowałem się niezmiernie.

Kawalerję także ćwiczano energicznie przez naszych starych kawalerzystów, ale z ludźmi, którzy przeważnie z konną jazdą i obchodzeniem się z koniem praktycznie obeznani byli, szło daleko łatwiej, niż z końmi. Konie bowiem — była to w całym znaczeniu tego słowa zbierana drużyna, większe i mniejsze, gniade i kasztany, a nawet bywały i siwe, które jednak starano się ile możliwości wymieniać, albowiem siwe konie zdaleka, na ciemnym tle lasu, odcinają się wyraźnie. Później, naodwrot, z nastaniem zimy i śniegów, pożądane były właśnie siwe konie.

Ale najgorzej działo się ze zwrotami, stawaniem na pikietach, podjazdami i t. d. Konie z jednej stajni, których nieraz po kilka od zamożnych obywateli dostawaliśmy, lubiły koło siebie chodzić, więc rozstawały się z sobą niechętnie, a witały przy powrocie ra-

dosnem rzeniem. Już prawdziwem nieszczęściem było, jeżeli takie dwa konie stanęły na pikietach w takiej odległości, że się widzieć i czuć mogły, zaraz bowiem rozpoczynało się powitanie, a potem rozmowa i rwanie się do siebie, tym zaś oznakom przyzwyczajenia do towarzyskiego życia nieszczęsny kawalerzysta, z palcem na cynglu, niezawsze podołać potrafił, więc wychodziły stąd rozmaite niedokładności, często kończące się burą pilnującego pikiet oficera ludziom, a od nich burą dla wierzchowca.

Wogóle jednak przywiązywano się do koni, lubiano je i obchodzono się z nimi dobrze.

Obóz nasz przez cały ten czas był otoczony łańcuchem widet pieszych, pikiet konnych, rozstawionych daleko od centrum, wszystko to ukryte w gąszczach leśnych, a oprócz tego rozjeżdżały poczty narodowe cywilne, kurjerki, włościanie, Żydzi i t. d., pewni zatem, że o każdym ruchu wojsk będziemy zawiadomieni, staliśmy sobie zupełnie spokojnie i bezpiecznie.

W owym czasie spotkała mnie zabawna przygoda, a mianowicie: kiedy raz wracałem z manewrów sam wąską dróżką leśną, z gąszczu wyszedł jakiś ogromny szlachcic z białą brodą, i schwyciwszy konia za cugle obu rękami, zapytał:

— A gdyby tak na mojem miejscu był nieprzyjaciel, to cobyś zrobił?

A ja na to:

— Palnąłbym mu w łeb!

I momentalnie złożyłem się z rewolweru do niego. Szlachcicowi to się ogromnie podobało, tak, że na

drugi dzień przywiózł mi parę butelek starego wina, o którym mówił, że nawet zabitego wskrzesi, i coniemiarza rozmaitych zakąsek.

Nareszcie pewnego dnia rano, przed wschodem słońca zagrały trąbki poranną modlitwę, a po odmówieniu dłuższej, niż zwykle modlitwy, przy rozwiniętych sztandarach, zabrzmiała trąbka na wymarsz, odezwała się znana komenda Murdeljona: — „kolumna maaarsz!” — jak zwykle cienkim, ochrypłym głosem z kogucikiem na końcu wymówiona — i ruszyliśmy w pochód.

13. W RADOMSKIM

Po paru tygodniach ciągłych pochodów i alarmów, przeprawiliśmy się przez Wisłę i przeszli w Radomskie, tam połączyliśmy się z partją Gromeyki i Rudowskiego. Razem było nas około ośmiuset ludzi, i to ludzi dobrych, a jak na partyzantów — wcale nieźle wyćwiczonych. Mieliliśmy nawet armatkę, wprawdzie wiwatówkę, którą jeden koń ciągnął i jeden artylerzysta obsługiwał.

Ruszyliśmy tedy w lasy ilżeckie, gdzie nastąpiło pierwsze starcie, a raczej alarm. Gdy bowiem pikiety, nie strzelając, dały znać, że od Ilży posuwa się jakiś mocny oddział kawalerji, Murdeljo z dwoma dragonami Gromeyki wyjechał sam na rekonesans.

Noc była tak ciemna, jak to się zdarza niekiedy w lecie, że — jak mówią — końca swojego nosa nie

widać, więc major podjechał stępa i zbliżył się na parę kroków od owego oddziału. Widocznie z obu stron nie wiedziano, kto naprzeciwko stoi.

Wtenczas major gromkim głosem zapytał: „Kto”? — odpowiedziano mu: „Draguny jekaterynosławskawo połka”, na co Murdeljo, który trzymał rewolwer na pogotowiu, palnął do nich dwa razy i, jak mówiono, zsadził z konia dwóch. Towarzysze dali jednocześnie ognia, a dragoni skłębili się i pędem polecieli nazad; major zaś ze swymi powrócił do obozu, za nimi przygalopowały trzy ogromne kare dragońskie konie, które też połapano, i odtąd u nas służyły. Ja o tem wszystkim dowiedziałem się dopiero na drugi dzień rano, gdyż nie będąc dyżurnym, spałem doskonale.

Szliśmy sobie tedy dalej, alarmując po drodze kawalerją załogi rosyjskie, jadając w miasteczkach lub wsiach, otwarcie i w biały dzień.

Kraj cały, z wyjątkiem miast, gdzie stały wojska rosyjskie, był w ręku władz narodowych, które występowały jawnie tak dalece, że przejeżdżające żony wojskowych i urzędników rosyjskich brały paszporty od Rządu Narodowego, a czasami zdarzało się nawet, że przechodzące wojska udawały się z prośbą o podwozy dla rannych, albo o środki lecznicze i t. d., do polskiego naczelnika powiatu, który im nie odmawiał; często także zostawiali swych rannych na opiece pana naczelnika.

Wogóle w owych czasach, mimo zbrojnej walki, jakiejś osobliwej nienawiści nie było, owszem, z jeńca-

mi i rannymi obchodzono się jak najlepiej, uważano ich za gości i traktowano odpowiednio.

Dopiero po powstaniu, wskutek rozwinięcia srogiego i okrutnego postępowania ze zwyciężonym narodem, a zwłaszcza po zalaniu całego kraju przez obcych i najgorzej usposobionych urzędników, dążących do wynarodowienia, nastął okres głuchej ku nim nienawiści.

Po długich marszach stanęliśmy nareszcie we wsi Kowalach, o milę drogi od Radomia, a należącej do państwa Deskurow.

Przyjęli nas państwo Deskurowie nader gościnnie, sztab stanął we dworze; po obiedzie tańczono i bawiono się wybornie.

Ja właśnie, wlaższy w ogrodzie na gruszę, zrywałem dojrzałe owoce i rzucałem nadół panienkom, kiedy wyraźnie posłyszałem bardzo odległy odgłos strzałów.

Szybko zszedłszy z drzewa, przypiąłem pałasz i rewolwer, a przeprosiwszy panienki, którym wy tłumaczyłem, że mam jakiś pilny interes do majora, pobiegłem do dworu. Zastawszy majora w najlepsze żartującego z paniami (gdyż srogi pan major ogromnie lubił damskie towarzystwo), powiedziałem mu:

— Człowiek, co pan major kazał, czeka.

Major spojrział na mnie zdziwiony, jednakże poznawszy, że to coś jest, wyszedł ze mną zaraz do sieni, gdzie mu powiedziałem, com słyszał, a także i to, że jeden strzał był ostrzejszy, widocznie z naszej broni, a kilka grubszych, głuchszych z rosyjskiej.

Wyszliśmy zaraz na ganek, gdzie major kazał sobie podać konia, a mnie posłał zameldować tę wiadomość naczelnikowi.

Naczelnik odpowiedział, że może to tak sobie tylko jakiś huk, i nie ruszył się z miejsca.

Ja jednak zbyt byłem swego pewny, poszedłem więc do stajni i bez żadnego rozkazu kazałem kulbaczyć konie naczelnika i sztabu, a przede wszystkim swego.

Wróciwszy do dworu i spotkawszy się sam na sam z panią Deskurową, powiedziałem jej, że prawdopodobnie będzie wkrótce bitwa, więc niech nic nikomu o tem nie mówi, ale niech ma to na względzie.

Tymczasem jakoś i pan naczelnik dał sobie wytłumaczyć, że to były na pewno strzały, więc wyszliśmy całym towarzystwem na ganek i w tej chwili usłyszeliśmy trąbki, grające na trwożę. Podano nam momentalnie konie, zaprzęgano furgony, formowały się kompanje, siadała na koń kawalerja, słowem, zwykły ruch przedbojowy.

A choć w partji było dużo prawdziwych żołnierzy, którzy — jak to mówią — nie z jednego pieca chleb jedli, ale było więcej takich, którzy jeszcze prochu nigdy nie wachali, więc przypatrywałem się z ciekawością, jak to wszystko idzie.

Poszło dość sprawnie: kawalerja pod dowództwem Antoszewicza i Gryglaszewskiego wyjeżdżała właśnie tęgim kłusem na rekonesans, kiedy wyraźnie usłyszałem kilkanaście strzałów, wprawdzie jeszcze bardzo odległych, lecz niemal jednocześnie rozległ się dobrze

znany świst, a raczej brzęk kuli, która gdzieś wysoko nad dachem przeleciała.

Wpadłem do dworu, kazawszy trzymać konia chłopakowi, żeby pomóc paniom. Pani Deskurowa chwyciła naprędce kosztowności i, zobaczywszy mnie, prosiła, żebym na miłość Boską, ratował je i kazał zaprzęgać konie, bo już dwa razy posyłała napróżno; panienki płakały tymczasem i mówiły: „Pod Twoją obronę”.

Pobiegłem do stajni szukać furmana, pogroziwszy po drodze chłopcu, który mego konia puścił. Znalazłem go pod żłobem, a gdy na mój rozkaz, żeby zaprzęgał, grubjańsko odpowiedział, że zaprzęgać ani myśli — przemówiłem do niego krótko, ale węzłowato — płazem szabli po grzbiecie, co tak poskutkowało, że w jednej chwili przed ganek zajechał.

Pani Deskurowa szybko wskoczyła do powozu z rodziną, a ja jeszcze wrzuciłem im parę ciepłych chustek, sam zaś siadłem na konia i ruszyłem za kolumną, która już ze wsi ku sąsiedniemu lasowi marszerowała.

Przez cały ten czas kule już padały we dworze, bębniły po dachach, a huk strzałów coraz głośniej się rozlegał.

Druga kompanja strzelców wstrzymywała napór nieprzyjaciela na skraju wsi celnym i gęstym ogniem; po chwili na drugim końcu wsi rozległ się znowu ogień, o ile pamiętam, piechoty Gromeyki. Reszta całej partji cofała się do lasu, gdzie rozstawiono strzelców w szeregi na brzegu.

Tymczasem ogień we wsi wzrastał się coraz bardziej, przybliżając się do nas, strzelcy bowiem, odstrzeliwując się, ścigali ku nam.

Major, jak salamandra w ogniu, całą akcją kierował. Naraz w kilku miejscach buchnęły kłęby dymu i płomieni! To wieś zaczęła się palić. Niebawem strzelcy nasi skoncentrowali się w jednej części wsi, a drugą zajął nieprzyjaciel, którego część (jak mówiono — dwie rotę) walczyła ze strzelcami, a druga, większa, rozpoczęła gęsty ogień karabinowy na nas.

Widocznie tej chwili czekał major; przybiegł bowiem do nas i, sformowawszy szturmową kolumnę, poprowadził ją do ataku.

Żuawi poszli pierwsi i prawdziwie rozkosz była patrzeć, jak szli na bagnety z nogi, śpiewając swoje ulubione: „Nie zeszło słońce, nie wstały ptaszęta”.

Pierwszą ich kompanję prowadził Zaremba, drugą nie pamiętam kto. Za żuawami ruszyli strzelcy.

Wszystko to doszło mniej więcej do połowy drogi krokiem; czerwona łuna pożaru odbijała się w płaskich bagnetach krwawem światłem, a noc była bardzo ciemna. Przeszedłszy tak część drogi, huknęli: „Na Kujawach powiadają”, i pobiegli kłusem.

Naprzeciwko nas rozległ się trzask gęstego karabinowego ognia; widziałem, jak kilkunastu żuawów pochyliło się silnie naprzód i, wypuściwszy karabiny, upadli na nie na ziemię, a wtem, biegnący niedaleko Zaremba, z uśmiechem jakby na bal, okręcił się na pięcie i padł na ziemię.

Ja biegłem za nim, nie dalej, jak o kroków 50;

kiedy jednak dobiegłem do niego, już leżał naruchomy. Dostał kulą w same piersi.

Wydobywszy z kieszeni szarpie, nałożyłem je na ranę i zapiąłem mundur, on oczy miał otwarte...

Następnie ruszyłem za innymi. Wieś była już zdobyta i nieprzyjaciół cofał się pod morderczym ogniem żuawów i strzelców, którzy ich wkrótce ze wsi wyparli. Tem łatwiej to poszło, że pozostała z prawej strony wsi druga kompanja i piechota Gromeyki uderzyła na nich jednocześnie z boku.

Ja wciąż biegłem za innymi, szukając okazji do wystrzelenia swego rewolweru, który już dawno był nabity, ale przed sobą ciągle miałem naszych; nareszcie w jakiejś uliczce zobaczyłem kilkunastu żołnierzy, wypaliłem więc wszystkie sześć strzałów, ale że było daleko, a przytem gorąco od palącej się w pobliżu stodoły, wątpię, czy trafiłem.

Zawróciłem więc do swoich, ale dwa razy musiałem kołować, bo mi drogę zagraadzał ogień. Wydostawszy się jakoś z onego pożaru, dotarłem do swego konia i ruszyłem z wolną prawą stroną wsi, która się jeszcze nie paliła, ku dworowi.

Wtem rozległo się gromkie uraa! i choć było dość daleko, usłyszałem wyraźnie znany tętent szarżującej kawalerji, potem gęsty trzask karabinowych wystrzałów, krzyki, a po chwili z tyłu za mną głuchy tętent biegnących całym pędem kilku koni.

Zrobiło mi się dość głupio na sercu: rewolwer wystrzelony! niema co, dobywam szabli i zjeżdżam z drogi nabok. Akurat między stodołą a opłotkiem

zmieściłem się jakoś i, ściągawszy ostro konia, żeby nie parsknął, czekam.

W tej chwili drogą jak wichur przelatuje przede mną kilka ogromnych skarogniadych dragońskich koni bez jeźdźców. Wyjeżdżam więc na drogę i ruszam za nimi; uciec mi nie mogły, bo o kilkadziesiąt kroków dalej sterczała jakaś zamknięta brama od parkanu, przecinającego wpoprzek drogę.

Tak się też stało: dobiegłszy do onej bramy, konie skłębili się, a gdy zeskoczywszy ze swego, podszedłem do nich — jako na dobrze wychowane konie dragońskie przystało, dały się powodami sfasować i najspokojniej prowadzić.

Było ich ośm, szkapy jak słonie, utrzymane doskonale, wszystkie w ciele, okulbaczone w ciężkie dragońskie kulbaki, wspaniale wyglądały. Zwróciwszy tedy nazad, prowadzę konie z sobą, a po chwili spotykam dwóch naszych kawalerzystów; ci, widząc owe pyszne wierzchowce, stanęli.

Zacząłem więc wołać: — swój! swój! — bojąc się, żeby który pociemku nie wygarnął do mnie.

Jakoż dobrzem zrobił, bo jak mi potem powiedzieli, już się do karabinów brali. Opowiedziałem im wtedy, że m sześciu dragonów zwałił z koni, a dwóch zarąbał, reszta zaś uciekła.

Ci napotkani byli to kozacy Czajkowskiego, z tego gatunku, co to od 1848 roku w dziesięciu wojnach się bili; więc okropnie im się to podobało i śmiali się do rozpuku, udając, że to biorą na serjo.

Jeden z nich, dobywszy swojej szabli, podał mi ją

i prosił, żebym mu pokazał, jak to urządziłem, a szablisko miał jakieś okrutnie ciężkie.

Złożyłem się jednak jako tako, zrobiłem kilka cięć: krzyż, tercję, kwartę i t. d., czem ich jeszcze więcej zająłem.

— Ot, kolego, to to tak, takiego nie zaczepiaj; taki jak wyrośnie, to będzie żołnierz co się zowie! — zawołali.

Opowiadali mi potem, że już piechota była wyparta ze wsi, kiedy ten kiepski warjat, który oddziałem nieprzyjacielskim dowodził, rzucił do pałacej się wsi, obsadzonej zwycięską piechotą, dwa szwadrony dragonów. Murdeljo kazał się piechocie rozstąpić, obsadzić pozostałe niepalące się stodoły i chaty, i tak czekać. Dragoni wpadli jak wichher, przelecieli przez puste ulice i oparli się aż o ogień palących się zabudowań i wystawionej naprędce a także pałacej się barykady, zrobionej z krokiew, snopów, kawałów dachu, płotów i t. d. Wtedy Murdeljo zakomenderował: — pal; — Dragoni skłębili się pod ogniem strzelców i żuawów i runęli nazad, z dwóch stron przeprowadzani ogniem strzelców, ukrytych w chatach i za opłotkami. Ludzi i koni całe stopy zostały we wsi, trochę dostało się do niewoli, a ledwie trzecia część uciekła.

Chwalili bardzo dragonów, ale słów potępienia nie umieli dobrać dla tego dowódcy, co ich tam posłał. Żalując po koleżeńsku dragonów, którzy tak bezcelowo zginęli, klęli owego komenderującego wszystkimi językami, więc i po turecku, i po węgiersku, i po grecku, i po włosku.

Tymczasem nadjechało kilku kawalerzystów, którym oddaliśmy konie, a ja ruszyłem kłusem, żeby się dostać do furgonów.

Po drodze przejeżdżałem przez pole bitwy: wyglądało strasznie w czerwonym świetle pożaru, pełne trupów ludzkich i końskich. Nieco dalej wszyscy nasi ludzie, złożyłwszy w kozły broń, gasili pożar, kawalerja zaś, z wyjątkiem pikiet, poszła wślad za nieprzyjacielem, którego przeprowadziła i przepędziła aż do Radomia za rogatki.

Nieprzyjaciel był tak zdetonowany, że zrzadka tylko się odstrzeliwał, tak, że nasza kawalerja, wpadłszy za nimi do miasta, dając salwy, częścią zeskoczyła z koni i, dopadłszy do jakiejś restauracji, nabrała stamtąd wina, wódki i wogóle wszystkiego, co było gotowe do zjedzenia i wypicia, a pan restaurator pieniędzy za to nie chciał przyjąć.

W powrocie jeszcze zabrała kilkunastu maruderów, których z bronią i ładunkami przypędziła do obozu. U nas odebrano im broń i ładunki, dano po szklance wódki i puszczono wolno do domu; kilku jednak, namówionych przez Gromeykę dragonów, zostało dobrowolnie: „posłużył' polskomu carju”.

Ten atak kawalerji na Radom był czynem brawury, albowiem w mieście było kilka tysięcy piechoty, dwa pułki dragonów i baterja artylerji, oprócz kozaków; ale był też doskonałą odpowiedzią na raport generała Bellegarda, że w Radomskim powstanie stłumione i zostały tylko niedobitki, które w krótkim czasie będą wyłowione.

Ot, masz i niedobitki! Zapewne też licząc, że z temi niedobitkami będzie robota, wysłał na nas tylko pięć rot piechoty (około 800 ludzi) i dwa szwadrony kawalerji (około 300); armat zaś zupełnie nie wysłał, nie chcąc sam sobie ich używaniem kłamstwa zadawać. Bo jakże to? Powstańców niema, a tu armaty grają.

U nas po przecięciu pożaru sformowała się kompanja, rozwinięto sztandary, i dzielna wiara głośnemi wiatami witała majora i naczelnika.

Obraz był wspaniały. Przy łunie pożaru, z czarnemi od prochu twarzami, okopceni, oberwani, rozpaleni przepysznie wyglądali! — Niech żyje major! niech żyje naczelnik! niech żyje Polska, niech żyje wolność! — huczało jak grom.

Wreszcie cała partja jednym głosem zaśpiewała: „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Następnie, odmówiwszy wspólnie modlitwy za poległych, ruszyliśmy lekko, nie czując zmęczenia, w dalszą drogę, i, odszedłszy parę mil, w gęstych lasach, już w biały dzień zalegliśmy na odpoczynek.

Nazajutrz, dopiero po apelu, pokazało się, ilu naszych brakło. Samych żuawów trzecia część ubyła; z owej drugiej kompanji, co pierwszy impet wytrzymywała, została zaledwie połowa. Ale przedewszystkiem wszyscy okropnie żałowali Zaremby, będąc przekonani, że zginął. Tymczasem on, leczony starannie w jednym z sąsiednich dworów, mimo tak ciężkiej rany, wyleczył się zupełnie i dopiero w czterdziści dwa lata potem padł w Warszawie z ręki złoicy.

Razem naszych zabitych i rannych było około 200.

Nieraz słyszy się o okropnościach wielkich bitew. Zapewne, napozór takie bitewki, jak nasze, wyglądały w porównaniu z bitwami, gdzie walczą dziesiątki lub setki tysięcy, jak zabawka.

W rzeczywistości jednak, t. j. co do proporcjonalnej ilości strat i czasu stania walczących w niebezpieczeństwie, po stronie naszych małych utarczek jest stanowcza przewaga.

I rzeczywiście, w wielkich bitwach, zupełnie tak samo, jak i w małych, jeden jakiś oddział ściera się z drugim, a co się dzieje o dwadzieścia wiorst na prawo, albo na lewo — ostatecznie mało go obchodzi. Oprócz tego w wielkich bitwach dla jednego poszczególnego oddziału pobyt w niebezpieczeństwie pod kulami trwa stosunkowo krócej; jakiś jeden atak, lub obrona, a potem już *rozmowa* do innych oddziałów przechodzi.

A u nas bywało często, jak się zacznie od świtu, to ciągnie się do zmierzchu, a bywało na drugi i trzeci dzień kule gwizdzą od rana do wieczora, że i największemu amatorowi muzyka ta wkońcu się uprzykrzy, a ciągle ci sami muszą jej słuchać i stać w ogniu.

14. DALSZE LOSY — NOWA BITWA

Tak tedy na wspomnianiu o zabitych i rannych kolegach zeszło nam poodbiedzie, a na noc ruszyliśmy dalej, piechota na furmankach, a cała partja kłusem.

Na mnie akurat przypadł dyżur, bo w czasie bitwy kowalskiej był wolny dzień. Murdeljo mnie trochę zrazu ofuknął za to, że w czasie bitwy z konia zląkł i, zamiast furgonów pilnować, pobiegłem za ową atakującą kompanją (bo ten człowiek wszystko wiedział), ale dodał:

— Za to, żeś cały szwadron dragonów rozbił, to już pod karabiny nie pójdiesz, ale drugi raz głupstwa nie rób, i jeżeliś nie dyżurny, to pilnuj furgonów a nie biegaj bez karabina na bagnety.

Tak więc skończyło się na niczem. Pan major wybrał sobie z owych zdobycznych koni ogromnego oficerskiego dromadera, bo jak wszyscy ludzie niskiego wzrostu, miał słabość do wielkich koni, a że wyglądał na nim, jak pchła na wielbłądzie, więc zuawi zaczęli szeptać: „i na ogromnym smoku jeździć będziesz!” Stąd już smoka przydomek w partji otrzymał.

Tej nocy użyłem na wymijaniu podwód i furgonów, jadących kłusem, aż mi zbrzydło. Na drugi dzień rano, podrapany, poszarpany, gdy rozwidniało i stanęliśmy do napicia się wody, do Bożego stworzenia nie byłem podobny.

O jakże zazdrościłem wylegującej się wygodnie na wozach piechocie! Wymywszy się jako tako i poszczepiawszy porozrywane ubranie, stawiłem się z mapą; major roześmiał się i rzekł:

— Dobrze ci tak za to, żeś pod Kowalami z konia zsiadł!

Jednakże już mnie z dyżurów zwolnił i zajął się tem, żeby mi nowy mundur i ubranie przysposobić,

gdyż, zwłaszcza ineksprymable, w okropnym były stanie, tak, że moi koledzy — jako to naród złośliwy — pytali mnie:

— Co to, Stefek, czy ty na Wojtka imię zmieniłeś?...

A że to był wielki dyshonor dla pana adjutanta taki kostjum, a raczej brak kostjumu, więc mi zaraz nowy garnitur przynieśli, i jakichś dwóch, na rozkaz Murdeljona wynalezionych krawców, szybko zwężyło i skróciło go, odpowiednio do mojej figury.

Proszę sobie wystawić moją radość, gdy na epoletach, zamiast żółtego wełnianego sznurka, zobaczyłem złote galoniki! Oczom nie chciałem wierzyć! Ale niepewny, czy to czasem nie pomyłka, pytałem swoich krawców; odpowiedziano mi jednak, salutując (na serjo salutując): „Z rozkazu pana majora“.

Feldkornet! Jestem tedy feldkornetem, to jest prawie trzy czwarte oficera!

Nabrałem takiego uszanowania dla własnej osoby, że prawie sam sobie salutowałem. Do majora z podziękowaniem nie można było iść, nie będąc wezwanym, bo na to karność wojskowa nie pozwalała, więc tylko, gdy pierwszy raz przejeżdżał koło mnie, wyciągnąłem się „w strunkę“ i spojrzałem wymownie na niego; on jednak pokiwał tylko głową i pokazał palcem na epolety; była to niema wymówka za nieodpowiednie do szarży salutowanie.

Mniejsza o to, zrozumieliśmy się obaj doskonale.

Porozpisywałem listy, najprzód do matki, potem do znajomych i t. d., oznajmiając *urbi et orbi* tę radosną nowinę.

Nazajutrz ruszyliśmy tedy dalej, kręcąc się lasami, to nocnymi marszami kołując tak, żeby z jednej strony pokazać się w miasteczkach i alarmować tam, gdzie się nas nie spodziewano, a z drugiej — bitwy unikać. Przytem stwarzaliśmy coraz to nowe nazwiska dla partji, tak, że wkońcu nieprzyjaciel ostatecznie stracił rachunek. Tak niedawno „powstanie stłumione“, a tu tymczasem pokazuje się cała masa rozmaitych partyj w rozmaitych miejscach, doskonale uzbrojonych, umundurowanych, złożonych z regularnego, wyćwiczonego wojska, tak piechoty jak i kawalerji, a nawet po części i artylerji.

To wyćwiczenie i regularność osiągnęliśmy zapomocą maszerowania „z nogi“, którego używaliśmy przy każdym wejściu do wsi lub do miasteczka; rolę zaś artylerji odgrywała nasza wiwatówka, do której w tym celu zaprzęgało się triumfalnie sześć koni z owych dragońskich zdobycznych, lufę zaś okrywało się płótnem w taki sposób, by nikt nie mógł zobaczyć. Zaraz za nią szły furgony z ładunkami, normalnie po cztery konie w lejc zaprzężone, a straż nikogo blisko nie dopuszczała pod pretekstem, że to są nowe, przez Napoleona sekretnie przysłane armaty, nowego, nikomu nieznanego systemu.

W innych razach, wiwatówka jak niepyszna szła na wóz pod słomę, ku wielkiej zgrozie swego artylerzysty, i partja występowała jako zupełnie inna, bez artylerji działająca.

Tak tedy włóczyliśmy się w zygzaki i półkola po całym Radomskiem, manifestując wszędzie obecność

potężnych sił zbrojnych narodowych, ale i nieprzyjaciel zaczął ku nam z różnych stron ściągać. Wywijaliśmy się lasami, a szczególnie przejeżdżaniem znacznych przestrzeni na podwodach kłusem, pokazując się w miasteczkach to tu, to tam pieszo, kiedy furmanki w sąsiednich lasach oczekiwały.

W jednym z przemarszów oryginalna spotkała mnie przygoda. Na nocleg stanęliśmy około wsi, jak się później dowiedziałem, Osy, a że dzień był wolny od dyżuru, więc poszedłem spać z żuawami, których postawiono na cmentarzu z poleceniem wytrzymania pierwszego ataku w razie nadciągnięcia nieprzyjaciela.

Gawędziliśmy sobie z jednym z moich kolegów, galopin-adjutantów, i kilkoma żuawami, a potem wyciągnęliśmy się spać pod jakimś dużym nagrobkiem, układając sobie, że w razie ataku doskonale będzie z poza owych kamieni ostrzeliwać nieprzyjaciół. I z tem zasnęliśmy.

Rano budzę się i widzę na owym nagrobku napisane moje nazwisko, to samo i na drugim, i na trzecim. Okazało się, że nic o tem nie wiedząc, spędziłem noc między grobami ś. p. mego ojca, dziada i stryjów. Przyszło mi zaraz na myśl, coby to było, gdyby w istocie nastąpiła bitwa i gdybym w tem samym miejscu zginął.

Jednakże do bitwy nie przyszło i ruszyliśmy dalej. Ciągłe kołując, nadciągnęliśmy koło miasteczek Przytyka i Wiru do niewielkiego lasu; już nieprzyjaciel z kilku stron do nas się przybliżał, tak, że czasami z wiatrem dolatywał nas zapach dziegciu i kapusty.

Na noc właśnie nastąpił mój dyżur. W lesie tym staliśmy ledwie parę godzin, gdy otaczający nas gęsto flankierzy dali znać, że nieprzyjaciel z przodu.

Widocznie Murdeljo postanowił atakować, gdyż wysłał żuawów i część strzelców na lewe skrzydło, piechotę Gromeyki na prawe i ruszył z lasu.

Ja zostałem z naczelnikiem w lesie, gdy jednak wkrótce rozległy się strzały, ruszyliśmy na lewe skrzydło, skąd przypatrywaliśmy się początkowi bitwy.

Widok był wspaniały. Akurat przy wschodzącym słońcu widzieliśmy, jak na dłoni, łańcuch rozstawionych po dwóch żuawów, posuwających się naprzód na zmianę równo i regularnie. Naprzeciwko nich masa czarnych punktów, przed którymi wykwiwały co chwila jakby kłębki białej waty, a między naszymi tyraljerami na swym ogromnym koniu uwijał się Murdeljo.

— Ależ atakują, jak stara gwardja! — mruknął Gryglaszewski — jak na paradzie, tak regularnie.

Inni ze sztabu bili brawo. Tymczasem w jakiejś kępce krzaków na lewo, będącej znacznie dalej, niż tyraljerzy nieprzyjacielscy, coś zadymiło i prawie jednocześnie rozległy się jeden za drugim dwa potężne wystrzały, potem wkrótce znowu dwa, ale z innym odgłosem, niż te, które już słyszałem.

W tej chwili między nami a stojącą poza tyraljerami rezerwą ziemia silnie zakurzyła się i rozległ się huk pękających granatów.

Zauważyliśmy wszyscy, że nietylko huk wystrzałów, ale i świst lecących granatów był zupełnie inny, niż dawniejsze. Zaraz tedy zaczęto mówić, że to są pewno

gwintowane armaty, gdyż z gładkich granaty takby daleko nie doleciały.

Stwierdziła to potem rezerwa, której się kazano cofać do lasu, a która przyniosła z sobą kilka odłamków i jeden nawet cały, nie pęknięty granat. Był on znacznie mniejszego kalibru, kształtu głowy cukru; cylindryczna część miała cztery wcięcia, wypełnione mosiądzem, tak, że wieńce mosiężne wystawały nieco ponad żelazo. Znać było doskonale na nich wgłębienia od gwintów armaty, zupełnie takie, jak na znajdujących przez nas kulach karabinowych.

Na szpicu był przyrząd do zapalania, ale nie od lontu, jak w dawnych, okrągłych granatach, lecz od uderzenia. Przyrząd ten jednak niezawsze działał dobrze, gdyż dużo granatów nie pękało.

Ale wracam do opowiadania. Owe punkciki, które już były prawie znikły na skraju horyzontu, ustępując przed naszymi zuawami, zaczęły się znowu zbliżać ku nam. Niebawem wyłoniła się cała czarna linja, z której zaczął się sypać ogień już nie pojedynczymi strzałami, ale po kilka i kilkanaście naraz, zupełnie, jakby kto łańcuch z żelaznego walca rozwijał.

Nasze łańcuchy tyraljerów zaczęły się cofać ku nam, ale równo i wolno, jak na paradzie, tylko, że raz po raz jakaś para zamieniała się w jedynekę, a często znikła zupełnie.

Nasz sztab patrzył, aż mu oczy wyłaziły, i bił brawo, jak szalony. Ćwiek chciał posyłać pomoc, ale mu słusznie powiedziano, że trzeba czekać, aż Murdeljo

posiłków zażąda, posłał więc tylko kilkunastu ludzi na ochotnika z noszami dla rannych.

Armaty wciąż grały i granaty wyły nad naszymi głowami, czyniąc ogromne spustoszenia w wierzchołkach drzew, niekiedy pękały w górze, uderzywszy o jakąś grubszą gałąź.

— Ot, byłaby naganka! — powiedział któryś z byłych kozaków Czajkowskiego i w tej chwili między nami smyrnął szarak i rwał, jak szalony, w pole.

Nie wytrzymali nasi myśliwi i ku okropnej zgrozie oficerów puszczono za nim kilka strzałów. Ale, że Murdeljona nie było, więc im to jakoś uszło na sucho, szarak zaś szczęśliwie umknął.

Wkrótce potem przyleciał kawalerzysta od majora i coś powiedział naczelnikowi, a ten, pokazując szablą na ucierającą się na prawem skrzydle piechotę Gromeyki i Rudowskiego, rzekł do mnie:

— Stefek, ruszaj do Gromeyki i Rudowskiego i powiedz im, żeby się cofali i ściągali ku nam, *et dites, que la bataille est perdue* (i powiedz, że bitwa przegrana).

Rudowski i Gromeyko nie tracili czasu, piechota ich bowiem, doskonale wyrobiona, nie ustępowała naszym żuawom; w odstępach, gdy armaty i tyraljerka u nas trochę przycichała, słychać było doskonale z ich strony gęsty trzask ognia karabinowego, jakby kto groch na ścianę sypał.

Ruszam tedy z Bożą pomocą tęgim galopem na sztych przez pole; od czasu do czasu, to po jednej, to po dwie grają kule koło mnie, przede mną pykają

kłębki kurzu, a ja sobie myślę: — „kot się wymknał, choć po linji w niego ztyłu palili, a ja przecie mam strzały zboku, no i sto razy dalej, nie będzie mi nic!“

Nareszcie mijam jakieś krzaki i wpadam na kolumnę Gromeyki, która już sama ku nam ściągając zaczynała, a musiało im być dobrze gorąco, bo rozmowę na kule prowadzili zbliska, skoro jeszcze zdaleka słyszałem parę razy głośny huk naszej wiwatówki, która, nabijana siekańcami, tylko na bliski dystans mogła być użyta.

Wpadam tedy między oną piechotę i pytam o naczelnika; tymczasem nikt mi nie odpowiada, a wystrzały huczą i huczą, przed sobą widzę doskonale o kilka kroków szare szynele rosyjskie. Robi się formalna kasza, choć zupełnie niepodobna do tego, co zwykle malują i rysują. Chcę się wycofać, ale krzaki gęste, ludzie też ze wszystkich stron częstują się wzajemnie, ugaszczając czem kto może i jak może, na wybór.

Wybieram jakąś lukę i prę się tamtędy, mając dobytą szablę w ręku, lecz, niestety, rewolwer bez nałożonych pistonów, choć nabity na wszystkie sześć strzałów.

Z krzaka, do którego się moja szkapa jakoś wpakowała, widzę, że niebieski bagniet widocznie w złych zamiarach ku mojemu prawemu bokowi między gałęziami się kieruje, chcę go odbić i przy okazji ciąć jakiś łeb w kepi z czerwonym lampasem, który zaraz za bagnetem widzę.

Jednakże ja chcę inaczej, a on znowu inaczej, gdyż

w chwili, gdym już pałasz na ten łeb spuszczał, poczułem w samym przegubie prawej ręki silny ból; pałasz wyleciał mi z ręki, a ręka zdrętwiała.

Schwyciwszy lewą ręką kulbakę, dałem ostrogę koniowi, a ten przesadził przez krzak, gdzie stał mój przeciwnik, który także widocznie coś oberwał, ale czy ode mnie, czy od kogo innego, tego nie wiem. Spostrzegłem tylko, że padał na ziemię, kiedy mój koń przez niego szczupakiem przeskoczył i szalonym pędem poniósł mnie nazad, nie kierowany zupełnie.

Cała ta rozprawa nie trwała pół minuty. Gdyby nie te przekłete pistony, które mi przed samą bitwą gdzieś z ładowniczką się wysypały, byłaby i łapa cała i byłbym nałuszczył nieprzyjaciół na wybór! Ale stało się.

Rwę tedy, nachyliwszy się, tam, gdzie się panu koniowi chce, a ten pocziwy wprost mnie przynosi do lasu, do tego miejsca, gdzie stał Iwan (jeden z tych ujętych pod Kowalami dragonów, co się do nas dobrowolnie przyłączyli) z dwoma zapasowemi końmi naczelnika i majora.

Pocziwe człeczysko bardzo mnie lubił, a ja jego. Zaczął tedy głową kręcić nad moją ręką, z której krew lała się porządnie, nareszcie obwinał jako tako chustką od nosa, potem zapasowym rzemieniem od trzeczki, i tak ruszyliśmy ku punktowi opatrunkowemu, wśród ciągłego huku i gwizdu pękających granatów, których Iwan specjalnie nie lubił:

— *Isz ty, proklataja, kak wojet, etakaja kak czelowieka rwaniet, sowsiem izorudujet.*

Dziwna bowiem, że ten sam Iwan, który pod naj-
tęższym gradem kul karabinowych stał sobie spokojnie,
pykając fajeczkę, okropnie się bał granatów, z których
myśmy sobie znów nic nie robili, wiedząc z praktyki,
jak one, napozór groźne, w gruncie rzeczy najczęściej
pękały gdzieś daleko za nami.

Dowleliśmy się jakoś do owego miejsca opatrun-
kowego, gdzie zastaliśmy już dwóch doktorów przy
robocie i mnóstwo rannych. Dwaj bracia Sroczyńscy
byli ranni, podszedł do nich jakiś znajomy i o coś
zapytał; pamiętam doskonale, jak Broniek odpowied-
dział mu smutnym, przeciągłym głosem:

— *Ich einmal, und mein Bruder zweimal!*

Obu ich żalowali wszyscy, gdyż bardzo dzielnie się
bili. Opodal, podtrzymywany przez dwóch ludzi, sie-
dział dzielny kapitan Makarski z przestrzeloną nawy-
lot szyją i t. d. Mnie tymczasem owa obandażowana
po dragońsku rzemieniem ręka bolała coraz bardziej,
nareszcie przyszła kolej i na mnie, doktor rozciął ów
rzemień, obmył rękę jakąś niebardzo czystą wodą, ob-
winął szarpiami, obandażował, a po opatrunku wsie-
dliśmy na wozy, które też zaraz w różne strony roz-
jeżdżały się.

Mnie z dwoma kolegami odwieziono do jakiejś
leśniczówki, gdzie nam było bardzo dobrze. Po dro-
dze długo jeszcze słyszeliśmy huk armat i ręcznej bro-
ni. Potem dopiero, po powrocie do partji, dowiedzia-
łem się, że na cofającą się kolumnę Gromeyki, która
jakoś szczęśliwie odparła ów atak piechoty, napadli
jeszcze dragoni, ale że się z nimi doskonale sprawili,

jak mówiono, dzięki owym szerokim bagnetom, któremi i kłuć, i rąbać jak kosą można było.

Stracili jednak ową wiwatówkę, artylerzysta bowiem nabił ją podwójnym ładunkiem, nasypawszy prochu i siekańców coniemiarą, żeby do nadbiegających dragonów wygarnąć. Efekt podobno był duży, gdyż ich dużo napsuł, a zwłaszcza koni nastraszył, tak, że lukę między nimi zrobił, ale wiwatówka pękła i on sam zginął.

Mówiono także, że ta piechota, co atakowała Gromeykę, była to owa słynna piąta rota smoleńskiego pułku, która się tyle razy odznaczała i ochotą do bagnetów, i wytrwałością w tyraljerce.

Na drugi dzień dopiero udało się połączyć Gromeyce z resztą partji. Wogóle bitwa ta była przegrana, byliśmy pobici, ale tak dalece nie rozbici, żeśmy nawet furgonów nie stracili i już w pełnym porządku przez sąsiedni Przytyk przedefilowali.

Na owej leśniczówce opatrywano nas starannie, codzień przyjeżdżały jakieś panie powozem w cztery gniade, bardzo ładne konie zaprzężonym, i z doktorem, który nas opatrywał, a potem jechał do innych rannych, których było pełno w całej okolicy.

Na trzeci dzień, a raczej noc, ręka mnie okrutnie bolała, tak, że całą noc spać nie mogłem, ale potem poprawiło się to piorunem. Wkrótce po lesie łązic zacząłem z drugim kolegą, który także po rękę trochę oberwał, a że las był śliczny, więcęśmy tam po całych dniach przesiadywali.

Niedługo potem nasza partja, kołując w dalszym ciągu, zaczęła i o nas. I naraz, rano zbudził mnie szcęk ostróg i pałasza, i do pokoju wbiegł jeden z moich kolegów, galopin-adjutantów.

O serdeczności powitania niema co i mówić. Pocziwy Staś opowiadał mi cały przebieg bitwy, którą, nie będąc dyżurnym, doskonale widział i rozumiał.

Otóż bitwa, która się szczęśliwie zaczęła z jednym oddziałem nieprzyjacielskim, skończyła się nieudatnie z powodu niespodziewanego nadciągnięcia drugiego oddziału. Jednak pomimo tak znacznej przewagi nieprzyjaciela, wycofaliśmy się w porządku, a choć ponieśliśmy poważne straty, ale i nieprzyjaciel tak porządnie oberwał, że nie ścigał nas wcale, lecz wrócił sobie nazad.

Najsmutniejszą jednak nowiną było zranienie Murdeljona. Prowadząc, według swego zwyczaju, łańcuch cofających się tyraljerów, właśnie kiedy poprawiał wizjer u karabina jakiegoś strzelca, dostał kulą w rękę. Komenda przeszła na rodzaj rady: z Cwieka, Rudowskiego, Gromeyki, Antoszewicza i Gryglaszewskiego złożonej, a po przejściu w Lubelskie komendę objął Kozłowski.

Przy rozstaniu zrobiło się nam pozostającym tak jakoś na sercu głupio i tęskno, żeśmy postanowili z owym lekko ciętym po rękę strzelcem, partję, która tuż obozowała, odwiedzić. Spotkawszy się z kolegami i zobaczywszy tak dobrze znane karabiny w kozłach, porozpalane ognie i t. d., dobrałem się do furgonów,

wlażłem sobie na jeden z nich i wkrótce usłyszałem tak dobrze znaną pobudkę na wymarsz.

Rękę miałem na temblaku, a że przemywań i przewiązywań już i tak od dwóch dni mi nie robiono, więc przyschło, jak na psie, i dobrzel!

Jakoś bo w owych czasach ciało mieli ludzie zdrowsze niż teraz, i mimo bardzo pierwotnych opatrunków, rany się prawie w oczach goiły, tak dalece, że po kilku dniach na furgonie spędzonych, gdzie nawet przyjechał do mnie sam naczelnik, już siedziałem na koniu; tylko od dyżurów byłem wolny.

Mój poczciwy koń gdzieś się zapodział, dano mi tedy tymczasem jakąś ogromną dragońską szkapę, ciężką i niezwrotną, a przytem tak okropnie trzęsącą w klusie, że inaczej nie jeździł, tylko stępa, albo galopa. Miał zato tę zaletę, że przywiązany do furgonu, szedł spokojnie ztyłu, nie szarpiąc się i nie rwąc, jak to inne konie nieraz czyniły.

Z mojej ślicznej szabelki została tylko pochwa, dano mi tedy ogromną szablę dragońską z przymocowanym do niej grubym futerałem z bagnetem, którą się nosiło nie u pasa, jak nasze szable, ale wysoko podciągniętą u boku wygięciem do góry, jak to się i obecnie praktykuje w armji rosyjskiej; sposób ten ma wiele zalet praktycznych, bo broń nie tak cięży, mniej brzęczy i w marszu nie przeszkadza. Bagnet jednak zaraz z futerału wyciągnąłem i oddałem, żeby mi nadaremnie nie ciążył.

W owym czasie dragoni rosyjscy była to właściwie konna piechota, mieli bowiem, oprócz szabel, karabiny

z bagnetami. Do bitwy stawali często na piechotę, przyczem kilku zsiadało z koni i ruszało z karabinami, a zdaje się, co piąty, czy co dziesiąty trzymał konie.

Przybrany w owe dragońskie łupy, za ciężkie, za wielkie i za niezgrabne dla mnie, ruszyłem z partją dalej. Po zamanifestowaniu naszych sił zbrojnych w Radomskiem, otrzymaliśmy nowy rozkaz, powrotu w Lubelskie. Za nami ztyłu ciągnął nieprzyjaciel.

Już o kilkanaście wiorst od Puław zaczęły się drobne utarczki, głównie z dragonami, którzy jednak nie zdołali nas od Wisły odciąć. Pod samemi Puławami dragoni nas dopadli i wraz z wielką ilością piechoty usiłowali zatrzymać, ale nasi dragoni Gromeyki i reszta kawalerji gwałtownem natarciem odsadzili ich od furgonów, na które głównie nacierali, niby kota od mleka, dawszy im takie: „a zasię“, że się cofnęli spory kawał drogi.

W tej potyczce padło naszych sporo; szczególnie żał było wszystkim huzara austriackiego Cybulki, który ciężko ranny, o mało się do niewoli nie dostał.

Wskutek tego dzielnego odparcia kawalerja rosyjska, trzymana w szachu przez naszą, gryząc palce ze złości, musiała się przez parę godzin przypatrywać, jak cała partja w największym porządku przeprowiała się przez Wisłę, tak, że nawet ani jeden furgon nie został, a ostatnie szeregi kawalerji, wsiadłszy na pozostawione dla nich promy, trzymając konie, płynące w wodzie za cugle, tak się szczęśliwie przeprowiły,

odstrzeliwując się z owych promów, że tylko kilku ludzi stracili, bo piechota nasza rozsypała się momentalnie na drugim brzegu i stamtąd celnym ogniem, mimo oddalonej mety, przez Wisłę raziła następujących dragonów i piechotę.

Ta przeprawa przez Wisłę pod ogniem nieprzyjaciela, co się nawet staremu, wyćwiczonemu żołnierzowi niezawsze szczęśliwie udaje, wyrobiła nam sławę nietylko u nas, ale i u nieprzyjaciół, którzy mówili, że jesteśmy „mołodcy”.

W czasie tej bitwy byłem w okolicznościach, które mi się nawet stary, wytrawny żołnierz poszczycić rzadko może. Albowiem bić się w polu, w lesie, w fortecy i t. d., to się każdemu żołnierzowi łatwo zdarzyć może, ale bić się w towarzystwie panien, pijąc kawę i jedząc ciastka, to się rzadko zdarza.

W owych czasach nad samą Wisłą stał ogromny magazyn solny, w którym były i mieszkania prywatne. Wpadli tam zaraz po przeprowadzeniu się przez Wisłę żuawi i ja z nimi, zabrawszy ładunki i karabin od jednego rannego. Przyjęto nas nader gościnnie i uczęstowano doskonałą kawą z ciastkami; pijąc ją i prowadząc rozmowę z paniami, paliliśmy przez okna do nieprzyjaciela z drugiej strony stojącego, a oni do nas. Taka rozmowa przy wizjerach, na 1.200 kroków ustawionych, trwała kilka godzin, aż do nocy.

Na ugaszczające panie, puławianki, huk karabinów i dym prochu nietylko nie robił żadnego przykrego wrażenia, ale owszem, jakby dodawał wesołości. Tłumaczyliśmy paniom znaczenie wizjerów, elewację,

trajektorję polotu kul, sypały się żarciki, wogóle było nader wesoło i przyjemnie.

Starano się tylko unikać stawania naprzeciwko otworów okien, ale żadna kula nie była o tyle niegrzeczna, żeby wpaść do pokoiku, choć w zewnętrzną ścianę uderzały od czasu do czasu, albo też z przeciągłym świstem szły gdzieś górą, albo warcząc, rykoszetowały po dachach i kominach.

Cała ta bojowa muzyka dodawała tylko pewnego uroku niebezpieczeństwa do rozmowy.

Ciekawym bardzo, czy też żyje jeszcze która z tych nadobnych puławianek, bo jeżeli żyje, to z pewnością tę pogawędkę pamięta.

My odstrzeliliśmy się zrzadka, kazano bowiem oszczędzać ładunków, a strzelać tylko o tyle, ażeby nieprzyjaciela, ukrytego za wałem, po drugiej stronie Wisły leżącym, w powinnej grzeczności utrzymać i nie dać mu się zanadto po brzegu rzeki panoszyć.

Jak tylko więc jeden, lub kilku z za wału wyszło i ku brzegowi się zbliżali, wnet słuszną admonicję z kilku lub kilkunastu sztucerów dostawali, co na nich taki wpływ wywierało, że jak sarny nazad do legowiska wracali, choć rzadko który co oberwał.

Lecz z ich strony prochu nie żałowano, i bodaj czy to nie o tej potyczce był zdany ów historyczny raport: „*smotria po czysłu wypuszczennych patronow, potiiery miatieźnikow dołżny być wieśma značytielny*“.

Ja jednak cały ten czas strzelać nie mogłem, bo po pierwszych paru wystrzałach zaczęła mię ręka boleć.

Jak tylko ściemniało, rozległy się trąbki na wymarsz, więc pożegnawszy się serdecznie z naszymi paniami, ruszyliśmy w drogę. Jużeśmy się wysunęli z miasta, kiedy patrząc: zapomniałem rewolweru! — Więc w lewo wtył i nazad, zabieram swój rewolwer i wracam; akurat mijam arjergardę, kiedy mój wierzchowiec zaczyna się jakoś stawiać, zaledwie z niego zeskoczyłem, upadł.

Zauważyłem wprawdzie jakieś głucho palnięcie i drgnięcie biednej szkapy, ale że strzałów ani świstu kuli wśród turkotu jadących klusem kilkunastu wozów nie słyszałem, więc w pierwszej chwili zgłupiałem!

Dopiero krew z boku konia obficie się lejąca dowiodła, że to jakaś błędna kula taką mi krzywdę wyrządziła. Żal mi się zrobiło okropnie biednej szkapy, bo mam już taką naturę, że się do ludzi i zwierząt przywiązuję, czego potem nieraz gorzko żałować przychodzi. Ale na wojnie niema rady.

Rozkulbaczywszy biednego „dragona”, odciągnęliśmy go w kilkunastu ludzi nabok, a że niektórzy mówili, iż się z tego może jeszcze wylizać, więc go jako tako opatrzyłem i już piechotą za partją ruszyłem, a dobrawszy się do swego furgonu, z rozpaczą zasnąłem tak, iż już dobrze słońce przypiekało, kiedy się zbudziłem.

Ręka mnie znowu zaczęła trochę boleć, jechałem tedy na owym furgonie i w dzień i w nocy, bo mi doktor kazał wziąć rękę na temblak i czas jakiś nic nią nie robić. Dano mi tymczasem jakąś dość podłą szkapę, na którą siadać niewielka ochota mnie brała,

dopiero później dostałem od pana Seweryna Moraczewskiego ślicznego, zgrabnego konika, ubranego we wstążki i kwiaty, lekkiego i zwrotnego, na którym już do końca kampanji jeździłem.

15. ZNOWU W LUBELSKIM — KOZACY CZAJKOWSKIEGO — ICH DZIELNOŚĆ — PRZYBYCIE BRATA

Z pod Puław tedy, kołując i klucząc, ruszyliśmy w Lubelskie. Przez cały ten czas dość długich i jednostajnych marszów nie zaszło nic nadzwyczajnego, szliśmy sobie drogami, karmiono nas doskonale, tylko zauważyłem, że między ochotnikami coraz więcej zaczęło do nas przybywać zamożnej szlachty na dzielnych koniach, doskonale uzbrojonych i w ogniu wybornie stawających.

Zwykle szli pod komendą Antoszewicza i Grygłaszewskiego. Byli to oficerowie, t. zw. kozacy Czajkowskiego, którzy na czele kilkunastu ludzi z Turcji przez Rumunję, Galicję konno, zbrojno, w swoich malowniczych mundurach do powstania się przetrzęli.

Dziś byłoby to niepodobieństwem, ale myślę, że i w owych czasach, mimo niezmiernie małej ilości kolei i telegrafów, niełatwą to było rzeczą! Trzeba było takich ludzi jak oni, żeby tę imprezę wykonać.

Ale bo to i byli żołnierze, jakich już nie ma i chyba nie będzie! Gdzie oni nie byli? Za kogo nie walczyli? Prawdziwi rycerze wolności, a pokłuci, porąbani, postrzelani jak rzeszoto, a mający niesłychaną praktykę

żołnierską, umiejący sobie radzić w każdym położeniu i okoliczności!

Pamiętam raz, kiedy przyjechała do nas żona naczelnika, pani Cieszkowska, a ziemia była wilgotna po deszczu, w oka mgnieniu urządzili, z karabinów, postawionych w kozły, cztery jakby słupy, rozparli je położonymi wpoprzek karabinami i w tych ramach z powiązanych żołnierskich płaszczy urządzili wygodny hamak.

Nauczyli mnie także jak otwierać najcięższe drzwi prędko i bez kłopotu: trzeba odstąpić parę kroków i puścić kulę ponad dziurkę od klucza, a drzwi się w jednej chwili otwierają. Jeżeli znów chce się podpalić dach słomiany, to wpycha się karabin cały w strzechę i obraca nim kilkakrotnie, trzymając za kolbę, potem cofa go się wtył do połowy i daje ognia, a dach w jednej chwili staje cały w płomieniach. Jeżeli zaś idzie o wykopanie studzienki, to się kilkanaście bagnetów zapuszcza jeden koło drugiego w ziemię wkrag, a potem wyrywa całą bryłę ziemi, następnie drugą, trzecią i t. d.

Takich różnych sposobów znali mnóstwo, wogóle z karabina i bagnetu umieli najrozmaitsze rzeczy robić, nie mówiąc już o pałaszach. Oni to także wprowadzili u nas w modę nazywanie wódki *szrubą*, a to od śruby, którą się manierki z wódką lub winem zakręcało. „Dawaj szruby!” znaczyło: „dawaj wódki!”

Pamiętam, jak raz na dzielnych koniach przyjechało do nas kilku młodych obywateli, a między nimi jeden garbaty, który pomimo tego doskonale na koniu siedział i, jak mówiono, świetnie się bił.

Bo jest coś takiego we krwi, że jak Polak narodowe znaki zobaczy i trąbkę usłyszy, to wszystkie rozumowania biorą w łeb i uczucie, zapał, swoje robią! Tak np. pewien obywatel z Lubelskiego, człowiek zamożny i poważny, a przytem, jak w owych czasach ogromna większość obywateli ziemskich, posiadający wyższe wykształcenie, wytlumaczywszy synowi bezcelowość i bezużyteczność powstania, wysłał go na kursa zagranicę, ale sam, pojechawszy obejrzyć partję, zaciągnął się w szeregi. A na drugi dzień, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, spotkał się ze swoim rodzonym synem, który niby pojechał na kursa. Powitanie było nader serdeczne i już potem obok siebie służyli.

Antoś Domaszewski z Domaszewnicy, bogaty jednak, psuty i pieśczoney przez matkę, która go do tego stopnia wydelikaciła, że nawet w lecie, po zachodzie słońca nie inaczej, jak w zamkniętej karecie, poobwijanego szalami, wozila, drżąc ze strachu, że się od rosy zaziębi, także uciekł do powstania i na początek wśród padającego śniegu przebył rzekę Wieprz wpływ wraz z całym oddziałem kawalerji, do którego się zaciągnął. I o dziwo! Temu rozdelikacjonemu paniczekowi, który dostawał kataru, jeśli w trzecim pokoju w lecie ktoś okno otworzył, ta kąpiel nietylko nic nie zaszkodziła, ale owszem, po kilku miesiącach pobytu w powstaniu, rozrósł się, zmężniał, nabrał doskonałej cery, słowem, zrobił się z niego chłopak jak dąb.

Podobna historia trafiła się i u nas, albowiem pewnego pięknego poranku, gdy już moja ręka zupeł-

nie wydobrzała i na dyżury stawałem, w wolny dzień wezwano mnie do naczelnika, gdzie zastałem mego drugiego starszego brata, będącego klerykiem w seminarjum. Wyszliśmy zaraz i po krótkim wstępie oświadczył mi bardzo uroczyście, że już dość dla mnie tego wojowania i że mam z nim zaraz wracać do domu. Rodzina moja bowiem, dowiedziawszy się o tem, gdzie jestem, i że otrzymałem znów ranę, wysłała go poto, aby mnie przywiózł; zakończył zwykłą oracją o młodości, nauce i t. d.

Wysłuchawszy z przynależną dla osoby duchownej pokorą, odpowiedziałem mu krótko, ale wyraźnie, że ja wracać ani myślę, ale że daleko będzie właściwiej, żeby on z nami został. Na to pocziwy Antoś odrazu się zgodził i przyznał rację, tem bardziej, gdym mu wytłumaczył, że on miał polecenie odszukać mnie i przywieźć, jako rannego, więc potrzebującego kuracji, skoro zaś jestem zdrów, *ergo* cel wycieczki chybiony.

Po paru godzinach mój pan brat, z karabinem w ręku i ładownicą, daleko się lepiej prezentował niż pierwej.

16. BITWA POD IRENĄ *) — ZASADZKA PRZY SZOSIE — ZWYCIĘSTWO — DZIELNE NIEWIASTY

Nareszcie przyszlismy nad granicę galicyjską, „ożywić tę okolicę”, a przedewszystkiem oczyścić ją z objeszczyków, którzy się na nowo przy granicy rozwieli-

*) Irena, wieś fabryczna na samej b. granicy.

możnili, przeszkadzali w dostawach broni i wogóle w komunikacji z Galicją.

Uwinęliśmy się z nimi szybko, rozpędziwszy ich na cztery wiatry i popaliwszy ich domy.

Przeważnie ucierała się z nimi kawalerja, choć w niektórych punktach i piechota, jeżeli ich było więcej. Tam to znalazły bezpośrednie zastosowanie rozmaite sposoby kozaków Czajkowskiego.

Ciągnąc nad samą granicą, natknęliśmy się na wysłany naprzeciw nas oddział. Szedł jakoś z dziwnym lekceważeniem a zaufaniem w swą siłę. Aczkolwiek bowiem był poprzedzony przez silną kawaleryjską awangardę, ale nie miał flankierów, ani rekonesansu, i maszerował sobie kolumną po szosie, jakby nigdy nic!

Rozstawiono tedy naszą piechotę z obu stron owej szosy i oczekiwaliśmy w cichości. Byłem właśnie dyżurnym. Posłano mnie zatrzymać furgony i wydać rozkaz kawalerji sformowania się ztyłu, aby zsiadłszy z koni, trzymali je krótko przy pysku, pilnując, żeby nie parskąły, ani zarżały.

Wracając właśnie po wydaniu owego polecenia piaszczystą dróżką w lesie, równoległe do szosy, widziałem, jak nasi żuawi i strzelcy leżeli gęsto poza drzewami, posmarowawszy karabiny i bagnety błotem, żeby nie błyszcząły, a jednocześnie zobaczyłem ową konną awangardę, a za nią postępującą całą kolumnę piechoty rosyjskiej. Byli tak blisko, że nietylko każdy wyraz śpiewanej pieśni: „*Szto pod dożdżikom trawa, to sołdata gołowa*“, ale nawet słyszałem krok marszu i rozmowę dwóch jadących na czele oficerów,

z których jeden robił drugiemu wymówki, że gdzieś zgubił zapalki i że niema czem papierosa zapalić.

Przyszło mi na myśl: zaraz wam tutaj takiego ognia zapalą, że się bez zapalek obejdziecie! Jakim jednak sposobem oni mnie nie zobaczyli, a zwłaszcza mego konia, tego nigdy nie zrozumiem, gdyż słońce świeciło jasno, bo było koło południa. Serce biło mi jak młotem w tem oczekiwaniu: pocichutku odwiodłem kurek od rewolweru, przytrzymując cyngiel palcem, żeby nie szczęknął, i czekałem.

Właśnie wozy, furgony, a potem i arjergarda wjechały pomiędzy nas, kiedy naraz rozległ się cieni, krótki odgłos trąbki, usłyszałem wyraźnie komendę:— „pal!” — i huknęło z obu stron, jak grzmot, aż echo poniosło daleko po lesie.

Zrobiła się na szosie formalna kasza. Rosjanie w pierwszej chwili prawie się nie odstrzeliwali, tylko pędem puścili się szosą, a za nimi i furgony. Ale kawalerja niecała wymijała piechotę, część została ztyłu. Zuawí, nie nabijając, rzucili się na bagnety pierwsi. Za nimi strzelcy.

Wśród dymu i kurzu niebardzo było dobrze widać, ale słycać doskonale krzyk i szczęk broni.

Ja wypaliłem dwa razy z rewolweru w kupę, a potem ruszyłem za naszą kawalerją. Cały las zagrzmiał strzałami, napełnił się tętentem, hukiem i brzękiem, i to w jednej chwili, a że poprzednio było tak cicho, że słycać było doskonale kującego korę dzięcioła — więc wrażenie było nader dziwne i silne.

Widziałem mego pana brata, jak z żuawami, do których go zapisano, biegł z pochylonym bagnetem po owej szosie, ja zaś dojechałem do naczelnika i ruszyliśmy razem.

Naraz w lesie zobaczyliśmy silny oddział kawalerji tak blisko, że już się cofać nie było można, ale poznaliśmy odrazu, że to węgierskie huzary.

Ćwiek salutował, oni odpowiedzieli i odezwali się: „*Gratuliere, gratuliere, vorzüglich, ausgezeichnet, Glück auf! Glück auf!*”

Ruszyliśmy dalej ową dróżką, która stanowiła granicę, a za którą stali huzary, wkrótce za nami nadjechała nasza kawalerja. Antoniewicz i Gryglaszewski doskonale znali Austrjaków, więc wdali się z nimi w pogawędkę i, otrzymawszy masę powinszowań, ruszyli za nami. Rosjanie zaś, zostawiwszy w naszych rękach większą część furgonów, wszystkich rannych i kilkudziesięciu jeńców, uciekli za granicę.

Tam to widziałem, co znaczy szczęście. Jeden żuaw, wyskoczywszy z lasu na szosę, biegł, jak szalony, z pochylonym bagnetem, naraz z pomiędzy uciekających odwróciło się odrazu kilkunastu i dali do niego ognia z tak bliska, że aż się mundur na nim zatlił; żuaw padł na miejscu, jak piorunem rażony, zanim jednak do niego dojechałem, zerwał się, zaczął się klepać po tłącym się mundurze i, jakby nigdy nic, popędził dalej. Jakem się potem dowiedział, ani jednej rany nie dostał, miał jednak kilka kontuzyj tak dokuczliwych, że w krótkim czasie potem musiał partję opuścić.

Zaakcentowawszy w tak wyraźny sposób obecność wojsk narodowych na południu województwa lubelskiego i oczyściwszy granicę z objeszczyków, ku wielkiej radości mieszkańców wogóle, a handlarzy Żydów w szczególności, ruszyliśmy dalej. Handlarze, korzystając z ogólnego zamieszania, całemi szeregami wozów towary z zagranicy przywozili i za każdym spotkaniem się z nami — obficie ugaszczali.

Wogóle Żydzi okazywali wielką przychyłność dla powstańców. To zawiadamiając nas o ruchach wojsk rosyjskich, to szyjąc mundury i bieliznę, lub dowożąc żywność, a czasami nawet broń. O patriotyzmie wyższych klas Polaków wyznania mojżeszowego w Warszawie niema co i mówić, bo to wszystkim wiadomo.

Po długich marszach, odwiedziwszy po drodze Turubin i Frampol, zaszliśmy do jakichś bukowych lasów i tam zaszyliśmy się na trzydniowy odpoczynek, który nam się słusznie należał. Tam partja uporządkowała się, porozmieszczała ochotników; dostaliśmy ciepłe sukmany i nową bieliznę, z zaszytymi w każdej sztuce medalikami, które nam przywiozła znana kurjerka, panna Wanda, ta sama, co tak sprytnie oswobodziła się od Rosjan i ocalała bardzo ważne papiery narodowe.

Wioząc bowiem raz herbatę, tytuń i tabakę dla jakiejś partji, a przytem, rozumie się, i tajemne papiery, gdy ją na roгатce niespodzianie straż zatrzymała i zaczęła herbatę rabować, sama im pokazała, gdzie większe pudełka w wozie leżą, udając niby zupełnie ogłupiałą ze strachu, a gdy się wszyscy nachylili, sypnęła im w oczy zgrabnie tabaką, sama batem po ko-

niach śmignęła i w nogi. Nietylko sama uciekła, ale i cały transport, z wyjątkiem kilku funtów herbaty i tytoniu, ocalała.

Była to kobieta niesłychanej odwagi, energii i bezgranicznego poświęcenia dla sprawy.

Nie ustępowała jej pod tym względem i pani Ćwiekowa, którą nieraz widziałem w ogniu, zbierającą i opatrującą rannych, a gdy raz woźnica, przerażony świstem kul, zeskoczył z wozu, i wlaźszy pod mostek, za nic stamtąd wyleźć nie chciał, sama powoziła i na wóz z pomocą żołnierzy rannych nakładała. Ona to raz, gdy u nas jakiegoś środka opatrunkowego brakło, wśród najtęższej bitwy pojechała do Rosjan i, dobrawszy się do ich punktu opatrunkowego, od ich doktorów dostała, co jej było potrzeba, i triumfalnie do nas przywiozła.

17. BIŁGORAJ — KRÓTKA POTYCZKA — PRZYBYCIE PARTJI LELEWELA

Wypocząwszy, przyczem ja dostałem nową szablę, ruszyliśmy dalej. Byłem już zupełnie zdrów, więc dyżurowałem co drugi dzień ze Staśkiem, bo nasz trzeci kolega, oberwawszy porządnie pod Ireną, do Galicji odjechał. Przyciągnęliśmy pod Biłgoraj i stanęliśmy w lasku pod miastem, przyjmowani *honeste* przez obywatelstwo okoliczne, a zwłaszcza przez mieszczaństwo biłgorajskie, i owe słynne z piękności i zgrabności biłgorajanki, które wówczas jeszcze chodziły w swych tradycyjnych ubiorach.

Było tam bardzo wesoło, śpiewaliśmy chórem różne pieśni, my swoje, a biłgorajanki swoje, gdy nadleciały pikiety i dały znać, że nieprzyjaciel się zbliża. Ja byłem wolny od dyżuru, więc polecono mi tylko wyprowadzić w porządku i bezpieczeństwie naszych gości, co mi się doskonale udało. Tymczasem już dobrze z południa nadciągnęli Rosjanie i, rozwinąwszy się długą, szarą linią, zaczęli ogień zdaleka.

Nasza piechota, rozstawiona w tyraljerkę w lesie, rzadka się odstrzeliwała, jakby od niechcienia; po paru godzinach takiej zabawy, nieprzyjaciel z okrzykiem: urraaa! uderzył na nas i przybliżył się na jakie 300 kroków; wtedy dopiero nasza piechota zaczęła się bronić na serjo.

I z naszej strony rozpoczął się gęsty ogień karabinowy; usłyszawszy go, podjechałem bliżej, tak manewrując, żeby się za grubszymi sosnami ukrywać.

Gdy wyjechałem na skraj lasu, zobaczyłem już nieprzyjaciela w pełnym odwrocie, krzyczącego jednak: urraaa! jeszcze głośniejszy, niż przy ataku. Jechałem przez ciekawość zobaczyć, co się dzieje, ale była to dziwna bitwa, w której ani jednego świstu kuli nie usłyszałem, choć dość gęsto strzelali.

Cofnęli się tedy aż na skraj horyzontu, usiawszy pole zabitymi i rannymi, a ciągle krzycząc: urraaa! Tak się ta bitwa dla nas zupełnie bezkrwawo i szczęśliwie skończyła. Z naszej strony nie było zupełnie ani zabitych, ani rannych, a oni kilkudziesięciu ludzi stracili, bo byli w czystym polu, a my doskonale ukryci w lesie, i to takim, jakby był na zamówienie stwo-

rzony, bo i gęsty i stary. — Tymczasem zmierzch zapadł, pozbierawszy tedy na polu porozrzucane karabiny i ładownice, ruszyliśmy dalej, a nieprzyjaciel o owej bitwie podobno ogromny raport posłał, jako o wielkiem swoim zwycięstwie.

W marszu słyszałem, jak paru młodych powstańców rozmawiało, twierdząc, że przecież bitwa to nic straszego, bo my bijemy, a oni nie. Rzeczywiście, co oni ze swemi kulami robili, niewiadomo, bo i żuawi, którzy najbliżej od nich byli, opowiadali, że mimo gęstego ognia, świstu kul mało co było słychać.

W parę dni potem dano nam znać, że nadchodzi partja Lelewela, dla której przejścia oswobodziliśmy granicę i odciągnęli oddziały rosyjskie, zwracając ich uwagę na siebie.

Wyjechałem ze sztabem na jej spotkanie. Partja przedstawiała się wspaniale, ludzie byli wszyscy uzbrojeni i umundurowani doskonale, kawalerja na dzielnych koniach, piękny sztandar, słowem, ani porównania z nami, już przerzedzonymi i podniszczonymi.

Sam Lelewel (Borelowski), otoczony licznym sztabem, przedstawiał się wspaniale, jednakże nasz Ćwiek dzielniej i więcej po żołniersku od niego wyglądał.

18. BITWA KOŁO WSI PANASÓWKI — DZIAŁALNOŚĆ ARTYLERJI ROSYJSKIEJ — ZWYCIĘSTWO

Nastąpiło uroczyste powitanie i już razem ruszyliśmy w pochód.

Po pewnym czasie podeszliśmy do wsi Panasówki i rozłożyliśmy się w lesie, a że Lelewel miał zgórą

tysiąc ludzi, a nas było jeszcze około 500, więc stanowiliśmy razem dość poważną siłę.

Jakoś nad ranem, pikiety dały znać o zbliżającym się z dwóch stron nieprzyjacielu. Zatrąbiono zaraz na alarm, porozstawiano oddziały, a ja, jako dyżurny, stałem na górze obok dowódców: Ćwieka, Lelewela, Rudowskiego, Gromeyki, Antoszewicza i Gryglaszewskiego, obserwujących przez lunety siniejący na horyzoncie las, skąd spodziewano się nieprzyjaciela.

Jakoż wkrótce przed lasem pokazały się liczne czarne punkciki, poruszające się szybko, to na prawo, to na lewo; byli to, jak zwykle, kozacy, pędzący po polu niewiadomo pogo, szukający niewiadomo czego, uciekający za lada wystrzałem albo nawet na widok wycelowanego do nich nienabitego karabina, a w braku jego, choćby i laski. Zato odznaczali się okrucieństwem w postępowaniu z rannymi lub bezbronnymi mieszkańcami.

Zlustrzawwszy dokładnie ściernie i podorywkę, przed owym lasem leżącą, ale nie przybliżywszy się do nas, zniknęli.

Widocznie jednak dowódca rosyjski nie zadowolił się złożonym mu o stanie owej podorywki raportem, gdyż po chwili wysunął się z owego lasu oddział kawalerji i, rozsypawszy się we flankierkę, ruszył ku nam. Długi jednak łańcuch flankierów nie szedł wprost na nas, ale jakoś krzywo, bokiem; widzieć nas nie mogli, bośmy byli doskonale ukryci, więc wyraźnie szli na niepewne. — Myśmy tymczasem zjechali z owej góry wtył i rozdzielili się, gdzie komu należało.

Ja zostałem wysłany z rozkazem przesunięcia dwóch kompanij naszych strzelców dalej na prawo; właśnie kiedy wracałem, usłyszałem pierwsze strzały karabinowe, a wkrótce potem znane, podwójne wystrzały armatnie.

Huknęło po dwa razy, widocznie zatem mieli cztery działa. Kiedy dojeżdżałem do naczelnika, rozmowa zaczęła się na całej linii. Staliśmy za ową górą i słuchali. Niebawem usłyszeliśmy, jak nasi strzelcy rozpoczęli ogień, ale wkrótce przycichli; posłano mnie dowiedzieć się, co to takiego; powiedziano mi, że naprzeciwko wysypała się piechota, ale zaraz po strzałach cofnęła się.

Wróciłem z raportem, a było już ku południowi. Zostałem przeto śniadanie, składające się z różnych kieszonkowych zakąsek i *szruby*.

Jak dotąd, cały nacisk nieprzyjaciela był skierowany na partję Lelewela; nasi zaś żuawi i strzelcy, znużeni oczekiwaniem, pokładli się na ziemię, jedli, pili, palili papierosy i gawędzili, jakby nigdy nic.

Po długim dopiero czasie naprzeciwko nas zamajaczyli Rosjanie i, rozwinięszy się w długą, szarą linię, gęsto strzelając, ruszyli ku nam.

— Po diabła oni tyle tych biletów wizytowych przysyłają nam? Przecie i tak wiemy, co zasz są, a grzeczność ich przyjąć odpowiednio nakazuje! — mruknął Dropiata.

Oni tymczasem sunęli do nas i w dalszym ciągu ogromny gwałt, świst i warczenie czynili rozsyłanemi w różne strony kulami. Gdy podsunęli się na kroków

około 400, usłyszałem wyraźnie, jak lejtnant Kobos (oficer austriacki, który jak tylko wpadł w zapal po niemiecku komenderował) cienkim, ostrym głosem krzyknął:

— *Infanterieangriff! Visir vierhundert Schritten, von links einzeln... feuern!*

A wymawiał, jak zwykle, owo „*feuern*“, jak mówiono u nas, z taką intonacją, jakby kogoś pies za łydkę chwycił.

Poszło tedy zwykle: pał pał pał — zahuczało echo w lesie, posypały się suche liście, zakrakały wrony, rozszedł się ostry zapach prochowego dymu, słowem, zwykła muzyka bitewna, z tą jednak różnicą, że choć z tamtej strony nie żałowano prochu, u nas jakoś nikt nie przysiadł w kucki, ani podtrzymywał jednej ręki drugą, ani też okręciwszy się na pięcie, „nie mierzył, jak gęsto rosną sosny w lesie“, „ani fiołków nie zbierał“ (które to wyrażenia oznaczały, że ktoś padł na ziemię zabity). Więc, mimo huku strzałów, między żuawami zaczęły się żarciki:

— To pewnie ci z pod Biłgoraja, takich nam więcej dawajcie! oto, to rozumiem!

Od czasu do czasu rozległ się jakiś odmienny świst: były to stemple wystrzelone, których w pośpiechu zapomnieli z luf powyciągać, tak się śpieszyli ze strzelaniem do nas.

Nareszcie poszły targi: jakiś żuaw obiecywał Kobosowi za kawałek cukru ściągnąć jakiegoś oficera. Dosłyszawszy to, Ćwiek krzyknął:

— Pał mu w łeb, ja ci dam od siebie dwa.

Żuaw schylił się, wypalił i zaraz wszyscy zaczęli krzyczeć:

— Jest, jest, leży, gotów!

Ćwiek zaraz wyjechał z za swojej sosny, a nie mając cukru pod ręką, podał mu swoją szrubę, z której żuaw dobrze pociągnął.

Tymczasem nasi przeciwnicy, widocznie nie chcąc nadużywać gościnności, zauważyli, że pora do domu, i zaczęli wymywać się coraz gęściej ku owej podorywce, którą kozacy zlustrowali; snadź chcieli sprawdzić ich robotę. Wtem ów żuaw podbiegł do Ćwieka i, trzymając broń w jednej ręce nad głową jak piórko, krzyknął:

— Panie naczelniku, poco my mamy na tych d... proch psuć? albo my to bagnetów nie mamy!

I w tej chwili huknęli wszyscy: — „na bagnety!” — i jak burza runęli z lasu.

Krzywa linja bagnetów nie pochyliła się jednak naprzód, ale jakby uniosła się w górę, zabłysnąwszy, niby szeroką taśmą, bladym, złowrogiem światłem na ciemnym tle lasu. Bagnety bowiem nasze były bardzo długie i szerokie, do tasaków, używanych przez artylerję podobne, a rozpalona wiara, karabiny w prawą rękę za kolbę niżej zamka chwyciwszy, w górę je uniosła i tak biegła, z okrzykiem: A ciu! A do budyl!

Przeciwnik jednak był innego zdania; gdy my do nich biegli, oni najniegrzeczniej od nas umykali, widocznie, raz postanowiwszy mieć się ku domowi, twardo przy swoim trwali. Krzycząc: — urraaa! — ile sił w gardłach było, w najtęższym pędzie uciekali.

Nic dziwnego, że dla ułatwienia sobie tej operacji rzucali po drodze karabiny, dla uniknięcia jakiegoś wypadku, który w szybkim biegu po zoranem polu łatwo nastąpić może.

Oficerowie bili płazem żołdatów, jak opowiadali żuawi, a nawet i tylcem, ale nic to nie pomagało, tak, że ich nasi w żaden sposób dopaść nie mogli.

Zapędziwszy ich tak na jakie półtora tysiąca kroków, nazbierawszy karabinów i przypędziwszy kilkunastu jeńców, spoceni, zabłoceni, bez tchu prawie, wrócili żuawi nazad.

Widocznie pułk ten, czy może tylko te kilka rot, co się z nami potykały, takiego były miękkiego serca, a na nasze szczęście, przeciwko nam ich wysłano; u Lelewela bowiem szła coraz bardziej ożywiająca się rozmowa, ba! już nawet nie można było pojedynczych strażów odróżnić, a tylko ciągły, tak gęsty trzask, jakby kto płótna kawały darł, jeden za drugim.

Od czasu do czasu słyhać było okrzyki to naszych, to ich, idących do ataku, wszystko to przy akompanjamencie wspaniałym basem grających ciężkiego kalibru armat.

Po chwili przybyło do nas dwóch kawalerzystów od Lelewela, którzy pomówili coś z naczelnikiem, czego nie słyszałem, a potem zaraz nasze miejsce zajęła część naszej kawalerji, a żuawi i ta kompanja strzelców, co była z nami (reszta bowiem naszej piechoty była z Lelewelem), ruszyliśmy żwawym krokiem przez las.

Zanim jednak doszliśmy, ściemniło się zupełnie. Armaty już były dawno ścichły; jak tylko ruszyliśmy z miejsca, momentalnie grać przestały, jakby im kto gębę zawiązał.

Więc żuawi zaraz zaczęli mówić:

— A co? znają kundle mores! jak tylko wężem poczuły, że panowie idą, zaraz szczeakać przestały!

Niektórzy myśleli, że armaty zdobyto, ale jakeśmy się potem dowiedzieli, choć ich nie zdobyto, ale po świetnej szarży naszej kawalerji zaraz cofnięto.

Szarża zaś ta wykonana przez „kozaków“ Lelewela i część naszej kawalerji, świetnie poprowadzona przez Antoszewicza i Gryglaszewskiego, została wprawdzie wstrzymana przez rosyjską kawalerję, stojącą pod osłoną armat, ale ich odwrót spowodowała.

Wogóle artylerja strasznie się pilnowała, widocznie bali się okropnie o swoje armaty, czy szło im o wstyd, żeby tych armat nie stracili, czy też myśleli, że gdy powstańcy dostaną armaty w ręce, to staną się bardziej groźnymi i nabiorą wielkiej siły, dość, że przez całe powstanie artylerja rosyjska działała nadzwyczaj ostrożnie i zdaleka.

Jak tylko zauważono podczas bitwy jakiś ruch, przeciwko artylerji skierowany, zaraz zaprzodkowano działa i w nogi.

Niedość tego, dla zabezpieczenia armat odrywali nieraz część wojska, któreby z daleko większą korzyścią mogło w ręcznym boju wystąpić.

Oprócz tego, obecność ciężkich armat bardzo ujemnie działała na szybkość obrotów ich oddziałów,



— A ciu! a do budy! (str. 174).

nie pozwalała im posuwać się bocznymi lub wąskimi leśnymi drózkami, lecz zmuszała do maszerowania po szosach i gościńcach.

Powstańcy, wiedząc o tem wszystkim doskonale, wcale się łapczywie do zdobywania tych armat nie brali i na straty się w tym kierunku nie narażali, gdyż jeżeli okoliczności zmuszały nawet do zdobycia armat, jak pod Węgrowem, Zyrzynem i t. d., to potem niewiadomo było, co z temi działami robić. Ani pocisków, ani ładunków do tego nie było, a kłopotu z przewożeniem coniemiarą, więc je rozbijano na kawały i topiono w stawach, a dla takiego rezultatu narażać przy zdobywaniu baterji na śmierć setki ludzi nie było warto.

I ze zdobytych karabinów rosyjskich niewielka była pociecha, raz, że były ciężkie, powtóre, że nie było do nich ładunków, a choćby i były, to jeden ładunek ważył prawie tyle, co dwa nasze, więcby ich dużo żołnierz udźwignąć nie mógł, a w partyzantce, przy utrudnionem podwożeniu ładunków i ciągłej obawie o odcięcie furgonów z ładunkami, wiele na tem zależało, aby żołnierz mógł jak najwięcej ładunków nosić i sam się żywić, jak najdłużej obchodząc się bez dowożenia.

19. POSTÓJ W ZWIERZYŃCU — OLSZAŃSKI — DROPIATA ROZSTANIE SIĘ Z PARTJĄ CŹWIEKA

Tymczasem, gdyśmy pośpiesznie maszerowali, odgłosy bitwy, z początku przybliżające się do nas, a raczej my do nich, zaczęły słabnąć, i wkońcu ścichły zupełnie, bo i noc się zrobiła.

Natknęliśmy się wkrótce na wozy z rannymi i na część kawalerji Lelewela. Ci nam powiedzieli, że u nich bitwa także wygrana, że było kilka starć na bagnety, że gdyby nie odsiecz kawalerji rosyjskiej, zdaje się dragonów czy huzarów, to byłiby ich armaty święcie wzięli, ale że tej kawalerji tęgiego łupnia dali i t. d.

Przechwalali się i pokazywali pałasze poszczerbione i pokrwawione.

Doszliśmy do jakiejś osady, która się nazywała Zwierzyńcem, i tam w jakimś tartaku, czy młynie, widocznie niedawno zbudowanym, gdyż ściany i podłoga były z białego, jeszcze nie szerniałego drzewa, składano naszych rannych.

Między nimi pamiętam dwóch: jednego — hrabiego Nyary, Węgra, który dostał kulą w kolano i okropnie cierpiał. Opowiadano o nim, nie wiem czy prawdziwą historję, że podobno zakochał się w jakiejś pannie, Polce, która mu miała oświadczyć, że tylko za powstańca zamaż wyjdzie, więc on się zaciągnął do partji i taki go smutny los spotkał.

Drugi — Olszański, jeden z tych, co niedawno mówili, że w bitwie żadnego niebezpieczeństwa niema: „bo my ich bijemy, a oni nas nie!” Teraz, biedaczyśko, dostał kulą w sam puls od ręki: przeszła nawylot.

Tam w Zwierzyńcu poznałem także młodego Anglika, korespondenta dzienników, oryginalnie ubranego w niebieski obcisły spencerek i także spodnie.

Anglik ten przybył z partją Lelewela poobwieszany teczkami, lunetami i różnemi jakimiś skrzyneczkami w bardzo eleganckich, skórzanych pochewkach. Zawsze z parasolem, był nieustraszonej odwagi, i w najtęższym ogniu wyjeżdżał gdzieś na górę, rozpakowywał swoje pochewki i zabierał się do rysowania i zapisywania notatek.

Rysował bardzo udatnie, zdejmował szkice z powstańców i z wziętych do niewoli Rosjan. Między innymi narysował i mnie, a także „Dropiatego”.

Ten Dropiata był to młody człowiek, służył u nas w kawalerji i był specjalistą od rekonesansów, na które zawsze na ochotnika jeździł. Miał dropiatą kobyłę o wielkim chodzie i nadzwyczaj wytrzymałą, która go nieraz z kłopotów wybawiła, więc był w niej formalnie rozkochany. Sam mógł nie jeść i nie pić, ale dropiata musiała mieć wszelkie wygody. Na postojach, jeżeli furazu brakło, to dopóty chodził, klócił się, zamęczał wszystkich, dopóki dla swojej dropiatej czegoś nie wy dostał. W braku owsa i siana, karmił ją chlebem, w ostateczności i obwarzankami. Mówił nieraz: — „Jak mi moją dropiatą zabiorą, to sobie życie odbiorę!” — więc go tedy Dropiatą nazwano.

Nad ranem ruszyliśmy dalej i przyszliśmy do jakiejś wsi, zdaje się, Kąty. Tam ogłoszono w naszej partji, to jest u Ćwieka, że kto chce, może iść na odpoczynek, na urlop, co nam się rzeczywiście słuszenie należało.

Staliśmy tam parę dni, podczas, gdy owe urlopy wydawano, a że mój brat tak sobie nogi w czasie

owych forsownych marszów poobcierał i pokaleczył, że iść dalej nie mógł, a mnie za prędko zagojona ręka wskutek zimna i wilgoci zaczęła coraz bardziej doskwierać, postanowiliśmy i my odpocząć.

Wzięliśmy tedy urlopy z piątego oddziału wojsk narodowych, a osobno bilety na konie i, przespawszy ostatnią noc w obozie, postanowiliśmy na drugi dzień rano jechać. Smutny był ten ostatni wieczór, spędzony z kolegami, zastanawiałem się mocno nad tem, czy ta moja łapa tak jakoś sama się poprawi, a bratu nogi nie potęchną, jeśli tydzień jaki w spokoju na furgonach pojedziemy, bo i panu bratu ogromnie, mimo wszystko, nie chciało się partji opuszczać, ale doktor mi powiedział, że przy takiej słocie może być gorzej i że daleko lepiej wylizać się zupełnie w domu, a już potem zdrowym do partji wrócić; toż samo powiedział mi naczelnik. Oddawszy tedy, prawie z płaczem, broń, ruszyliśmy.

Na dużym wozie, suto słomą wysłanym, jechała panna Wanda, jakiś raniony oficer, mój brat, jeden urlopowany strzelec i ja. Z całej partji wzięło urlop niecałe 100 ludzi, tak, że się zostało jeszcze zgórą 400, którzy potem razem z Lelewelem brali udział w bitwie pod Batorzem, a potem, odłączywszy się od Lelewela, chodzili jakiś czas sami, to z Krysińskim, to znowu sami i dopiero późną zimą, jako niedobitki, rozeszli się do domów.

Można śmiało powiedzieć, że była to jedna z najlepiej zorganizowanych, najtęższych i najdłużej się trzymających partyj powstańczych w 1863 roku.

20. WYJAZD Z OBOZU — NIEBEZPIECZNE SPOTKANIE
Z KOZAKAMI — WYPADEK W ROWIE — NASTRÓJ WE
DWORACH OBYWATELSKICH

Wyjechaliśmy z obozu, minęliśmy jeden i drugi łańcuch pikiet, które nas z łatwością przepuściły, zobaczywszy formalne urlopy, które nieszczęsny kawalerzysta na kręcącej się szkapie z trudnością odczytywał, i ruszyliśmy dalej, a ja zastanawiałem się nad rozkoszami stania na pikiecie konno i podczas wiatru.

Parę razy użyłem tej przyjemności i całe życie będę ją pamiętał. Bo to ma się do pilnowania trzy rzeczy: karabinek z odwiedzionym kurkiem i z palcem na cynglu, powody od trzęzli i mundsztuka, wreszcie płaszcz lub burkę kolistą, którą się jest tak okrytym, aby woda z deszczu nie zaciekała na siodło i broń, a żołnierz był choć trochę okryty. Przytem zawsze stawiają cię na górze, a kierunek wskazanej pałaszem przez rozstawiającego oficera „główniej baczności” jest zawsze wprost pod wiatr, więc z wielkim trudem zaledwie można otulić się owym płaszczem tak, żeby zakryć i marznące ręce, i zamek od karabina, i lewą rękę, trzymającą cugle, i wogóle cały swój front, w który wiatr dmie i deszczem siecze.

Zaledwie zapomocą przeróżnych mądrych kombinacyj wszystko się to do jakiego takiego porządku doprowadziło, przeklęta szkapą, nie zwracając najmniejszej uwagi na naznaczony przez samego porucznika kierunek „główniej baczności”, a mając na względzie tylko swoją osobistą wygodę, z całą brutalnością

bezwzględne egoizmu (zupełnie jakby człowiekiem była) — jak kołowrót na osi momentalnie zwraca się do owego kierunku ogonem. Cała robota przepadła!

Więc ostrogą raz i drugi, więc ściągnięcie mundsztu-kiem i t. d., aż nareszcie owa manipulacja z płaszczem szczęśliwie drugi raz się ukończy. Ale czy na długo? Szkapą, z piekła rodem, fyr! — i znowu staje ogonem, tam, gdzie powinna stać głową.

Otóż w samym początku mojej galopin-adjutanckiej służby z powodu małej w owym czasie u nas ilości kawalerji, wypadało parę razy stać na pikiecie, i pamiętam, że chyba przez całe swoje życie tyle djabłów, cholery, wciórności i t. p. nie życzył, jak w czasie owych pikiet.

Tak, załując owego kawalerzysty i gawędząc, spuszcza się w jakąś dolinę, potem znowu pniemy się pod górę, przejeżdżamy przełęcz, aż tam na samym środku drogi, jakby kto obstalował, stoi kozuń, jak wryty, i pochyliwszy się na koniu, przypatruje się naszym z poza pagórka.

Nie było co robić, był od nas nie więcej nad 30 kroków.

— Gdyby tak jaka taka pukawka! — szepnął ów ranny oficer.

Ale pukawki nie było, a tu my w mundurach naszych — i rób, co chcesz!

Na nasze szczęście, czy kozuń się na mundurach nie znał, czy był niezdara, ale podjechawszy do nas, pokazując w kierunku obozu, zapytał:

— *Eto nasi, ili miatiezniki?*

A mój pan brat z największą powagą odpowiada:

— *Naszi!*

Na powtórne zaś pytanie:

— *Odkudowa?*

— *Priszli wczera iz Biłgoraja!*

Uspokojony w ten sposób kozak ruszył sobie kłusikiem do wierzchołka, a następnie wdół. Zaledwie jednak odjechał od nas i zaczął się spuszczać z góry, dojrzała go pikieta i dała ognia. Naturalnie, na taką odległość strzał chybił, a kozuń w najtęższym pędzie ku nam się rzucił, zanim jednak przeszło nam przez myśl grożące niebezpieczeństwo, przeleciał koło nas tak blisko, że aż się o przyściężnego konia otarł i runął prosto gościńcem.

O jakie tysiąc kroków dalej stało ich jeszcze kilku, ale i ci, jak tylko go zobaczyli, nie doczekawszy się nawet wiadomości, jakby w nich piorun strzelił, zawrócili i zniknęli.

Wkrótce spotkaliśmy jadącego chłopca, który nas ostrzegł, że we wsi, nawprost nas, stoi nieprzyjaciel, i że on jedzie do partji z tą wiadomością, a nam radzi zawrócić nabok.

Takeśmy zrobili, a zmieniawszy konie w sąsiedniej wsi, gdzie nas chłopci doskonale nakarmili i dobre konie dali, ruszyliśmy dalej. Zmieniawszy jeszcze raz konie i w części ubranie, ciągnęliśmy na noc ku jakiejś niedalekiej wsi, lecz zanim dojechaliśmy, ściemniało zupełnie, deszcz lał jak z wiadra i zimno było djabelne.

Jechaliśmy jakąś drogą, okopaną rowami i obsa-

dzoną drzewami, wtem naraz konie stanęły jakby wiedzione jakimś cudownym instynktem; to nas zbudziło, a spaliśmy wszyscy, nie wyjmując furmana. Przed nami, na owej drodze, zobaczyliśmy czarną masę i usłyszeliśmy tupot licznych koni.

Kazaliśmy więc zjechać z drogi, co woźnica z niewypowiedzianą gwałtownością uskutecznił, wspaniale nas przytem w rów wysypawszy.

Leżeliśmy cichutko w rowie i koło rowu, a tymczasem tupot przybliżał się coraz bardziej, nareszcie zrównał się z nami, i jakiś głos rzekł:

— *Wot żydow to napugali, wiesz leżał!*

I rozległ się śmiech, a zapomniałem dodać, że sprytny łyk, który nas powoził, półgłosem doskonale udawał płacznego i narzekającego Żyda:

— *Aj wej mir! aj wej mir!*

Jechali dość długo, musiało ich być ze trzysta koni, że nas jednak nie zaczepili, to chyba Matce Boskiej Częstochowskiej zawdzięczamy.

Wygramoliwszy się jakoś razem z owym wozem na drogę, ruszyliśmy dalej, starając się dotrzeć jak najprędzej do jakiego dworu, gdyż ów biedny ranny oficer, choć bezpośrednio w ranę się nie uderzył, ale od samego wstrząśnięcia uczuł większe pogorszenie, że aż zcicha jęczał.

Zajechawszy do najbliższego dworu, uradziliśmy, że bezpieczniej nam będzie rozdzielić się: odesłano więc zaraz strzelca na folwark; panna Wanda została z owym rannym oficerem we dworze, a my z bratem pojechaliliśmy w dalszą drogę; przytem pamiętam, że

na miejsce zgubionej w owym rowie czapki, dano mi jakiś ogromny kapelusz z czasów dyrektorjatu, po którym deszczowa woda doskonale spływała. Dostałem i burkę o wiele za obszerną i za długą, ale na ówczesną porę bardzo praktyczną.

Ruszyliśmy więc dalej, drzemiąc, a nad ranem dopiero spotkaliśmy się z suchym ubraniem, a zwłaszcza z obfitem i doskonałym śniadaniem, uprzyjemnionem obecnością samej pani domu.

W czasie rozmowy zauważyliśmy smutny jej nastrój. W interwencję Napoleona przestano zupełnie wierzyć i wogóle przepowiadano bliski i smutny koniec powstania, mimo zwycięskich bitew, których kilka w owych czasach stoczono.

Sam gospodarz, człowiek już starszy, mówił, że powstańcy naogół wyrobili się i wyćwiczyli na doskonałych żołnierzy-partyzantów; bardzo chwalił naszą partję, t. j. Ćwieków, Krysińskiego i t. d., zachwycił się zdolnościami Kruka, ale mówił, że mimo to, bez interwencji europejskiej, nanić się to wszystko nie zda, tem bardziej, że po dworach bieda szczyrzy zęby coraz bardziej, sił brakuje, a wojna — to kosztowna rzecz.

Przepraszał przytem, że nas musi bronowłokami odesłać, wszystkie bowiem lepsze konie poszły do powstania. Wkrótce zajechał po nas bardzo elegancki powozik, ale zaprzężony w cztery fornalskie szkapy, któremi ruszyliśmy w drogę.

Do powoziku włożono nam butelkę wina, szynkę, chleba, masła i t. d. Po drodze wdaliśmy się w pogawędkę z furmanem, który opowiadał, że jego pań-

stwo bardzo dobrzy, ale wszystko oddali na wojnę, nawet srebra sprzedali. On okropnie żałował koni, które były śliczne i takie dobre, że w całej okolicy równych nie było. Mówił jeszcze, że jego państwo byli bardzo bogaci, ale, że jak tak dalej trwać będzie, to pójdą pewno z torbami.

W ponurych tedy myślach jechaliśmy dalej. Wszędzie po dworach było to samo, przyjmowano nas gościnnie, ale znać było zwątpienie i ciężkie okoliczności na każdym kroku.

Jeden dwór zastaliśmy w ciężkiej żałobie, gdyż jeden syn zginął, a drugi był ranny, więc tam nie długo zabawili i nareszcie dotarli do Nałęczowa.

21. PRZYJAZD DO NAŁĘCZOWA — PRZYBYCIE PARTJI LITEWSKIEJ — ZMIANA STOSUNKÓW — POWRÓT DO SZKOŁY

O przyjęciu niema co mówić! Całowaniu i ścisaniu nie było końca, tem bardziej, że doszła tam wiadomość o mojej rzekomo śmierci pod Wirem, tak, że mnie już opłakano, a nawet żałobne nabożeństwo za mnie odprawiono.

Zaczęliśmy życie cywilne od kąpieli i śniadania, a potem, trochę pogadawszy, poszliśmy spać. Ja spałem półtora dnia i dwie noce prawie jednym tchem i, dopiero zbudziwszy się na trzeci dzień rano, wytrzeźwiałem zupełnie.

Zaczęły się więc opowiadania bez końca; dowie-

dzieliśmy się, że mój ukochany major bawił jakiś czas w Chotczy, dokąd go ciężko rannego przywieziono, a następnie, trochę podleczonego, zagranicę rzemienną pocztą wywieziono z nadzwyczajnymi ostrożnościami, tak, że każdy dwór, w którym odpoczywał, był obstawiony naokoło pikietami ze służby dworskiej, a w czasie przejazdów na wszystkie strony jeździli Żydzi i panie na rekonesanse. W ten sposób udało się go szczęśliwie przez granicę przewieźć, choć go pilnie szukano.

Zastaliśmy Nałęczów *quantum mutatus ab illo!* o jakże zmieniony! nietylko wspaniałe czwórki i wierzchowce z cugowej stajni, ale i wszystkie lepsze konie z folwarków poszły do powstania, tenże sam los spotkał owce, a nawet znaczną część wołów, tak, że za ledwie było czem ziemię obrobić, a i to część jej z powodu braku inwentarza została zapuszczona odłogiem. Różne kosztowności, nie mówiąc już o gotówce, z której zapasów sływał Rakowski, poszły w świat, słowem, z zamożnego obywatelskiego domu zrobiła się bieda.

Ale humoru nie tracono, a raczej energii, i panie w dalszym ciągu dowoziły rannym powstańcom, poukrywanym w różnych domkach, leśniczówkach i t. d., opatrunki i jedzenie.

Po niedługim czasie, jakoś nad ranem, nadciągnęły litewskie partje Platera (Rumockiego) i Wróblewskiego. Pamiętam doskonale poczciwych Litwinów, z ogromnymi ciężkimi sztucercami, bodaj jeszcze raziwiłłowskie czasy pamiętającemi, jak swoim typo-

wym śpiewnym akcentem wychwalali „koroniarzy” za to, że ich wszędzie gorącym jedzeniem przyjmowano, co im się na Litwie, z powodu mnóstwa wojsk rosyjskich, rzadszych dworów, małej ilości partyj i braku organizacji cywilnej, nieczęsto zdarzało.

W Królestwie rzeczywiście prawie zawsze przed przyjściem partji dwór bywał uprzedzony, tak, że partja zastawała już gotowe ćwierci mięsa, a często gotowe krupniki i kapuśniaki w kotłach. Pamiętam nawet raz, zastaliśmy kocioł parowy w gorzelni, pełen doskonałego esencjonalnego krupniku.

Litwini, obstawiwszy się doskonale podwójnym łańcuchem pikiet, które im pomagałem rozstawiać, jako dobrze znający miejscowość, delektowali się wypoczynkiem i obfitem jedzeniem całą dobę; następnie, otrzymawszy raporty od naczelnika powiatu, przysłany raz przez kurjerkę, drugi raz przez żydka, o nadciągającym nieprzyjacielu, wyruszyli.

Pamiętam doskonale, jak formując front do wsiadania na koń, formalnie śpiewali: „parzyste wystąp!” — długim śpiewnym głosem, i jak nasze panie powiewaniem chustek ich żegnały.

Przy wyruszaniu bowiem kawalerji, komenda była taka: najprzód prowadzący oddział kawaleryjski komenderował: „do wsiadania na koń, formuj front!” — Wtenczas wszyscy ludzie, trzymając konie przy pyskach z lewej strony, stawali jednym szeregiem i głośno mówili, wymawiając każdy kolejną cyfrę: raz, dwa, trzy, cztery, i dalej: raz, dwa, trzy, cztery, aż do końca szeregu. Wtedy następowała druga ko-

menda: „parzyste (albo nieparzyste), wystąp!” — tworzyły się więc dwa naprzemian szeregi; potem przy komendzie: „na koń!”... — lewą nogę wsadzało się w strzemię, a lewą ręką brało cugle i przednią kulę od kulbaki. Potem przy komendzie: „wsiądź!” „raz!” — stawało się frontem obok konia, uniósłszy się na lewej nodze w strzemieniu, a przy: „dwa!” — przerzucało się prawą nogę, wsuwało w prawe strzemię i umacniało ostatecznie na siodle.

Takie wsiadanie na: raz! dwa! było zaprowadzone dlatego, żeby sprawdzić, czy popręgi i obergurty są dobrze i starannie popodciągane.

W naszej kawalerji na kulbaczenie koni zwracano ogromną uwagę, bo komenda była w ręku starych i doświadczonych kawalerzystów, a chociaż konie były różnorodne, jak to zwykle bywa w partyzantce, i terlice także rozmaite, jednak prawie nigdy nie zdarzało się, żeby kto konia odsednił, czyli odparzył. Coprawda, w takim razie kawalerzysta musiał iść piechotą, więc się wiara ogromnie pilnowała, bo to i nieprzyjemnie i wstyd, a już z Gryglaszewskim i Antoszewiczem żartów w tych rzeczach nie było. Wogóle w całej naszej partji, tak w piechocie, jak w kawalerji, oficerowie nie byli malowani, nadzór był ogromnie ścisły, czemu w znacznej mierze można przypisać to, że się partja tak długo trzymała i pomimo tyłu bitew i marszów, do końca w porządku pozostała, gdy w innych partjach bardzo rozmaicie pod tym względem bywało.

Tymczasem nadzieja na interwencję europejską

zupełnie zagasła, powstanie chyliło się widocznie do upadku, tak, że po długich naradach zdecydowaliśmy z panem bratem wrócić do szkoły.

Założono więc do sań jakieś nieszczęśliwe, jedyne pozostałe w domu szkapy i ruszyliśmy po łożu przez zamarzną Wisłę, ale do Kielc, nie do Lublina, gdzie dla mnie byłoby mniej bezpiecznie, zaopatrzeni w jakieś wyrobione z trudem paszporty.

W drodze nie spotkaliśmy już ani razu powstańców, ale zato kilkakrotnie Rosjan, jednakże duchowna suknia mego brata, który był klerykiem na I-ym kursie w seminarjum kieleckim, i mój młodzieńczy wygląd jakoś nas broniły, tak, że szczęśliwie do Kielc dotarliśmy, gdzie też on wrócił do swego seminarjum, jako powracający z kuracji, a ja wstąpiłem do IV-ej klasy gimnazjum, na mocy szczęśliwie odnalezionej cenzury, wydanej mi na święta Bożego Narodzenia przez liceum lubelskie.

W Kielcach w gimnazjum zastałem już znaczną ilość byłych powstańców, którzy do szkoły wrócili.

Komendantem siły zbrojnej w Kielcach był Czeniery, Węgier z pochodzenia, w gruncie porządny człowiek, tak dalece nawet, że kiedy niedobitki partji Andrzejewskiego, które się nader długo trzymały, były już prawie otoczone, wezwał do siebie jego ojca, powszechnie szanowanego i lubianego doktora, i dał mu dla syna paszport zagraniczny; tak szanował nieskazitelny charakter i zacność ojca, a bojową wytrwałość syna.

Jednakże dzielny Andrzejewski, pomimo namawiań

ojca, któremu się udało z tym paszportem do niego dotrzeć, nie zgodził się na zostawienie reszty towarzyszy i w szalonej szarży, wykonanej z pozostałymi kilkunastu ludźmi na cały oddział nieprzyjacielski, wspaniale za Ojczyznę głowę położył wraz ze wszystkimi swymi towarzyszami.

Piękny koniec także miała partja Rudowskiego, który odłączył się od Ćwieków już w zimie, gdyż był posłany w Radomskie wraz ze swoją kawalerją. Otóż w jednej potyczce, cofając się i powstrzymując w kilkanaście zaledwie koni następujących dragonów, ranny dostał się do niewoli i, jako eks-oficer rosyjski, byłby bezwątpienia rozstrzelany; wówczas reszta partji, gdy się o tem dowiedziała, naprzelał krótszą drogą, wyminawszy powracających z Rudowskim dragonów, zaskoczyła im drogę i, uderzywszy wstępny bojem, Rudowskiego odbiła. Potem udało się szczęśliwie wysłać go zagranicę, gdzie podobno pod Düppeln, walcząc z Prusakami, zginął.

Opowiadano, że w czasie tej świetnej szarży sześćdziesięciu powstańców na dwa szwadrony dragonów cięło się pałaszami tak, że na drugi dzień potrzebne klingi szabli dragonskich i powstańczych znajdowano.

Z całej zaś partji Rudowskiego pozostało tylko kilkunastu, tych, którzy na tę furmankę, na której jechał Rudowski, ztyłu uderzyli; wszyscy zaś, którzy uderzyli z frontu, co do nogi wyginęli.

I na tych dwóch bitwach skończyło się powstanie w Kieleckiem.

Z nauką początkowo, po całorocznej umysłowej bezczynności, szło trochę opornie, ale w krótkim czasie, dzięki świątłym, przychylnym dla młodzieży i doskonale wykładającym profesorom, oraz wybornemu duchowi, jaki panował w szkole, dopędziło się kolegów w zupełności i już po paru tygodniach nauka szła mi bardzo łatwo.

W owych czasach zarówno w Szkole Głównej, jak i w gimnazjach, hasłem, tak między profesorami, jak i uczniami, stała się „praca organiczna”. Więc młodzież z całym zapałem rzuciła się do nauki i pracy umysłowej. Uczono się tedy i pracowano nazabój, i to nie dla kariery, albo stopni, lub awansu w przyszłości, ale dla wiedzy, dla dobra i odrodzenia społeczeństwa.

Więc zgromadzano się, czytano książki naukowe, rozprawiano o nich; profesorowie, poza godzinami lekcyj w szkole, uczyli i objaśniali praktycznie swoje przedmioty, a nawet na spacerach rozmowa szła o nauce.

A że, jak zwykle bywa w każdej klasie, jakiś jeden profesor, specjalnie zamiłowany w swoim przedmiocie, potrafi rozbudzić wyjątkowe zainteresowanie, co często wpływa nawet na dalszy kierunek prac uczniów, tak i u nas w IV-ej klasie w Kielcach, w 1864 roku, nastrój był przeważnie mineralogiczny.

Mineralogję wykładał prof. Plewiński, młody blon-

dyn, niezmiernie sympatyczny, całem sercem oddany swej nauce, a wykładał świetnie, z umiejętnością wzbudzenia zamiłowania do niej. Wszyscy oczekiwaliśmy lekcji mineralogji z największą ciekawością i niecierpliwością, gdyż sprawiała nam taką przyjemność, jak piękna opera lub powieść.

Prawda, że miejscowość była odpowiednia do studjów nad mineralogją; w czasie wycieczek na Miedzianą górę, Kadzielnę i t. d. znajdowaliśmy dość obficie różnorodne minerały; na Kadzielni piękne okazy szpatu islandzkiego, a na Miedzianogórze i okolicznych polach: okazy rudy miedzianej i żelaznej, skamieniałe amonity, kawałki galeny, kryształu górnego i t. d.

Każdy z nas posiadał zbiór mineralogiczny, a każdy nowy okaz, tak przez ukochanego profesora, jak i kolegów, był rozpoznawany i określany.

Nareszcie nastały egzamina, które zdałem świetnie. Otrzymawszy więc świadectwo z ukończonych czterech klas z odznaczeniem, wróciłem do Lublina, gdzie jako nowowstępujący uczeń gimnazjum kieleckiego, z łatwością do klasy V-ej przyjęty zostałem.

Profesorów zastałem tych samych, ale jako inspektora, świeżo przysłanego „obrusiciela” Kopyłowa, historyka, nawet dość zdolnego, o całe niebo wyższego nad późniejszą falangę „obrusicieli”; zastałem też pierwsze początki „obrusienja”, np. nowy przedmiot—historję Rosji, i to po rosyjsku i t. d.

Kolegów niektórych z pomiędzy młodszych zastałem w klasie VI-ej, ale z pomiędzy starszych wielu

brakło, albo zginęli w boju, albo już nie wrócili do szkoły. Duch patriotyczny jednak przez upadek powstania wcale nie osłabł, zmienił się tylko kierunek, hasłem stała się praca organiczna i nauka, ale cel zawsze ten sam.

Wkrótce też zawiązało się tajne stowarzyszenie, mianowicie zorganizowaliśmy sobie za składane pieniądze sprowadzanie zabronionych książek przez księgarza Arcta, szło to dość dobrze, ale na nieszczęście złapano u mnie Mochnackiego.

Ano więc zwykła procedura, aresztowanie dla postrachu w nocy, osadzenie na zamku, badania i t. p., a głównie wymagano zeznań, skąd i od kogo tę „szkodliwą” książkę otrzymałem.

W Lublinie było mnóstwo w owym czasie tak zwanych handełesów, handlujących książkami, więc rzecz prosta, odpowiadam, że od Żyda. A jak się nazywa? — Tego nie wiem. — A czy go poznasz? — Odpowiadam: — Naturalnie, nieraz od niego kupowałem.

Dają mi tedy dwóch żandarmów i każą szukać onego Żyda.

Było to bardzo przyjemnie, śliczna pogoda, spacer na świeżem powietrzu, które po stęchliźnie więziennej aromatycznie pachniało, a że w takim miasteczku, jak Lublin, wiadomość o politycznem zajściu tego samego dnia była wszystkim znana, więc spotykający kłaniają się ze współczuciem i uszanowaniem, kobiety błogosławią męczennika za ojczyznę, wsuwają bułki, kiełbaski, czekoladę, a Żydy, wiedząc, o co idzie, ulatniają się momentalnie, jakby w nich piorun strzelił.

Niestety, gdy po kilku dniach, pomimo najstaranniejszych poszukiwań, nietylko w żydowskiej części miasta, ale i na głównych ulicach, ba, nawet w ogrodzie miejskim mojego Żyda znaleźć się nie udało, tem bardziej, że taki nigdy nie istniał — jak zwykle w takich sprawach, władze zmieniają front, z ogromnym krzykiem i złością pakują mnie do ciemnicy i grożą różnemi okropnościami (było to pierwsze moje więzienie); ba, ale mało to się książek patriotycznych naczytało, przecie w owych czasach każdy z nas był doskonale wyćwiczony i wiedział, co, jak i kiedy mówić, a tem bardziej czego mówić nie należy.

Udając więc ciągle przerażone niewiniątko, nie wiedzące i nie rozumiejące całej wielkości swego przestępstwa i zupełnie nie wiedzące, co kupiło, udało mi się wszystko to w nich wmówić tak, że po kilku tygodniach wypuścili mnie z więzienia i nawet ze szkoły nie wypędzili. Rezultatem tej historii było tylko sprawdzenie w praktyce opisywanych sposobów morskali, więc: łyzy krokodyle i sztuczne współczucie, potem momentalne groźby, to znów częstowanie papierosami, a potem „wziat' jewol" i t. d., co wszystko obszernie kolegom opowiadałem w czasie wieczornych pogadanek i co, zamiast trwogi lub strachu, zazdrość i chęć naśladowania wywoływało.

Tak straciłem rok nauki, ale go nie żałuję. Na całe życie bowiem mam pamiątkę, i teraz jeszcze po tylu latach nieraz przypominają mi się obrazy i wrażenia owych czasów.

KONIEC



T R E Ś Ć

	Str.
Ś. p. Stefan Brykczyński	5
1. Lublin w roku 1862. — Liceum. — Ogólny nastrój .	9
2. Historyczna chwila. — Wyprawa nocna	14
3. Spotkanie z oddziałem ochotników. — Parada. — Pierwszy huk armat. — Wrażenia	19
4. Spotkanie oddziału — Radość — Marsze — Noclegi	25
5. Tyszowce — Pierwsza bitwa — Wrażenia	34
6. Tuczapy — Mołozów	47
7. Pogorszenie położenia — Pierwsza rana — Cofamy się ku granicy	66
8. Przejście granicy — Liski — Uhnów — Hohołów .	77
9. Lwów — Niespodziewane spotkania — Jestem wiel- kim człowiekiem — Powrót do Królestwa — Zdrada	90
10. Nałęczów ówczesny — Ogólny nastrój — Nadzieje — Wieści — Powrót do partji	97
11. Moja służba adjutancka w partji Ćwieka	108
12. Bitwa pod Depołytczami	122
13. W Radomskim	131
14. Dalsze losy — Nowa bitwa	142
15. Znowu w Lubelskiem — Kozacy Czajkowskiego — Ich dzielność — Przybycie brata	160
16. Bitwa pod Ireną — Zasadzka przy szosie — Zwycię- stwo — Dzielne niewiasty	163
17. Biłgoraj — Krótka potyczka — Przybycie partji Le- lewela	168
18. Bitwa koło wsi Panasówki — Dzielność artylerji ro- syjskiej — Zwycięstwo	170

	Str.
19. Postój w Zwierzyńcu — Olszański — Dropiata — Rozstanie się z partją Cwieka	177
20. Wyjazd z obozu — Niebezpieczne spotkanie z kozo- kami — Wypadek w rowie — Nastrój we dwu- rach obywatelskich	181
21. Przyjazd do Nałęczowa — Przybycie partji litew- skiej — Zmiana stosunków — Powrót do szkoły	186
22. Gimnazjum Kieleckie — Zapal do mineralogji — Powrót do Lublina — Rok życia — Zakończenie	192



1993 - A1 - 10

11. 05. 1999

2009 - 05 - 03

2011 - 10 - 14

2013 . 0

50

SN

K

1

8

9

2

4